Serja 124.

JASNE
KSIĄŻKI

UTWORY WANDY MIŁASZEWSKIEJ

POWIEŚCI:

CMENTARZ I SAD — wydanie II. LE LIVRE DES MORTS — przekł. francuski ed. Perrin. ZATRZYMANY ZEGAR. LA PENDULE ARRETEE — przekł. franc. ed. Perrin. O ZŁOTY WŁOS: KSIĘŻNICZKA DAGNY — wyd III. KACZĘTA — wyd. II. MŁYN W BOŻEJ WOLI — nagroda „Przewodnika Katolickiego" 1928. STARE KĄTY — wydanie II. NA CZTERY WIATRY. NA CTYRY STRANY — przekł. czeski wyd. Českoslov. Tisk. Praha. CZARNA HAŃCZA — z ilustr. J. Bułhaka. TRZECIA SIOSTRA. ŚWIĘTY WIĄZ — z ilustr. J Bułhaka. BOGACTWO — I nagroda „Przewodnika Katolickiego" na Konkursie Jubileuszowym Św. Wojciecha. 1938.

NOWELE:

VENI CREATOR — wyczerpane.
PIERWSZA MIŁOŚĆ — wyczerpane
DUSZA DOMU.

POEZJE:

ROK BOŻY.

WESPÓŁ Z J. REMBIELIŃSKIM I ST. MIŁASZEWSKIM:

CHÓR WIEKÓW — Antologia polskiej poezji religijnej z przedmową J. E. ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza

W PRZYGOTOWANIU.

CHŁOPIEC I MORZE — powieść.

WANDA MIŁASZEWSKA

WSPOMINAMY

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

WYDAWCA: DRUKARNIA I KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA SP. Z O. O. W POZNANIU. TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI „MALTA" 1939.

GNIAZDO

Jedno mieszkanie...

W otwartym oknie, jak zawsze, pełno było doniczek z prymulkami. Poczciwe, najwdzięczniejsze kwiaty: dać im dużo światła, trochę wody — a kwitną cały Boży rok, prawie bez przerwy.

Na podłodze wielka, jasnozłota plama słoneczna. Kiedy zjawia się bliżej okna z prawej strony, gdy nie zagląda wścibsko w głąb pokoju, lecz (mniej więcej w porze śniadania) włazi na tapczan Stasia, wtedy nie patrząc na kalendarz możemy stwierdzić, że na świecie jest wiosna.

Była więc niewątpliwie wiosna. Dzień powszedni, choć *minę* miał odświętną. Zdarzają się takie wtorki w domach i w sercach ludzi, którym do szczęścia niewiele więcej trzeba poza odrobiną zewnętrznej i wewnętrznej pogody. O tę ostatnią nawet łatwiej: kwitnie sobie i w listopadzie, zupełnie jak prymulka.

Otóż właśnie taki był ów poranek. Nasłoneczniony kwadrat objęły w posiadanie nasze koty. Obie damy w pozach niedbałych, roz-

łożone płasko, tak płasko, jak tylko może przylgnąć do ziemi ciało trzywymiarowe. *Gapcia* poruszyła się pierwsza. Ma znowu coś ze wschodniej odaliski, coś sennego i zmysłowego w ruchach i w wielkich, jakby wilgotnych oczach. Popielata, pręgowana *Szarusia* zastrzygła nagle uchem i skoczyła jak tygrysica — w pogoni za pierwszym tegorocznym molem. W czterech susach była już pod piecem, na gramofonie — i na półce z książkami. Spadł z hałasem oprawiony w półskórek Słowacki i — naturalnie! — zbudził Stasia.

— To nic. To tylko koty. Zaczęły się poranne harce...

Patrzę na głowę mego męża. Usiadł wyprostowany, wzrok ma jeszcze trochę „daleki". Popielato-srebrzyste włosy tworzą ciekawy kontrast z tłem amerykańskiego biurka, które w przystępie jakiejś odnowicielskiej furii osobiście pomalowałam na czerwono. Jeszcze niedawno — jak niedawno! — biurko było ciemnobrązowe, a włosy Stasia czarne.

I nagle mówię głośno:

— Ileśmy już mieli tych kotów! Tu, w tym samym mieszkaniu! Zaraz: *Piętaszek* i *Sobótka*...

Piętaszek żył najkrócej. Miał w sobie coś z wikinga — tyle było w tym półrocznym kociaku męstwa i hartu woli... Wyzwany — skakał z wysokiej szafy prosto na moje łóżko stojące tak daleko! Pierwszą swoją podróż odkrywczą przypłacił życiem: spadł przez lufcik z szóstego piętra i przeniósł się do kociej Walhalli. Rysowałam jego portret pośmiertny, zalewając się łzami. Był to mój pierwszy *własny* kot. W trzy lata później równie tragiczną śmiercią — z tego samego parapetu — zginęła jego siostra, geniusz koci — Sobótka. Sama otwierała sobie drzwi, skacząc na klamkę, grała z nami w piłkę, w „odbijanego" i odpowiadała w swoim języku na każde nasze słowo.

Potem były kraty we wszystkich oknach i coraz nowe koty: Racuszek, Lalka (taka zła i drapieżna, że musiałam ją oddać z domu). Potem Gapcia i Sroczka, Szarusia, córka Muszki, no i Misia, najmilsza chyba z wszystkich kotów, Misia o jedwabistej, lśniącej sierści, czarnej jak węgiel. Miała tylko śnieżne pantofelki na czterech łapkach i podbródek, o którym Staś powtarzał, że musiała go zamoczyć w mleku, taki był śmiesznie biały...

Jeżeli koty mają jakieś duszyczki, to duszyczka Misi promieniała szczęściem, nieustanną radością *istnienia*. Jeszcze była ślepa, gdy poznawała nasze głosy i mruczała z zachwytu. Wystarczyło później słowo, ba, spojrzenie — aby mruczała godzinami głośniej, niż którykolwiek z naszych czworonogich pu-

pilów. Nie drasnęła nikogo — nawet w zabawie, żartem. Była dobra i ufna. Mogłam podnieść rękę i machnąć nią w powietrzu — nie uchyliła nawet głowy. Nie podejrzewała, że jedna żywa istota potrafi skrzywdzić drugą... Jej wspaniałe, promienne, złote oczy miały coś ze spojrzenia dziecka.

I ten kotek — ten właśnie — przeszedł po kolei wszystkie szczeble cierpienia, znosząc je do końca po bohatersku. Dostała zapalenia płuc. Leczona silnymi zastrzykami — oślepła. Nie wierzyła swemu nieszczęściu: nauczyła się biec za naszym głosem. Przynosiła nam do ręki, tak jak dawniej, rzucane na podłogę kulki papieru i — mruczała, mruczała po dawnemu. Nawet gdy potem przyszły jakieś komplikacje, wrzody w oczach i bóle — mruczała w chwilach ulgi: lśniący, czarny kłębuszek, przytulony ufnie do naszych kolan. Trzeba było ją uśpić. Cząstki jej drobnego ciałka znajdują się w klinice uniwersyteckiej. Studenci weterynarii studiują na nich przykład rzadko spotykanej choroby. Nawet po śmierci ten uroczy kotek miał do spełnienia jakąś misję, tak jak za życia zachwycał i cieszył nasze oczy harmonią pięknych kształtów i niezrównanym wdziękiem.

— Misia była chyba najmilsza ze wszystkich naszych kotów — powtarzam, wyliczywszy inne imiona wychowanków. — Czy dobrze ją pamiętasz, Stachu?

Niepotrzebnie pytam, bo wiem, że Staś *wszystko* dobrze pamięta. Kiedy konała Lilka, nasz biały szpic, wierna towarzyszka doli i niedoli wojennej, — podała Stasiowi na pożegnanie łapę zupełnie *ludzkim* ruchem. Oczy jej powiedziały wyraźnie: „Już się nie zobaczymy". Leżała sztywna w dużej, drewnianej skrzynce, gdy Staś wrócił o szóstej po południu z przedostatniej próby swego „Farysa". Spojrzał na nią, potem podszedł do okna i długo, długo milczał, nie odwracając głowy. Wiem, że płakał po Lilce, jak się płacze po stracie przyjaciela — i wiem, że się tych łez nie wstydził.

— Tak — odzywa się teraz po moim „kocim" monologu. — Zwierzęta mają *charaktery* i dużo indywidualności, jak ludzie. Ale żeby to stwierdzić, trzeba ze zwierzęciem obcować, jak się obcuje z interesującym człowiekiem. No, i żeby dużo wiedzieć o zwierzęciu i o człowieku, trzeba długo żyć...

Patrzę na jego „siwy łeb" i myślę ze zdumieniem: Czy my już tak *bardzo długo* żyjemy? Tyle się przeżyło, tyle się widziało, tylu ludzi przewinęło się w ciągu lat, choćby, ot, w tym jednym mieszkaniu zawsze pełnym przyjaciół, kotów i prymulek na oknach...

Ile filmów wesołych i smutnych „nakręciło“ życie w prywatnym *atelier* naszego domu! Ile aktualności, zupełnie jak w „dzienniku PATa“, spiętrzało się pod szklanym dachem naszego „saloniku“. Z okna jadalni patrzyliśmy, jak topniała powoli chmura czarnego dymu, aby ukazać tragicznie załamaną linię mostu wysadzonego w powietrze przez Moskali... Potem okupacja niemiecka: ciężkie, szare dni, kawa zbożowa z sacharyną, odśrubowane klamki, drewniane chodaki, ubrania nicowane tam i z powrotem — i nagle dzień niezapomniany: jedenastego listopada. Potem — pamięć już nie może nadążyć... Zdarzenia galopują. Mieszkanie pełne hallerczyków, Paderewski przyjeżdża do Warszawy, załamują się — dosłownie! — balkony pod ciężarem tłumów wiwatujących...

Potem — wspomnienia znów cwałują — skwarne lato w roku 1920... Staś u Hallera. Żony zmilitaryzowanych literatów, to znaczy ja z panią Olimpią Ligocką piszemy gorączkowo płomienne przemówienia, wygłaszane później na ulicach, w kawiarniach do małodusznych, opieszałych mężczyzn w średnim wieku, bo młodzieży już dawno nie ma w mieście...

Noc z czternastego na piętnasty sierpnia spędzam na balkonie, skąd widać we dnie Wisłę. Co chwila błysk — i wkrótce po nim

huk armatni. Tej nocy bolszewicy byli już w Markach, tej nocy zginął Pogonowski, ale przedtem — uratował Warszawę!

Ilu bezimiennym bohaterom i takim, o których muszą powstać „epopeje rycerskie“ — podawało się rękę najzwyczajniej, mówiąc: „Jak się masz? Co tam słychać nowego?“

Pamiętam — wpadł kiedyś Wojtek Kunicki rozpromieniony, z błyszczącymi oczami:

— Nareszcie! — oznajmił nam — nareszcie!

Skończył podchorążówkę i nazajutrz ruszył na front. Nie mógł się doczekać tej chwili. W trzy tygodnie później dowiedziałam się, że już po nim. Został po tamtej stronie, podczas odwrotu naszych wojsk, kędyś za Białymstokiem. Może go wzięto do niewoli? Wojtka? O, nie. Widziano, jak się odstrzeliwał, otoczony bandą krasnoarmiejców. Matka jego chodziła w jasnych sukniach i mówiła każdemu ze znajomych: „On się przecież znajdzie. Wróci... Może po wojnie? Trzeba czekać“. Nie wrócił. Po kilku latach spotkałam ją w żałobie. Powiedziała: „Wyście się przecież dawno znali. Taki był zawsze wesół, tyle w nim było życia...“

Mój Boże! Tyle lat... Sprzęty stoją na dawnych miejscach. Nawet niewiele z nich ubyło. Tylko ludzie przychodzą i odchodzą.

Coraz więcej znajomych, miłych twarzy trzeba wskrzeszać słowami: Czy pamiętasz?

Weszła Elżbietka z wiadomością, że śniadanie gotowe. Myśli zwolniły biegu, jak pociąg przed stacją. Prawie całe ćwierćwiecze kurczy się do wymiarów normalnego dnia, do stwierdzenia, że dziś jest *wtorek*. Bardzo wiele minęło wtorków od wieczoru w Teatrze Małym, kiedy w tłumie ludzi, podczas antraktu Wiktor, syn Jana Popławskiego — szepnął mi na ucho, wskazując wysoką postać zdążającą wprost ku mnie: „To jest właśnie Staś Miłaszewski, o którym tyle ci mówiłem".

Kwadratowa plama słoneczna zaczyna z podłogi gramolić się na tapczan. Mam ochotę zapytać: „Stachu, czy naprawdę to już tak dawno, gdy miałam osiemnaście lat, a ty dwadzieścia sześć?" Czas jest pojęciem bardzo względnym... Nawiązuję więc do rozmowy przerwanej — kiedy? przed kwadransem, a może przed godziną — i mówię:

— Sama nie wiem, jak to się stało, ale się stało: już nie jesteśmy młodzi...

— Co ci nagle przyszło do głowy?

— Nic, prócz wspomnień... Mamy ogromnie dużo wspomnień, prawda? Weszliśmy zatem w pas graniczny nowej epoki — bo młodość nie wspomina. Nie ma na to fizycznie czasu. Młodość tylko *żyje*, patrzy w jutro i nie odwraca głowy. Ale i dla niej nadejdzie taki dzień. Taki *wtorek*. Sięga się wówczas w przeszłość, jak do zapomnianej szuflady, w której tkwiły pamiątki z lat dziecinnych. I nagle okazuje się, że to prywatne muzeum wspomnień jest nie tylko naszą własnością... Stanowi cząstkę ogólnego dorobku, jest świadectwem obyczajów starego pokolenia. Znaliśmy wielu ludzi, a spośród nich niejeden przeszedł lub przejdzie do historii narodu. Ani nasz kot, ani wieczne pióro, które właśnie Szarusia usiłuje wcisnąć pod szafę — nie są obiektami godnymi zainteresowania dla ogółu. Ale gdyby ten kot spełnił jakąś ważną rolę w życiu wielkiego twórcy, miałby swoje miejsce w biografii, a może nawet pomnik, jak As Dygasińskiego. Kapelusze Napoleona były zwyczajnymi kapeluszami, dopóki ich używał, a przecież są dziś przedmiotami bezcennej wartości muzealnej... Wielcy ludzie mają ten przywilej, że ciągną za sobą w nieśmiertelność nawet sprzęty codziennego użytku, które ich otaczały. Myślę, że niejeden drobny szczegół, zapisany w naszej pamięci, mógłby posłużyć za materiał dla przyszłych historyków i badaczy naszej kultury. Skoro już *wspominamy*, niechże te wspomnienia wyjdą z kręgu naszych miłych, ale zbyt osobistych porannych pogawędek. Pro-

ponuję ci opracowanie wspólnego tomu wspomnień. Może warto napisać książkę dla tych, którzy nie pamiętają, bo są na to za młodzi?

Staś nie odpowiada od razu i uśmiecha się po swojemu, *tak młodo*. Ów pogodny uśmiech, to jego nowa zdobycz: pojawił się na ustach po raz pierwszy w ciężkich godzinach próby, w klinice chirurgicznej, gdy po walce o życie — myśl o trwałym kalectwie wydawała się już wielką wygraną.

Ale i te wspomnienia należą do przeszłości. Znajdą kiedyś właściwą formę, swój artystyczny wyraz w sztuce. Bo każdy ból, każda radość ludzka ma swoją wartość i prawo do istnienia w literaturze, jeżeli została wyrażona *słowami*, na podstawie przeżytej albo wyczutej *prawdy*.

Fotografie...

O jakimś wczesnym zmierzchu zimowym albo w słotną niedzielę ktoś obwieszczał nowinę:

— Chodźcie prędko! Mamusia porządkuje fotografie!

Biegło się do salonu: Mama siedziała zazwyczaj na dywanie obok szafki oszklonej, a wokoło piętrzyły się sterty papierów. Była tam rodzinna korespondencja w pudełkach

od cukierków albo wprost powiązana w paczki sznurkami. Były staroświeckie albumy ze spłowiałego aksamitu lub ze skóry wytartej na kantach. Były też luźne, sztywne, duże kartony „grup rodzinnych" oraz dziesiątki — co mówię! — setki zdjęć w kopertach z wypisaną na wierzchu zawartością:

Więc — „Konstancin". „Wakacje w Beg Meil". „Adamowscy". I znów „Konstancin" z inną datą. Znowu „Dzieci nad morzem". „Juan les Pins"...

Znamy na pamięć każdy obrazek, ale tego nigdy nie dosyć. Wracamy do przeszłości, jak dzieci do ulubionej książki, przeczytanej sto razy.

Na przykład — zdjęcie na ganku w Konstancinie. Całe stadko w komplecie. Nie brak nawet panny Felicji z imponującym kokiem upiętym wysoko rogowymi szpilkami. Śmieszny gnomik z bombiastym czołem, wydzierający się z objęć niańczynych, jest moją siostrą Zośką. A bosonoga postać na pierwszym planie, sięgająca łakomie do koszyka, to oczywiście — ja.

Pamiętam — trzydzieści z górą lat pamiętam — że to były tak zwane „szklanki": przezroczyste, mocno cierpkawe, smaczne właśnie dlatego, że nie przeznaczone do zjedzenia w stanie surowym, tylko na kompot.

I może dzięki tym „szklankom“ fotografia ożyła nagle. Już wiem, co będzie dalej. Tatuś powie zaraz: „Skończone. Nie wiem, czy się Julcia nie poruszyła“. Potem mama każe sprzątnąć koszyk z wiśniami. „Bo Wandzia zjadłaby wszystkie, do ostatniej!“ Panna Felicja zniknie w czeluściach domu, a ja puszczę się pędem w głąb lasu położonego za ogrodem. Jest tam miejsce czarowne: małe wzgórze, w połowie rozkopane, skąd robotnicy biorą piasek. Nikt by nie zgadł, że w tym właśnie piasku trafiają się kamuszki jasnopopielate i kruche. Łatwo je w palcach rozgnieść na miał. Kiedy natrzeć nimi płócienne pantofelki, wyglądają jak nowe i jakby były z zamszu. Tylko później w domu panna Felicja kręci głową i mruczy: „Znów ktoś narobił śladów na kanapie, a wczoraj była wytrzepana!“

W pobliżu kopalni moich szarych kamyczków rośnie gruba, stara sosna. W połowie sosny wystaje duży sęk, a na nim siedzi dzięcioł. Zaraz wyciągnę rękę i zawołam: „Chodź!“ A dzięcioł sfrunie i usiądzie mi na ramieniu.

Trzeba mieć dużo, dużo wiary w możliwość tego cudu — i wtedy cud się dzieje: dzięcioł *rzeczywiście* siądzie mi na ramieniu i doniosę go aż do domu, pełna pobożnego

skupienia... Dopiero tam się dowiem, że ptak był oswojony! Uciekł z rana sąsiadom z pobliskiej willi. Ale fakt, że dzięcioł przyszedłby do każdego, nie umniejsza wcale mojej radości. Pragnęłam czegoś *mocno* — i to coś się spełniło. Szczęście tej chwili miało smak podobny do „szklanek“: ostry, orzeźwiający i cokolwiek cierpkawy... Bo musiałam oddać dzięcioła właścicielom.

Tak wyglądał słoneczny dzień uwieczniony na tatusiowej kliszy. Tak właśnie biegły dalsze sceny filmu, te, których już nie schwycił obiektyw. Uczyniła to pamięć. Najcudowniejszy, *szósty* zmysł człowieka — pamięć!

Ogarnia ona wszystko, całe życie dużej rodziny. Zapisuje sumiennie nawet te wydarzenia, przy których nas nie było. Bo czyż koniecznie trzeba samemu być? Wystarczy *wiedzieć*.

Kiedy mama wyjmuje stare fotografie, te najdawniejsze, już dzisiaj historyczne — patrzą nam prosto w oczy panie w krynolinach, wąsaci i brodaci panowie, małe dziewczynki w majtkach wyglądających spod bombiastych sukienek i niezgrabnie ubrani chłopcy.

Tylko w pierwszej chwili wydają się trochę zabawni. W życiu wcale nie byli śmieszni, raczej — *nadzwyczajni*. Dokonali czynów wspaniałych, bohaterskich, o których my —

wnuczki i prawnuczki — szepczemy koleżankom szkolnym, bo o takich sprawach nie wolno było mówić głośno:

— Mój pradziadek — i dziadek — i brat babuni — wszyscy byli na Syberii... Rozumiesz?

Dziadek Aleksander Szumowski (mama nazywa go po prostu „tatą“) ożenił się na krótko przed powstaniem. W roku 1864 młoda żona pojechała za nim... do Orenburga. Kobiety-Polki dobrowolnie towarzyszyły mężom na wygnanie[1]). Moja prababka, Anto-

[1]) Cioteczna siostra mojej babki, Maria z Bohowityn Kozieradzkich Świderska, trzynastoletnia wówczas dziewczynka, tak opisuje wstrząsające sceny wyprawiania więźniów z Kijowa na Sybir:

„...W fortecy przepełnienie, więc wyprawiają całe partie... Jednych do ciężkich robót i ci idą w kajdanach, innych na „posjelenie“ (na osiedlenie) w Syberii, a że idą pieszo, ta droga trwa bardzo długo, całe miesiące i lata, a po drodze zatrzymują ich na etapach, w takich strasznych więzieniach, gdzie natłoczeni... w okropnym zaduchu nocują na pryczach, bez żadnego posłania lub na ziemi, gdy miejsca nie ma, gryzieni przez roje zgłodniałych obrzydliwych owadów, tak że pokrwawieni, opuchli, z rana ledwie na nogach utrzymać się mogą. I strawę im przynoszą ohydną w kubłach brudnych, stęchłą, zgniłą, z robakami... I takie męczarnie znoszą przez całe miesiące... a starają się wlec dalej, żeby... nie rozstawać się z towarzyszami. Między tymi towarzyszami są i zbrodniarze... wszyscy umyślnie gnani na Sybir z dziećmi najlepszych rodzin, najpiękniejszego wychowania, żeby powiększyć ich mękę... Większość nienawidzi „paniczów“: okradają ich, szukają zwady... A gdy się zrobi hałas w izbie, wpada oficer, najczęściej pijany, i wszystkich bić każe... Strach nawet pomyśleć o tej niedoli, o tym piekle, do którego gnają naszych ukochanych, a tymczasem rozmaite panie nasze, Polki prawdziwe, które mają tam mężów, braci, synów..., idą razem z nimi, wystarawszy się z wielkim trudem o pozwolenie, a jechać w swoim powozie nie wolno. Uwierzyć trudno, ale takie osoby wątłe, delikatnie wychowane, ubierają się jak wieśniaczki i pieszo idą z partią, żeby wyprosić u oficera, jeśli się znajdzie jakiś lepszy trochę, pozwolenie na zgotowanie jadła gdzieś w chacie chłopskiej, na przepranie bielizny dla naszych męczenników. Czyż to nie bohaterstwo? Większe niż tych, którzy na polu bitwy walczą. Czy gdziekolwiek, w jakim kraju na świecie, robią kobiety coś podobnego? I widocznie Bóg im sił dodaje, bo nie padają na drodze, znoszą te trudy i męki niewymowne i są jak Anioły opiekuńcze więźniów naszych.

Niedawno w kościele klęczała modląc się gorąco jakaś pani młoda i blada bardzo; nagle zachwiała się i padła na posadzkę... Podnieśli ją, otrzeźwili i odwieźli do domu. To była hr. Romanowa Bnińska, która się wybiera z partią, bo mąż jej zesłany na Sybir. Ona taka wątła, prosiła pewnie Boga o siłę i odwagę: biedna!...“

(Maria Świderska: „Dziennik małej patriotki“ z r. 1860—65, str. 138—139. Nakł. księg. J. Pisza w Tarnowie).

nilla Roszkowska, dwukrotnie odbyła uciążliwą podróż do gubernii jenisiejskiej. Pierwszy raz pośpieszyła za mężem, a po styczniowym powstaniu zesłano tam jej syna więzionego 3 lata w Kijowie; dziwnym zbiegiem

okoliczności znalazł się znowu razem z matką w miejscu swojego urodzenia. Gdy był maleńki, siostra jego a moja babka, „Wandziunia", pozostawiona przez rodziców w kraju[1]), modliła się codziennie za zdrowie nieznanego braciszka... Jakże rozdzierające musiały być chwile rozstania, z jakim wzruszeniem witano się po latach, zanim nadszedł nowy okres rozłąki!

Kiedy mama opowiada głosem zawsze wzruszonym o czasach znanych jej również jedynie z opowieści, pochylamy się nisko nad każdą fotografią, aby lepiej zobaczyć te kobiety o gładko rozczesanych włosach i białych rękach, złożonych jednakowym gestem „Giocondy". Wszystkie wyglądają, jak wielkie damy: zazdrościmy im sukien jedwabnych, połyskliwych, fałdzistych... A mama powtarza zapewne po raz setny:

— Tam, na obczyźnie musiały prać, gotować, leczyć chorych i zarabiać na życie lekcjami.

W międzyczasie rodziły dzieci, które ostry klimat sybirski zmiatał z powierzchni ziemi

[1]) U siostry, Julii z bar. Pfaffiusów Bohowityn Kozieradzkiej. M. Świderska tak pisze o tym rozstaniu: *„...nasza mała Wandziunia Roszkowska czteroletnia mdlała, żegnając się z matką na Sybir jadącą, a dziś ona znowu na wygnaniu hoduje córeczkę maleńką..."* („Dziennik małej patriotki", str. 161.)

do maleńkich mogiłek. Później — po powrocie do kraju — *nowe* dzieci chowały się już zdrowo, a one za to marły w kwiecie wieku, jedna po drugiej, na suchoty. Tak widocznie wypadało umierać żonom i siostrom sybiraków.

Bardzo długo żyłam w głębokim przeświadczeniu, że Syberia to był ongi jakiś etap konieczny, jak w naszym dzieciństwie okres szczepienia ospy lub wypadania mlecznych zębów. Opowiadając o różnych wydarzeniach rodzinnych, mama dodawała dla orientacji:

— Ale to było jeszcze przed wyjazdem Buni na Sybir...

Albo też sprzeczając się z rodzonymi siostrami o jakieś daty ślubów, urodzin, zgonów, dowodziła żarliwie:

— Nie, nie! Przecież to było po powrocie *taty* z Syberii!

Niekiedy podczas jakiejś „zasadniczej" dyskusji współczesnej, w której bierze udział cała rodzina, „tata" Szumowski zmienia się nagle w *ojca*. Zaperzone córki wyciągają najsilniejszy argument:

— Jestem pewna, że tak właśnie postąpiłby *mój ojciec!*

— Pozwolisz, że i *mój* — wtrąca wówczas ciocia Niutka, najmłodsza z całej piątki rodzeństwa. Jakże jest przy tym podobna do

portretu mojej babki malowanego przez mamusię z maleńkiej fotografii!

Wiedziałam, że dziadek był wyjątkowo mądrym, prawym i czcigodnym człowiekiem. Mówili o nim z uwielbieniem wszyscy jego dawni uczniowie. Kochano go i szanowano powszechnie. Musiał na to całym życiem zasłużyć, skoro w tyle lat po jego śmierci przy odsłonięciu w kościele na Koszykach tablicy pamiątkowej zebrało się poza rodziną tak wielu obcych ludzi. Niektórych tylko znałam z domu Rodziców. Był między nimi Roman Dmowski.

Dowiedziałam się później od mamusi, że to wszystko dawni „uczniowie taty". Przyszli złożyć hołd temu, który w najcięższych latach popowstaniowych, w sercach spopielałych od bólu umiał podsycać nadal ogień miłości czynnej dla ojczyzny w kajdanach.

Władze rosyjskie zabraniały mu po kolei wykładać takich „niebezpiecznych" przedmiotów, jak literatura, historia, nawet łacina, ponieważ każde imię w jego ustach stawało się lekcją patriotyzmu. Ale kiedy dziadkowi pozostawiono w końcu tylko „jeografię" jako teren najmniej podatny do „niebłagonadiożnych" analogij — umiał i na tych nawet wykładach skupiać w koło siebie młode, chłonne duszyczki, uczyć je czuć i myśleć, cierpieć z godnością i jednocześnie — wierzyć.

A skoro wiedziało się o dziadku tyle rzeczy pięknych i wzniosłych, nie łatwo było pogodzić to z inną częścią kronik rodzinnych, obfitujących w różne komiczne opowieści... Bo dziadek słynął z roztargnienia, zaś uczniowie jego, tak jak wszyscy chłopcy na świecie, płatali kochanemu profesorowi liczne figle... Uwielbiali go, co nie przeszkadzało bynajmniej spinać rękawów jego płaszcza, pakować do kaloszy gałek z papieru lub tymiż kaloszami znaczyć błotniste ślady na ścianie, wysoko aż pod sufit.

„Pan profesor" podchodził, patrzył... i powtarzał trochę bezradnie:

— A figlarz! Ale... jak on tam wszedł?

Studiując fotografie poważnych i skupionych twarzy męskich lub ciemne stroje kobiet wyglądających raczej na własne babki, niż na młode jeszcze mężatki z wiankiem drobnych dzieci u kolan — usiłowałam sobie wyobrazić, że wszyscy oni byli kiedyś tacy sami jak my: *musieli* lubić hałaśliwe zabawy, niedojrzałe owoce, *musieli* łamać w lesie gałęzie do strugania strzał i maczać nogi w każdym napotkanym strumieniu... Może kiedyś byli także łakomi, ciekawi i niegrzeczni... Niewątpliwie — gdy byli dziećmi... Ale to się wydawało mało prawdopodobne.

I dlatego, zajadając prosto z krzaka porzeczki sposobem wypraktykowanym (ścią-

gnąć z szypułki całą garść i wpakować do ust „ile wlezie") — nagle przerywałam tę czynność, aby pobiec do domu i zagadnąć kogoś ze starszych:

— Ciociu? Czy babcia Wandzia też skakała przez płot? Czy twój tata lubił porzeczki?

Później starsi twierdzą, że dzieci mają zawsze jakieś bezsensowne pytania, że głupstwami zaprzątają głowy sobie i innym. A czyż całe nasze bytowanie nie polega na „wmyślaniu się" w życie własne i cudze? Cóż innego robią filozofowie? Cóż innego stwierdził Kartezjusz pisząc: „Myślę — więc jestem"?

*

Myśląc o dziadku i babuni Szumowskich, mogłam ich sobie wyobrazić, ponieważ ich nie znałam. Gorzej było z prababką Antonillą. Miałam lat sześć, a ona osiemdziesiąt trzy lata, gdy umarła.

Pamiętam już tylko sparaliżowaną staruszkę, którą przenoszono z łóżka na fotel i z fotela na łóżko. Atak apoplektyczny na parę lat przed śmiercią poraził jakieś centra mózgowe: „Bunia", zachowawszy całą jasność myślenia, używała słów niewłaściwych, czasem aż rażąco sprzecznych z intencją, w jakiej były wypowiedziane. Wywoływało to nieraz mimowolną wesołość słuchaczy,

choć było tak tragiczne... dla niej. Pragnąc na przykład jak najgościnniej powitać „Staruszków" Adamowskich[1]), przybyłych do niej z pierwszą oficjalną wizytą, wygłosiła zdanie, bynajmniej nie licujące z sytuacją:

— Aaa, i te dwa gałgany już są...

Jeden z najstarszych przyjaciół mej prababki, zesłaniec, kolega dziadka z Orenburga, p. Adam Kostrowicki, którego wysoką, szczupłą postać i wspaniałą „hyrę" śnieżnych włosów doskonale pamiętam, znosił z całym stoicyzmem, kiedy go nazywała „Prześcieradłem", choć to słowo nie miało nic wspólnego z imieniem, jakie otrzymał na chrzcie świętym. Kiedyś wszakże „nie zdzierżył" i opuścił czcigodną staruszkę w porywie rozżalenia, tłumacząc później znajomym, że *tego* nie był w stanie wytrzymać:

— Powiedziała do mnie „Panno Emilio!"... Wiem, rozumiem, choroba!... Nie mam żalu o „Prześcieradło", ale mnie, *mnie* nazwać *Panną Emilią!* Tego już nie mogę darować!

Zżymał się, szurzył, chociaż — oczywiście — przebaczył tę „obelgę" starej, schorowanej kobiecie.

---

[1]) Rodziców Józefa, znanego wiolonczelisty, profesora konserwatorium bostońskiego, żonatego z najstarszą wnuczką „Buni" a moją ciotką, Antoniną Szumowską.

Mam w oczach jej postać, podobniejszą do spowitej w czerń kukiełki woskowej, niż do żywej istoty ludzkiej. Była kiedyś sławną pięknością.

Mam dotąd w uszach jej głos, a raczej rwany bełkot, pełen dziwacznych słów bez związku... Mówiła ongi świetnie kilkoma językami, posiadała wielkie zdolności, bystrą inteligencję oraz wyjątkowe, jak na niewiastę owych czasów, wszechstronne wykształcenie...

I wreszcie — pamiętam jej zgorzkniałą, zrzędną, starczą bezradność... A podziwiano powszechnie energię, mądrość i ofiarność tej niepospolitej kobiety, o której pełno wzmianek imiennych w pamiętnikach, częściowo drukiem ogłoszonych, z lat czterdziestych i sześćdziesiątych...[1]) Jeszcze niedawno, przed kilku zaledwie laty, znalazłam w odcinku powieści historycznej[2]) przejmująco plastyczny opis tej wybitnej postaci[3]), tak ponętnej, tak charakterystycznej zarówno dla dziejopisa, jak i dla powieściopisarza.

Nie tylko wśród najbliższych wspominano ze czcią jej imię — Antonilla — piękne

---

[1]) Wiele też wspomnień osobistych poświęca Antonilli Roszkowskiej siostrzenica, Maria Bohowityn Kozieradzka, znana później jako pisarka M. Świderska.

[2]) A. Wysocki: „Polonez Ogińskiego".

[3]) Autor podał w powieści imię i nazwisko mojej prababki.

w brzmieniu i tak niezwykłe, jak niezwykłą kobietą była moja prababka.

Była... Straszliwe słowo, zmuszające dziecinną wyobraźnię do myśli zbyt trudnych, ani mózgiem, ani tym bardziej wiedzą nieogarniętych. *Była.* Cóż więc się stało z jej rozumem, pięknością, z wielkim sercem żony, matki i patriotki?

I kimże będę kiedyś ja sama, która urodą, charakterem, umysłem — *nigdy* jej nie zdołam dorównać?

Nie pamiętam nic, tylko tę jej ostatnią, przedśmiertną maskę, jakże niepodobną do fotografii z dawnych, pradawnych lat... A przecież owa „Bunia" *musiała* już istnieć, ukryta w małym, białoróżowym ciałku. *Była* dzieckiem w epoce, do której nie docierają rodzinne fotografie! Nawet — „nowość": dagerotypy!

Dopiero znacznie później, po śmierci „Buni", gdy już sama wyrosłam z pierwszych dziecinnych „konterfektów", objawiło mi się nagle wspaniałe prawo *trwania i przemijania.*

Było to już w innych, *krakowskich* czasach. Mieszkałam u stryjostwa. Razem z czwórką „domowych" dzieci hałasowaliśmy w pokojach tak naładowanych *przeszłością,* jak szafka mojej matki pamiątkami.

Tylko że tam — „przeszłość" spoglądała ku nam ze ścian, ze sczerniałych portretów,

z miniatury pradziadka, pułkownika w napoleońskim stroju, z cudnych oczu damy w czerwonej sukni i sobolowym kołnierzyku. Wiedziałam o niej tylko jedno: że jest matką babuni Jentysowej, a więc *także* moją najrodzeńszą *prababką!*[1])

Trzy pokoje: salon, gabinet stryja i jadalnia roiły się po prostu od antenatów, których rodowody i koligacje znane były chyba tylko stryjence. Wyliczała niekiedy nazwiska i „tytuły do sławy" z godnością i powagą osoby dokładnie poinformowanej. Wskazywała „Virtuti Militari" widniejące na piersi pradziadka. Ale my, uzbrojeni w drewniane miecze i papierowe ordery (pozostałość po „kotylionach"), woleliśmy harcować po ogródku i — w braku poważniejszych ran — obrywać choćby tęgie guzy z ręki nieprzyjaciela.

Otóż pewnego dnia ryczałam właśnie wniebogłosy nie tyle z bólu, co ze złości na któregoś ze stryjecznych braciszków, sprawcę jakiejś kompromitującej porażki. Łzy toczyły się gradem po twarzy, musiałam być czerwona jak burak.

— Patrzcie! — zawołał nagle Cześ — ona wygląda teraz jak pradziadek, ten, co wisi w salonie!

---

[1]) Żona Ksawerego Petzolda, z domu Miaskowska.

Wzięłam to — nie wiem czemu — za jeden jeszcze kamień obrazy, ciśnięty w moją stronę. Łzy oschły w mgnieniu oka. Odpaliłam:

— Nieprawda! Wszyscy mówią, że on jest podobny do ciebie! To *ty* tak wyglądasz, ty, ty! Ja jestem podobna do tatusia!

Sprawa oparła się o najwyższą instancję. Stryjenka w pierwszej chwili nie rozumiała nawet, o co nam chodzi. Padały skrzyżowane w powietrzu pytania, wykrzykniki, skargi. Wmieszany był w to wszystko pułkownik z miniatury... Dopytywałam natarczywie:

— Prawda, stryjenko, że to nieprawda? Stryjenka sama zawsze mówi...

— Ale niech mama dobrze spojrzy! Minę ma zupełnie, jak ten pradziadek... Nawet w tej chwili... O, niech mama popatrzy!

— Rzeczywiście... — powiedziała powoli, przenosząc oczy z mojej twarzy na malowidło i odwrotnie. — Jest pewne podobieństwo... To zresztą nic dziwnego...

Nic dziwnego? Miałam jedenaście lat, jasne włosy, śliczną cerę i nos rokujący wszelkie nadzieje, że będzie powtórzeniem subtelnych rysów babuni Jentysowej... (Nadzieje te zawiodły z czasem: otrzymałam od losu — po kądzieli! — wybitny profil skandynawski...) A pradziadek odznaczył się tylko na

polu bitwy, nie urody. Moje aspiracje estetyczne zostały zdruzgotane. Długi czas nie mogłam strawić aluzji do tego „podobieństwa“. Cierpiałam — i nie umiałam tego ukryć, więc oczywiście... chłopcy prześladowali mię pradziadkiem, a gdy gniewałam się, Cześ mówił:

— O, jaka zła! jaka zła... pani Mandzia!

Autorskie prawo do tej nazwy pozostało mu z czasów zamierzchłych, gdy oboje dopiero uczyliśmy się mówić...

Istotnie — byłam wściekła, tym bardziej, że bezradna zupełnie. Ukradkiem, ale bacznie przyglądałam się teraz portretom. I — o dziwo! — sypały się jedno za drugim coraz nowe odkrycia. Już nie tylko w portretach u stryjostwa, lecz i w innych malowidłach rodzinnych, a zwłaszcza w znanych od dawna fotografiach błyskało raz po raz coś dobrze znajomego... Piękność albo szpetota cudzych rysów utrwalonych na płótnie, na papierze, na porcelanie nawet (bo i takie podobizny z czasów saskich trafiają się wśród rodzinnych pamiątek) — narzuca naszym rysom piętno mocne, niestarte, jak cała przeszłość...

Dwoma strumieniami krwi żywej, krwi ojca i matki tętni ona w skroniach naszych i powraca znowu ku sercu. Krew ta sama,

która płynęła w minionych pokoleniach. Dziś wiem, że podobieństwa i różnice nie zacierają się z upływem lat, tylko istnieją w nas niezmiennie, poprzez wszystkie, wszystkie godziny życia, od kolebki aż do mogiły.

Już nie czuję żalu do pradziadków i do prababek, że tak bez ceremonii, z zaświata, układają nasze rysy w wyraz cierpienia czy radości. Skoro nie ma ich już, skoro zamknęły się ich oczy, a drgania żywych głosów wyszły poza glob ziemski, w nieskończoność — my jedni możemy im dać możność *trwania*, my, którzy również przeminiemy cieleśnie i również zostawimy po sobie tak niewiele:

Wspomnienie — i stare, wyblakłe fotografie...

Wzlot

Salon w domu Rodziców miał zielone tapety, meble na kruchych, wątłych nóżkach i portiery sukienne, nieocenione zwłaszcza do gry „w chowanego“. Na ścianach wisiało wiele pięknych obrazów — ale całą moją uwagę pochłaniało pianino stojące na honorowym miejscu.

Musiałam być wtedy bardzo mała: mój wszędobylski, ciekawy nos sięgał z trudem ponad klawisze. Wspinałam się na palce, aby wybębniać wojownicze melodie przy pomocy

obu ściśniętych pięści. Starsi zatykali uszy wołając:

— Oho, już tam grasuje Wandzia!

Kto żyw, biegł do salonu zamykać na klucz wieko czarodziejskiego instrumentu. Tłumaczono mi — czasem łagodnie, czasem cierpko — że grać nie umiem, że jestem jeszcze *za mała, że*... pianino jest tylko dla dorosłych.

Dorośli to bardzo samolubne istoty. Tworzą jakieś teorie, jakieś prawa, dogodne tylko dla nich. Kto nie należy do tej „kliki", temu ciągle czegoś *nie wolno* i zmuszony jest stale przekraczać różne bezsensowne zakazy.

Na przykład — pianino! Jestem za mała! Nie umiem grać! Ja, która w czwartym czy piątym roku życia miałam już własną teorię muzyki, opartą na licznych, sumiennie przeprowadzonych badaniach! Stwierdziłam na przykład, że niektóre dźwięki kłócą się ze sobą, zupełnie jak nasza kucharka z niańką Rózią. Inne znowu mają brzmienie słodkie i pieszczotliwe. Przemawiają jak przyjaciele: — Tak, kochanie. Dobrze, kochanie...

Dzień, w którym udało mi się przy pomocy obu rąk wziąć czysto akord C-dur, stał się dniem epokowym w moim życiu. Mocno przyciskałam klawisze, aby tego dźwięku nie spłoszyć. Gdy ucichł wreszcie, powtórzyłam go znowu i znowu. A później — wyrwana

z ekstazy dłonią bony — odtańczyłam w dziecinnym pokoju dziki taniec radości.

Panna Żaneta, poprawiając na siwych włosach przekrzywiony czarny „fanszonik" (pochodziła z epoki, kiedy jeszcze noszono fanszoniki), rzekła z westchnieniem:

— Wandzia znów dziś *szalona!*

Nie byłam szalona. Byłam tylko bezgranicznie szczęśliwa. Zrobiłam wiekopomne odkrycie, że z pojedynczych nut powstają harmonijne dźwięki, że je mogę wywoływać z nicości, powtarzać i odmieniać do woli. Czułam się po raz pierwszy małym, zapoznanym geniuszem! Czułam, że drzemią we mnie twórcze siły czekające tylko na przyzwolenie, aby rozwinąć skrzydła i w zwycięskim locie okrążyć wszechświat!

Rodzice bardzo byli dalecy od przypuszczenia, że tuż obok ich sypialni w lakierowanym łóżeczku z niebieską siatką śpi taka znakomitość.

W miarę jak podrastałam, sypały się coraz częstsze bury za marudzenie przy jedzeniu i ubieraniu. Któż mógł zgadnąć, że jem powoli, bo nad talerzem kaszy odśpiewuję w myśli preludia i fugi Bacha, starając się utrzymać takt i *przełykać rytmicznie!*... Albo że w łazience odbywa się próba generalna wielkiego poematu symfonicznego!

Nie przejmowano się ważnością chwili, bez ceremonii otwierano drzwi:

— Co ty wyprawiasz, Wandziu, że się tak strasznie guzdrzesz? Śniadanie ci zupełnie wystygło!

Mała postać w długiej nocnej koszuli, tak brutalnie wyrwana z ekstazy twórczej, brała się do... czyszczenia zębów. Ale już po chwili szczoteczka była znowu batutą kapelmistrza. Wykonanie — pierwsze i zazwyczaj ostatnie! — własnej symfonii pochłaniało mię całkowicie, „bez reszty".

Wszystkie przedmioty służące przy porannych ablucjach wchodziły w skład improwizowanej orkiestry. Rytmicznymi ruchami otwierałam i zamykałam krany z wodą, dzwoniłam w szklanki i flaszki z lekarstwami. Rolę kontrapunktu spełniały moje stopy, czasem — ręce rozczapierzone na krawędzi wanny, czasami — uderzenia serca.

Dziś, gdy odtwarzam w pamięci „kraj lat dziecinnych", raczej *słyszę* owe czasy, niż *widzę*.

Jak daleko sięgnę pamięcią, dom był zawsze pełen muzyki. Najpierw — śpiewała do snu mama... Nauczyłam się później wielu, wielu piosenek, ale tylko te „mamine" pamiętam wszystkie po dziś dzień. Repertuar był bogaty, nawet wielojęzyczny: „Ne chody, Hryciu", „O matko moja, matko rodzona",

„U susida chata biła, u susida żynka miła, a u mene ani żynki, nema szczaścia ni chatynki..." i „Za Niemen tam precz! Koń gotów i zbroja..." Aż do bardzo zabawnych:

„Un jeune crapaud, seigneur du marécage,
Laïtou la là! Laïtou — la là!"

Były piosenki ukochane i piosenki, od których zawsze, choć na chwilę, cierpło małe serduszko. Niektóre miały skomplikowany rytm lub długą, rzewną kantylenę... Na przykład ta o „Wilkołaku":

Le lougarou, mon petit ange,
Suit tout le monde à chaque pas...
Il court la nuit, et puis il mange
Tous les enfants, qui ne dorment pas...

Le lou-ga-rou... To jedno słowo tworzyło pasaż majorowy i płynęło, jak głos nad wodą, w nieskończoność... To nic, że wilkołak biegł w tropy nieposłusznych dzieci, które nie chciały zasnąć... Jego imię w brzmieniu gallijskim upajało jak zapach miodownika na miedzy, jak kołysanie łódki, jak huśtawka zawieszona wysoko między dwiema sosnami. Le... lou... ga... rou...

Dom był także pełen muzyki — tej *prawdziwej*. Tygodnie, czasem całe miesiące upływały pod znakiem jakiejś melodii, tak wrośniętej w życie powszednie, jak bławatki wrastają w żytni łan: nieposiane, rzekomo nie-

potrzebne, a przecież nieodzowne dla oka... Niekiedy od bławatków stawało się w sercu niebiesko: przyjeżdżała z Ameryki ciocia Tolcia[1]), by wśród rodziny spędzić wakacje. Wtedy wiejski dworek, willa podmiejska lub domek nad morzem rozbrzmiewały dźwiękami fortepianu.

Wieczorami przez otwarte okna płynęły ku sadom zacienionym szopenowskie nokturny. Jeszcze nazajutrz w trawie błyszczały wielkie krople łez, które tylko niewtajemniczeni śmieli nazywać rosą.

Ranki upływały mniej poetycznie: ciocia Tolcia przygotowywała się do jesiennych koncertów. Sonatę Waldsteinowską poznawałam więc nuta po nucie i dziwiłam się w duchu, że nasza kucharka wypada z taktu, siekając szpinak. To było takie proste: zwalniać i przyśpieszać uderzenia tasaka! Ja sama, biegając po ogrodzie, zupełnie bezwiednie zachowywałam rytm. Doszłam wreszcie do wniosku, że kucharki — to istoty wyjątkowo niemuzykalne. Gdyby było inaczej, mogłyby gotując obiad tworzyć bardzo interesujące dzieła muzyczne z przewagą instrumentów perkusyjnych, jak rondle, moździerz i brytwanki.

[1]) Siostra mej matki, uczennica Paderewskiego, Antonina Szumowska Adamowska była bardzo znaną w Ameryce pianistką.

Twórczy ten pomysł został wkrótce potem wykorzystany — i spaczony — przez wchodzący w modę amerykański *jazz*.

Ale Ludwik van Beethoven — wysłuchiwany nawet w porcjach ośmiotaktowych — był mimo to upajający. Lato upłynęło pod *jego* znakiem, tak jak znowu inne wakacje miały na imię „Karnawał“ Schumanna. „Druga Rapsodia“ Liszta i — Szopen, Szopen, Szopen...

Drugim, bardzo poważnym źródłem wiedzy muzycznej był dla mnie wuj rodzony, przyjaciel Karłowicza. Zarzucił grę na skrzypcach, osiadł na wsi, ale z muzyką wziął rozbrat tylko połowicznie.

Podróżując wiele po świecie, zawadzał zawsze o Warszawę i — naturalnie — także zatrzymywał się u nas.

Pamiętam: jeszcze walizy z żółtej skóry wnoszono do mieszkania, jeszcze podróżne palto kołysało się na wieszaku, a wuj siedział już w salonie przy otwartym pianinie. Wiedziałam, że nie usłyszę Beethovena, ani tym bardziej Bacha. W ogóle — tego nie można było nazwać graniem. Powoli, z namysłem brał ciężkie, bolesne akordy. Czasem dodawał półgłosem niezrozumiałe komentarze:

— Motyw Zygfryda — Motyw miecza — Pożegnanie Wotana...

Kabalistyczne słowa stały się dla mnie pewnego wieczora pełne treści. Ojciec zabrał mię na „Walkirię".

Wagner! Odnalazłam — jeden po drugim — wszystkie znane *motywy* w huczącej fali tonów... Żywioł muzyki wagnerowskiej rozżarzył we mnie *do białości* pokłady nowych uczuć.

Starsza o kilka godzin, a bogatsza o wszystkich bogów Walhalli, wróciłam do domu, aby przez szereg dni następnych zakłócać spokój domownikom... Wałęsałam się po mieszkaniu, udrapowana w szlafrok mamy i w ręczniki z łazienki, przybierając dziwaczne pozy i dobywając z gardła dźwięki, które gruboskórnie nazwano wyciem. Kto mógł zgadnąć, że przepaska na oku czyniła mnie Wotanem, albo że pokrywa z kotła od gotowania bielizny była tarczą bohaterskiej Brunhildy!

Teraz *ja* z kolei starałam się wystukać jednym palcem motyw Zygfryda, pieśń Zyglindy z pierwszego aktu — a w duszy śpiewały mi *anielskie chóry*...

Pierwsze moje zetknięcie z dramatem wagnerowskim miało jednak doniosłe konsekwencje. Od śpiewania dostałam chrypki. lecz rodzice doszli do wniosku, że słuch odziedziczyłam po najlepszych okazach rodzin-

nych w tej dziedzinie. Wniosek był bardzo prosty. Wyszukano nauczycielkę — i rozpoczęłam naukę gry fortepianowej.

Poszłam na pierwszą lekcję pełna zapału, wiary w siebie, radości. Wróciłam z niej zalana łzami. przeżuwając melancholię najgłębszego upokorzenia. Moje *improwizacje* — nawet pewien gawot zalatujący o milę *samym* Haendlem — okazały się fraszką w porównaniu z prostą pięciopalcówką. Nauczycielka tłumaczyła mi nadaremnie, że nie od razu Kraków zbudowano, że zanim w ogóle zacznę cośkolwiek grać — trzeba *ułożyć rękę*...

Układała mi rękę. Doradzała cierpliwość.

Grałam. Najpierw wprawki, potem — gamy, potem — tak zwane sztuczki. Nauka trwała kilka lat. Daleko poza „sztuczki" nie zaszłam.

Może dlatego — po dziś dzień — rozumiem na swój sposób „Wzlot" Roberta Schumanna... Przeżywam — zawsze od początku, zawsze na nowo — całą mękę podrywania skrzydeł do lotu. Ich ciężkie, beznadziejne łopotanie o ziemię, nim się od niej wreszcie oderwą, by lecieć w nieskończoność...

W krainie wspomnień — w pokoju z zielonymi tapetami — doszłam do przeświadczenia, że nie taka to prosta rzecz... urodzić się geniuszem. Można słyszeć „anielskie chóry".

a nie znaleźć *zwyczajnych* słów, tych samych słów, codziennych, które stają się nagle wyrazem objawienia — najpiękniejszą melodią.

A jednak w każdym z nas jest tchnienie Boże. Nie ma chyba człowieka, który by nie przeżył *próby wzlotu*. Przez cierpienie, przez ból — cudzy lub własny — odrywamy się, na chwilę bodaj, od ziemi, szybujemy na skrzydłach w przestworza, tam gdzie wzrok geniusza dosięga już spraw Bożych, tam gdzie wrócą *wszyscy śmiertelni*.

Dzień pod Łysicą

Grzegorzowice, we wrześniu 1934.

Letnie wywczasy rozpoczęliśmy owego roku już na pograniczu jesieni wyjazdem w Góry Świętokrzyskie.

Podróż była przyjemna i nie męcząca, dzień słoneczny, chociaż przewiewny. Krajobraz — aż do Dęblina monotonnie płaski — pod Radomiem zaczął z lekka falować i nęcić oczy pochyłością złotawych rżysk, soczystą zielenią koniczyny, malowniczymi konturami stert żytnich oraz drzew znaczących na tej plastycznej mapie ludzkie osiedla.

Ale dopiero od „przesiadki" w Skarżysku rozpoczął się prawdziwy kontredans wzgórz i dolin; wyglądając przez zakurzone szyby wagonowe, czekaliśmy coraz niecierpliwiej

i radośniej, aż się wyłoni z dali pierwszy, błękitny łańcuch gór.

Sielankowy ten nastrój przerywało sąsiedztwo bardzo wymownych towarzyszów podróży, wśród których — w miarę przybliżania się do Ostrowca — stanowiliśmy coraz mniejszy odsetek rasy aryjskiej. W rosnącym tłoku wyczuwało się wyraźnie zapach hiacyntu i starego kitu, która to mieszanina — w genialnym określeniu Prusa — jest wonią żydowskich chałatów...

Szczęściem już wkrótce donośny głos przebił się przez ciżbę ruchliwą, krzycząc arcypolskim akcentem o „*kunie* z Grzegorzowic". Pod opieką kolejowego posługacza odnaleźliśmy żółty wolancik zaprzężony w dorodne szpaki.

Lekkie oczadzenie mijało z każdą chwilą. Opuściliśmy turkoczące bruki Ostrowca, grupę robotników skupioną przy wejściu do parku, mętno rudą rzeczkę Kamienną i byliśmy już w samym sercu tej pięknej okolicy oglądanej pośpiesznie i niedokładnie z toru kolejowego.

Przed nami jak okiem sięgnąć, falowała ziemia „bajecznie kolorowa", bo mieniąca się od błękitu górskich pasem, miękko wrysowanych w jasność nieba, poprzez szmaragd i złoto pól aż do glinkowatej czerwieni dróg i dróżek poskręcanych w pierścienie... Wjeżdża-

liśmy w głębokie rozpadliny, wilgotne i mroczne, to znowu olśniewały nas promienie słoneczne na wyniosłościach, z których widniał cały w dole położony Ostrowiec, z łamiącą się i ginącą w skrętach wstęgą szosy... Jakieś kościoły, jakieś chaty, jakieś bujne kępy zieleni — a po chwili znów czerwony, urwisty stok skrywał przed nami świat. Dudniły głośno kopyta końskie po ubitej drodze i szumiały gdzieś wysoko, nad urwiskiem rosnące drzewa.

Uświadomiłam sobie nagle, że widzę po raz pierwszy tę okolicę, o której wiem tak dużo z książek, z opowiadań rodzinnych... Zaczęłam wypytywać gorączkowo, póki było jeszcze trochę czasu na powierzchowne choćby zapoznanie się z nowym pejzażem, a stangret pokazywał końcem bata przed siebie i życzliwie objaśniał:

— Ta nizso to Hełmowo góra, a tam przecie Łysica.

Wypytywałam o wszystko: o urodzaje, o stadninę, o sąsiedztwo, o wsie i okoliczne kościoły. Wymienił sporo nazw i nagle — z dumą w głosie:

— Ale *nas* kościół *nostarsy!...*

Jeszcześmy go nie mogli dojrzeć, wjechawszy w takie rozpadliny, wąwozy — istne uroczysko! — że i sienkiewiczowski Czortowy Jar za Jahorlikiem nie mógł wyglądać

bardziej dziko. Mimo woli nadczekiwałam, że wyłoni się zaraz z gąszczu jakaś miejscowa Horpyna i zastąpi nam drogę groźnym pytaniem: — Puhu puhu! A dokąd to? — Ale napotkaliśmy tylko rozłożony w lasku tabor cygański.

Raptem las się skończył, droga na łeb na szyję skręciła prosto w dół i oto roztoczyła się przed nami wspaniała, przedziwna panorama. Aż za wiele było tych pagórków, domków, bawiących się nad strugą dzieciaków, aż za wiele głosów i barw, aby to wszystko jednym spojrzeniem ogarnąć.

Niby w wielkiej misie glinianej, okraszonej szczodrze zieloną polewą lesistych wzgórz, drzemały w dole murowane czworaki, gadała coś do siebie rwąca górska rzeczka, zaś po prawicy naszej, na wyniosłym urwisku, majaczył poprzez konary zarys jakiejś budowli. To był właśnie ów kościółek „*nostarsy* w okolicy". Wkrótce mieliśmy z nim zawrzeć bliższą znajomość. Na razie oczy wypatrywały kresu podróży i dawno nie widzianych, kochanych twarzy...

Dużo znam dworów w Polsce. Wszędzie prawie zabudowania gospodarskie, dom mieszkalny, podwórze, sady i ogrody warzywne rozmieszczone są według pewnego szablonu, z drobnymi tylko odchyleniami. Rutyna zasiedziałych tam pokoleń ziemiańskich

każe budować warsztat pracy z uwzględnieniem ekonomii czasu i miejsca. W Grzegorzowicach sama przyroda nakazała posłuch. Przystosowano się tu do jej kapryśnej woli. Rozmieszczenie domków mieszkalnych, różnych oficyn, szop i przybudówek — przypomina taktykę jaskółczą: wszędzie można żyć, byle w jakiej takiej osłonie od wichrów, byle się dało umocować na pochyłości trochę wapna, kamieni i gliny... Ta przypadkowość, wynikła z konieczności, jest utrapieniem gospodarza, lecz zachwytem napełnia widza, który ani tu orze, ani sieje, tylko pełnymi garściami czerpie najczystsze piękno.

A jednak te okolice były nie tylko najgęściej zaludnione od prawieków, lecz stanowiły ośrodek przemysłowy w epoce „przedhistorycznej". Świadczy o tym choćby rzymski pieniążek znaleziony za grzegorzowską oborą. Kopano jamę na ziemniaki i wydobyto z ziemi doskonale zachowaną monetę... Mogłaby uchodzić za podobiznę Napoleona albo Mussoliniego, gdyby nie wyryty dokoła głowy napis: „Imp(erator) Caesar Vespasianus Aug(ustus)".

Skromny ten pieniążek świadczy wymownie o tranzakcjach, zawieranych w Grzegorzowicach przed dziewiętnastu wiekami. Kupcy rzymscy przyjeżdżali tu po rudę żelazną i płacili za towar gotówką... Lepsze były, widać, nie kryzysowe czasy! Kopalnia Zagaje, od dawna już nieczynna, należała ongi do Grzegorzowic. Dzisiaj stanowi tylko cenne źródło dla archeologów, którzy ze skorup wydobytych wyczytują, jak z nut, stan kultury i cywilizacji tutejszych pramieszkańców.

Moja cioteczna siostra z pietyzmem chowa „wespazjanka" do oszklonej serwantki. Umieściła tam jeszcze garść innych skarbów: jakieś okruszki naczyń glinianych, urwane ucho, szczątek dzbana itp. przedmioty, wyjaśniając:

— Co było najlepszego, to mi pozabierali do muzeum. Znaleziono tu na przykład wiele siekierek krzemiennych wybornie zachowanych, a ja mam tylko taki kawałeczek!

Dowiaduję się, że pra, pra, praojcowie dzisiejszych autochtonów słynęli z wyrobu tych siekierek. Że nie tylko „fabrykowali" je na własny użytek, ale wysyłali ogromne partie towaru (z epoki kamienia gładzonego!) bardzo daleko, aż ponoć na Pomorze! Nie ma co — trzeba nisko pochylić głowę i przyznać, że ówczesny handel zamienny powinien służyć za wzór ludziom, którzy wysyłają tylko zamienne weksle...

Odkładamy jednak przedhistoryczne skorupy, aby obejrzeć znacznie późniejszy, bo już *historyczny* zabytek. Kościółek w Grzegorzowicach pochodzi bowiem tylko z.. je-

denastego wieku. Tym niemniej jest on nie tylko w województwie kieleckim, ale w całej Polsce jednym z najstarszych pomników budownictwa kamiennego. Godnych wiekiem towarzyszy posiada w Grodnie i w kościółku odkopanym przed wojną na Wawelu.

Trudno mi opisywać szczegółowo, jakie perypetie, przemiany, przeróbki przechodziła ta niewielka budowla z „dzikiego“ kamienia. Dziś stanowi ona jedynie prezbiterium. Nawę dobudowano znacznie później. Narastanie wieków znaczyli na tych murach liczni, często zapewne domorośli „architekci“, dodając ten i ów „współczesny“ szczegół... Ocaleniem szanownego zabytku, wydobyciem go spod pokładów tynku zajęli się fachowcy-konserwatorzy. Niedawno staruszeczek został odrestaurowany i wzmocniony cementem. Dalsze prace wymagają oczywiście pieniędzy, więc innych, lepszych czasów...

Do kościoła idzie się bardzo długo, bardzo wysoko: zdobywamy pracowicie, krok za krokiem, sześćdziesiąt trzy kamienne stopnie i nagle — jesteśmy tuż na progu maleńkich drzwiczek prowadzących z prawej strony nawy — ku prezbiterium. Mroczne wnętrze, lekko tylko wyzłocone światłem sączącym się przez żółte szybki dwóch maleńkich okienek... Dwa niebrzydkie, barokowe ołtarze po bokach, zaś na wprost nas, w samym środku

absydy położonej nieco krzywo do osi nawy, mruga słońce poprzez okienko, którego kamienne obramienie, wydobyte podczas remontu spod tynków — cofa nagle powstanie tej budowli jeszcze dalej, do *dziesiątego* wieku!

— Podczas prac remontowych — szepce moja cioteczna siostra — znaleziono pod kościołem mnóstwo kości ludzkich, bardzo starych...

Znajdowano je nie tylko tu, w obrębie budowli... Ziemia, która się raz po raz kawałami odwala z wyniosłego urwiska, odsłania śmiertelne szczątki całych pokoleń... Tu żyli, tutaj marli w prawiekach — i tak jest po dzisiejsze czasy.

Wąską drożynką wiodącą od starego kościółka jeszcze bardziej pod górę — idzie się na cmentarz, położony po prostu... w lesie. Pośród jodeł i buków sterczy tu i tam krzyżyk kamienny, wznosi się kopiasto świeższa jakaś mogiłka... Gdzieniegdzie zamajaczy ciemno-szmaragdowa plama barwinku, gdzieniegdzie mocno już sędziwa, omszała, spora płyta kamienna: grobowiec któregoś z tutejszych „potentatów“. Jeszcze dziesięć, jeszcze dwadzieścia lat — i kamienie zapadną się głęboko w ziemię, a nad zapomnianym grobem zacznie szybko rosnąć w górę, ku słońcu, młody las buków i jedliny...

Cicho tu, spokojnie, dobrze. Krążąc bez słowa pomiędzy mogiłami, znajdujemy nareszcie odpowiedni kształt dla myśli, że świat nie jest niczym innym tylko wielkim cmentarzem... Że oddajemy ziemi nasze kości, a ona je nam zwraca w trochę tylko odmienionej postaci. Bo czymże są drzewa, kwiaty, trawy i zboża, jeżeli nie są *życiem* — a więc potrosze także *nami.*

Wracaliśmy powoli po zboczu. Nad rozgadaną strugą bawiły się jak przedtem gromadki małych dzieci. Z daleka, wysoko nad doliną błękitniał w przedzachodnich blaskach słonecznych Święty Krzyż. Może o takiej samej porze dnia, kilka setek lat temu schodził tą samą stromą ścieżką, po której teraz my stąpamy — znakomity poeta polski, by w ciszy swego domu napisać ów przepiękny wiersz o „Górze Łysej"?

Nosił to samo imię, co imperator rzymski na wykopanej monecie, ale był sercom naszym bliższy... Wespazjan z Kochowa Kochowski urodził się tu, w *Gaju,* pod Łysicą.

Zwierzenie

W roku 1938 otrzymałam pierwszą nagrodę na jubileuszowym konkursie wydawnictw Św. Wojciecha za powieść pod tytułem „Bogactwo". Równo zaś piętnaście lat przedtem

starannie opakowany rękopis mojej *pierwszej* powieści powędrował do tejże firmy wydawniczej.

A więc — maleńki, „prywatny" jubileusz: dwie daty, dwa *wydarzenia* w karierze powieściopisarki: start — i jakiś etap twórczości uwieńczony publicznym odznaczeniem. A między nimi kawał życia: piętnaście lat.

To mię skłoniło do rozmyślań na własny temat... „Popełniłam" wiele powieści w ciągu ubiegłego piętnastolecia. Może więc warto zrobić mały bilans tego okresu?

Każdy z nas przyniósł ze sobą na świat jakieś zamiłowanie czy zdolności. Wszyscy mamy coś do spełnienia. Powołanie pisarskie nie jest żadnym zaszczytem, ani szczególnym wyróżnieniem zesłanym przez Opatrzność. Jest to przecież tylko suma zamiłowań i pragnień dążących w pewnym określonym kierunku. Powołanie lekarza, nauczyciela czy kapłana — to ciężkie brzemię, o ile je dźwigamy z pełnym poczuciem odpowiedzialności, że jest zarazem posłannictwem.

Jeżeli pracę powieściopisarską uważam dziś za równie odpowiedzialną, jak leczenie chorych na ciele czy na duchu — to dlatego, że życie pokazało mi na przykładach, jaką lawinę wywołać może grudka śniegu: słowo nieopatrznie strącone z pióra.

Dziś, po piętnastu latach od chwili, gdy rękopis mojej pierwszej powieści wystartował w świat, by rozpocząć podróż w nieznane — dziś wiem z całą pewnością, że to nie jest *najważniejszy* dzień w życiu autora.

Najważniejszy jest rachunek sumienia. Nie dość mieć trochę literackich zdolności. Nie dość wyprodukować mniej lub więcej udatne dzieła, którymi się ludzie zaczytują... I nie dość nawet doczekać się pochlebnej oceny ze strony oficjalnej krytyki. Recenzje, wywiady, popularność, duże nakłady książki — to są wszystko paliatywy, którymi pisarz oszukuje głód świadomości: czy jestem w zgodzie sam ze sobą, czy nikomu nie wyrządziłem krzywdy?

Na odpowiedź trzeba nieraz czekać... latami. Nie przyjdzie ona spośród ludzi obcujących z literaturą fachowo. Zarówno krytyk jak wykwintny czytelnik z tzw. wyższej inteligencji patrzy na powieść i ocenia ją tylko od strony *kunsztu* pisarskiego. On *wie*, jak to się robi. On *rozumie*, jakie motywy kierowały autorem w doborze tych a nie innych scen, takich a nie innych postaci. Ironicznie lub życzliwie ocenia „prawdziwość" malowanych sylwetek, ale po przeczytaniu odkłada powieść, aby do niej więcej nie wrócić. Wżył się w jej treść na kilka godzin lub tygodni, ale nie wciągnął tworu literackiego

w orbitę swego życia, nie włączył go do swoich spraw prywatnych, spraw *istotnych*.

Są wszakże inni czytelnicy. Ci *najważniejsi*. Ci, dla których piszemy, a z którymi życie styka nas jedynie przypadkiem.

Nie wiemy o nich prawie nic lub bardzo mało — a oni o nas wiedzą *wszystko*. Wierzą nam bezgranicznie. Gotowi wziąć za dobrą monetę wszystkie słowa, nawet te jakieś blaszane krążki, nawet tombakowe esyfloresy rozrzucone po stronicach jako stylistyczne ozdoby... Dla nich ból czy radość, zrodzona z wyobraźni, jest realną, istniejącą radością lub cierpieniem.

O nich właśnie, o moich nieznajomych słuchaczach myślę zawsze po ukończeniu nowej książki. Już mi nie tak śpieszno wysyłać ją do druku, jak pierwszą ukończoną pracę...

Oto leży przede mną nowy tom. Sam na sam z rękopisem — patrzę na równo ułożone kartki z mieszaniną obawy i nadziei... Czuję całą *powagę* chwili.

Nie tego się obawiam, co wyczytam wkrótce na łamach prasy. Krytyka współczesna — poza sumiennymi badaczami, rzecz prosta — posługuje się jak malarz pokojowy... szablonem. Cóż dać mogą pisarzowi recenzje, o których z góry już wiadomo, że je

podyktowała życzliwość lub nienawiść? Tylko tę smutną pewność, że w grę wchodzi przede wszystkim *firma*, wyznanie wiary — a nie wartość artystyczna lub społeczna utworu.

Świadectwo dobrej lub złej służby, świadectwo uczciwie wypełnionego posłannictwa — otrzymujemy zupełnie inną drogą. Przychodzi ono czasem w formie najmniej oczekiwanej, w postaci listu, spojrzenia czy uśmiechu nieznajomej osoby.

Czasem nawet — bywa to głos zza grobu...

Jakże nic nie wiedziałam o tym, kiedy zaczęłam pisać!

A przecież chyba od urodzenia byłam predestynowana na powieściopisarkę, skoro zaczęłam moją literacką karierę wcześniej, niż inne dzieci zawierają znajomość... z alfabetem. To nie żarty. Ukradkiem, chytrze, literka po literce zdobywałam na prywatny użytek sztukę łączenia zgłosek. Starsi moje pytania uważali za dziecinną ciekawość, dopóki pewnego dnia w ręce mamy nie wpadła dziwna kartka papieru, pokryta niezdarnymi, „drukowanymi" kulasami...

Nie były to próby kaligraficzne pięcioletniej osoby, lecz jej pierwszy autorski rękopis. Lakoniczna treść zawierała już konflikt dramatyczny i wcale żywą akcję. A jakaż

budująca zwięzłość, jaka wzorowa oszczędność słów! Rękopis składał się z pięciu zdań:

„Kura miała kurczęta. Poszła z nimi do lasu. Ale jedno kurczątko się zgubiło. Kura szukała, gdakała i znalazła kurczątko. I wszyscy powrócili do domu".

Później, w „starszym" wieku, pisałam już dla młodszych sióstr powiastki własnoręcznie ilustrowane. Wydawałam — od dziesiątego do piętnastego roku życia włącznie — pismo tygodniowe. Wychodziło w każdą sobotę, bez przerw, bez nabierania odbiorców na „podwójne numery"... Jako redaktorka miałam cierpliwość i wytrwałość, o której próżno by marzyli moi nauczyciele...

Dziwna rzecz: gdy myślami sięgam w odległe lata, widzę postać, wygniatającą kolanami dziury w plecionym krześle, pochyloną całym ciałem nad stołem i piszącą lub rysującą coś z zapałem. Nie pamiętam, jak było z odrabianiem lekcji... Pamiętam za to znakomicie, że w klasie *trzeciej* napisałam pierwszy poemat. Długi ten utwór, niestety, rozmiarem tylko przypomniał niektóre dzieła naszych wieszczów...

Pamiętam również — o, tego nie podobna zapomnieć! — wiersz drukowany w *prawdziwym* piśmie dla dorosłych, w „Tygodniku Illustrowanym"...

Zaniósł go tam Wiktor Popławski, mój serdeczny przyjaciel. Oczywiście w tajemnicy przede mną omówił sprawę z ówczesnym redaktorem Zdzisławem Dębickim, który w ten sposób został mym literackim „ojcem chrzestnym". Wiele temu zacnemu pisarzowi zawdzięczam, lecz jednego zapomnieć nie mogę: że zamiast wrzucić rękopis do kosza — ogłosił drukiem „List z daleka"...

Stało się to w osiemnastą rocznicę moich urodzin i przyniosło mi — zamiast radości — gorzkie rozczarowanie. To już nie był *mój* wiersz. Opłakałam tę stratę, jak śmierć kogoś bliskiego.

W domu rodziców oddychało się atmosferą sztuki: muzyka, literatura, malarstwo — to były dziedziny dobrze znajome, bliskie, niemal powszednie.

Wyszłam za mąż tak wcześnie, że pierwsze lata nowej ery zaliczam dzisiaj w myślach do okresu dzieciństwa. Z tropikalnego klimatu własnych porywów artystycznych przeniosłam się w nowy, równie gorący i barwny, a nieznany mi dotąd świat najczystszej poezji: królowali tam nasi poeci romantyczni, a obok nich wszyscy polscy i francuscy współcześni...

Co to było za życie! Te dyskusje do świtu, do białego dnia, przeplatane wierszami, popijane tylko herbatą — i do tego prze-

ważnie gorzką, bo tkwiliśmy w samym środku wielkiej wojny...

Słuchałam i patrzyłam. Nie śmiałam oczywiście sama zabierać głosu. Ale trzeba było nadmiar wszelakich wrażeń jakoś wyładować, uporządkować w głowie...

Wtedy znowu zaczęłam pisać. Początkowo były to tylko drobne, nieśmiałe próby. Dziennikarstwo: aktualne felietony w słynnym roku dwudziestym. Beletrystyka: jakieś tragiczne, ociekające krwią i łzami nowele...

I nagle, nagle... Pierwsza duża, *prawdziwa* powieść! To się tak prawie samo ułożyło: urosło w stertę ponumerowanych arkuszy.

Ukazała się pierwsza książka. Potem druga i trzecia. Każdą z nich obracałam w ręku, nie wierząc własnym oczom: więc to moja, to *moja* praca? Tyle dni, nocy nieprzespanych, radosnych albo przepłakanych w nagłym twórczym zastoju, w zmarnowanym, na miał rozkruszonym wysiłku...

Tworzyło się, pisało jak we śnie. Jeden temat gonił za drugim... Wpędzałam moich zdyszanych bohaterów w matnie rozpaczy i na wyżyny szczęścia... Tyle, tyle musiałam z siebie wyrzucić jednym tchem, oddać białym kartkom na własność... Tyle o sobie opowiedzieć: wszystko, co czuję, czego pra-

gnę, co mię cieszy, co niepokoi, co nęka i napełnia słodką radością!

Nie myślałam ani przez chwilę, że to będą czytali *obcy* ludzie... Nie myślałam, co będą *czuli*, czytając moje książki...

Poczta zaczęła mi nagle sprawiać przemiłe niespodzianki. Jeden, drugi znajomy odezwał się z dalekich stron. Dziękowano, chwalono... Tacy magnaci słowa, jak Weyssenhoff lub Artur Górski, pisali do młodej literatki śliczne listy, pełne najżyczliwszej zachęty.

A potem — zaczęło się dziać coś nieoczekiwanego: własne, dawno przemyślane, przeżyte i już w całość wkomponowane sceny powieściowe powracały do mnie, prześwietlone cudzą myślą, cudzym spojrzeniem... Powracały na kartkach listów napisanych przez osoby zupełnie mi nieznane... Dzieje powieściowych postaci powracały do mnie w kopertach — lub po drucie telefonicznym — opowiadane „własnymi słowami“ czytelników...

Ktoś dziękował wzruszonym głosem za jakiś opis sadu: „Bo to właśnie taki sam, takusieńki, jak nasz, który został *po tamtej stronie*... Czy go pani może kiedy widziała?“

Ktoś napisał z prośbą o wyznaczenie „audiencji“, by uczynić mi poufne, osobiste zwierzenie. Właśnie wtedy w jakimś piśmie

ukazała się moja fotografia. I zaraz nadszedł drugi list od tej samej osoby:

Myślałam, że pani musi mieć ze sześćdziesiąt lat, bo zna tak dobrze świat i ludzi. Chciałam wyżalić się przed panią, jak przed matką, której już nie mam. Ale pani na to za młoda...

Pewnego razu koleżanka moja — ówczesna redaktorka „Bluszczu“, gdzie prócz powieści pisywałam recenzje teatralne — powiedziała znienacka:

— Mam dla ciebie zlecenie od osoby już nieżyjącej. To moja stara przyjaciółka. Umarła przed tygodniem na raka. Widziałam ją przed samą śmiercią. Jeszcze była przytomna. Powtarzam ci ostatnie słowa, jakie od niej słyszałam: „Znasz Wandę Miłaszewską. Powiedz, proszę, gdy ją zobaczysz, że osłodziła mi ostatnie chwile życia. Czytając jej książkę, zapomniałam o mym własnym cierpieniu...“

Było to już dawno. Minęło sporo lat... A dotychczas, przeglądając półki z książkami, nie mogę tytułu tej powiastki przeczytać bez wzruszenia. Mała garbuska, „Księżniczka Dagny“ — była ostatnią towarzyszką umierającej.

Ale nie wszystkie łzy są gorzkie. Smutek bywa czasem oazą, z której powracamy pokrzepieni, silniejsi.

Z biegiem czasu zacieśniał się mój kontakt z czytelnikami. Nadchodziły listy ze wszystkich krańców Polski: z Pomorza, z Kresów wschodnich, spod Lwowa. Pisał nauczyciel szkoły powszechnej — i kierowniczka poczty. Uczennica powieściomanka i stary, zapomniany aktor, ongi podobno *pierwszy amant*, grywał nawet jakieś role w Krakowie za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego. Wdzięczny za pokrzepienie, jakie znalazł w moich utworach, przysłał mi fotografię i obszerny życiorys.

Pewien profesor gimnazjalny jechał trzy godziny koleją, aby się ode mnie dowiedzieć, czy znam osobiście prototyp Aldony Kornornickiej[1]), bo taka właśnie kobieta wywarła wpływ niezatarty na całe jego życie...

Ale największy dowód zaufania złożyła mi młoda urzędniczka z Katowic. Krótkie curriculum vitae, opatrzone podpisem i adresem, kończyło się następującą prośbą:

Niech mi pani wybaczy zbytnią śmiałość; przeczytałam jednym tchem „Zatrzymany zegar“ i muszę się dowiedzieć, gdzie obecnie jest Krystyna Darowska. Pani ją zapewne zna osobiście. Chciałabym jak najprędzej do niej napisać. Przecież to, co pani opowiedziała, musi być prawdą...

---

[1]) Z powieści „Trzecia siostra“.

Z pewnym zażenowaniem wyjaśniłam pannie Geni, że niestety, Krystyna Darowska żyła tylko w mej wyobraźni. To nie znaczy bynajmniej, aby różne szczegóły z jej dzieciństwa, zwłaszcza opis życia na Kresach wschodnich — były *kłamstwem*. Przeciwnie: znam dobrze tamte okolice i za prawdziwość wielu szczegółów mogę ręczyć.

Czytelniczka moja zamilkła. Nagle, po roku, przyszedł jeszcze jeden list od niej. Pieczątka pocztowa pochodziła z Wileńszczyzny. Odczytałam na niej nazwę miasteczka, jakich wiele...

Panna Genia tym razem nie podała dokładnego adresu. Pisała krótko, tak jak się pisze raport urzędowy z dokonanych czynności:

„Zmieniłam fach. Jestem teraz nauczycielką w małej wiosce. Książka pani, póty mi nie dawała spokoju, aż musiałam wyjechać. I teraz pracuję, jak Krystyna Darowska“.

Nie dopowiedziała, jak się tam czuje. Nie słyszałam o niej nic więcej. Wsiąkła w szary tłum bezimiennych pracownic.

Nazywała się Eugenia — a była moją Galateą. Tylko że zaszedł tutaj proces odwrotny: zamiast ożywić dzieło sztuki — wtrąciłam w krainę mojej wyobraźni istotę z krwi i kości...

Często myślę o niej z głęboką troską. Dałabym bardzo wiele, aby wiedzieć tylko to jedno: czym jest teraz dla niej świat — i „Zegar zatrzymany" — i... Wanda Miłaszewska?

Przy autorskim rachunku sumienia zapisuję to imię pod znakiem zapytania. Bo mi wierzyła bezgranicznie — a nie wiem dalej *nic*, nawet tego, czy ja, czy życie ją zawiodło?

Sam na sam z rękopisem — często stawiam sobie takie pytanie: Czy powieściopisarz ma prawo kłamać? I — co jest *kłamstwem* u powieściopisarza?

Przecież istnieją dwie rzeczywistości: ta, która się spełniła, i ta, która się w każdym z nas *może każdej chwili dokonać.*

Nie podobna przeżyć wszystkich istnień, stworzonych w wyobraźni. Ale w *niektóre* pisarz musi się wcielić całkowicie, ażeby słowa tchnęły prawdą.

Nie byłam nigdy bohaterką ze „Starych Kątów" ani matką Hanusi Lipeckiej[1]). A przecież darowałam Annie Gołębiowskiej jedno ważne, osobiste przeżycie, aby mogła swój stan ducha wyrazić w pamiętniku[2]).

To nie ona, to ja przystanęłam nad wodą, która kiedyś odbijała tak samo jasno i dokładnie obraz twarzy bardzo mi drogiej. Dziś mogiła mojego dziadka osłania tylko garstkę

[1]) „Święty wiąz". [2]) „Święty wiąz".

prochu, a przecież nie przeminął we mnie świetlany obraz Jego duszy, tak jak nie przemija piękno chwili mającej prawo do wieczności.

Anna Gołębiowska pisała:

...A jednak czasem wraca bunt. Coś szarpnie sercem, coś trzewiami zatarga i sprowadzi na usta jęk protestu. Potem to gaśnie — i znów powraca cisza.

Pamiętam jeden dziwny wieczór. Nie zapomnę go nigdy, chociaż się wówczas nic nie stało.

Poszłam do młyna. Sama. Przecież często wędruję sama wzdłuż alei, a potem drogą koło stawu. Myślałam, że może spotkam dzieci. Tak ich oboje zawsze w myślach nazywam. Było to w dzień powrotu Hani.

Młyn stał. Na drodze było pusto. W powietrzu cicho. Wierzby maczały liście w wodzie, gładkiej jak szkło.

Zatrzymałam się przy Jałowym Upuście, tak na chwilę — popatrzeć. Wieczór musiał być wczesny. Po drugiej stronie stawu, nad Krynicznym Borkiem, jedna tylko, jedyna gwiazda, wielka i jaśniejąca...

Tak wyglądało niebo — a spojrzawszy na wodę, znalazłam odwrócony obraz:

czarne kontury sosen i — tuż pod nimi — wielką, jaśniejącą, samotną gwiazdę.

Taka cisza była w powietrzu, taki bezruch na niebie i na wodzie, taka pustka zewnątrz i wewnątrz mnie, że nie mogłam tego znieść dłużej. Coś krzyczało, dławiło w gardle: przerwać, zmącić tę szklistą powłokę, zbudzić blaski i cienie, powołać świat do życia!

Niech ziemia drgnie, uwięziona gwiazda niech wstanie z martwych, niech zamigocze, choćby potem na zawsze miała zgasnąć!

Schyliłam się, chwyciłam pierwszy lepszy kamień i z całych sił cisnęłam go przed siebie.

Upadł z głuchym pluskiem. Kręgi rozeszły się szeroko i dosięgły odbicia samotnicy. Zadrgała!

Serce łomotało mi w piersiach — z rozkoszy i z cierpienia zarazem. Nie ma ciszy, pustki, martwoty: gwiazda stała się wężem złocistym i pełzała w dziwacznych skrętach z fali na falę!

Nagle stało się coś: inne światło biegło przez wodną taflę. Jasnym łukiem, od wschodu do zachodu.

Podniosłam oczy: taka sama świecąca smuga przecinała widnokrąg, dążąc znikąd do nikąd...

Patrzyłam osłupiała, wstrzymując oddech. Ostatnie kręgi po rzuconym przeze mnie kamieniu dotarły już do brzegów. Była znowu cisza i nieruchomość, czarny kontur lasu na niebie i na wodzie, a pośrodku stawu jedna, jedyna gwiazda, wielka i jaśniejąca.

Oto była odpowiedź. Oto jednym, krótszym niż myśl błyskiem przemówił Twórca wszechświata, Ten, który światłość oddzielił od ciemności, Ten, który z pustki wydobywa serce człowiecze:

Możesz cisnąć kamień i na chwilę zamącić wodę, odbijającą obraz gwiazdy. Ale nie sięgniesz tej, którą ja zapaliłem lub w twojej obecności zagaszam.

Nie ma więc kłamstwa w tym opisie, choć kazałam to przeżyć bohaterce powieści.

TADEUSZ KORZON

DOLA I NIEDOLA POLSKIEGO HISTORYKA

SYN CZY CÓRKA?

CIASNY KOŁNIERZYK I MINIATUROWE KALOSZE

NOWY WSPANIAŁY FRAK

ŚWIAT UCZONEGO

Dola i niedola polskiego historyka

Nazwisko to nie potrzebuje komentarzy... prócz jednego może: wymawia się je Korzon, tak jak Bor-zobohata itp. Niestety, dzisiejsze pokolenie młodzieży, wodzone po manowcach różnych „nowych" i „najnowszych" pisowni, zatraca powoli odcienie dźwiękowe mowy naszej, najbogatszej wśród języków słowiańskich. Posiadając wszystkie głoski — *G* i *h, h* i *ch, ż* i *rz, u* i *ó* — przestajemy się nimi posługiwać, otumanieni gradem nowych przepisów o różnych rozdzielnych i nierozdzielnych słowach. *Puchacza* mógł stworzyć tylko cudzoziemiec, nie odróżniający *puchu* od *puhu* czy *hukania.* Matka moja wymawia po dziś dzień doskonale nazwy drzew, jak wierzba i tak dalej, rozdzielając leciutko: *wier-żba.* Dziś „młodopolak" *wychodowany* (bo i tak będzie wkrótce) na metodzie wszelkich uproszczeń, powie bez zająknienia *wieszba, ruf* — i nikt nie zwróci mu uwagi, że to przecież kaleczenie języka.

Ten nieoczekiwany wstęp nie jest tak wielkim odejściem od tematu, jakby się na

pozór zdawało. Myśląc o Kor-zonie, myślę o jego pokoleniu, które czuło, myślało i mówiło po polsku tak, jak powinni myśleć i mówić *wszyscy* Polacy, niezależnie od epoki, w której się urodzili. *Po polsku.*

Znakomity historyk zbyt dobrze jest znany, bym tu potrzebowała wymieniać szereg jego prac historycznych oraz przypomnieć rolę, jaką dom tego Polaka-patrioty odgrywał w Warszawie podczas ciężkich, szarych lat popowstaniowych.

Najstarsze, wymierające już niestety pokolenie lepiej niż ja pamięta słynne „środy“ u profesorostwa Korzonów. Gromadziła się wtedy przy ulicy Żabiej cała umysłowa i kulturalna elita naszej stolicy. Płonęło tam niewygasające nigdy ognisko myśli polskiej. Niejedno serce polskie mogło się przy nim ogrzać i pokrzepić.

Jeszcze jako dziecko byłam na kilku takich „środach“: rodzice pragnęli utrwalić mi w pamięci charakterystyczne postacie i indywidualności, które śmierć wymazywała już raz po raz spośród żyjących.

Sądzę, że garść szczegółów z prywatnego życia Tadeusza Korzona, najbliższego przyjaciela mojego dziadka, będzie dla wielu czytelników nowością.

Któż na przykład — poza gromadką najbliższych, którzy przechowali tradycje opowiadań — wie dzisiaj o tym, że świetny nasz dziejopisarz, zesłany do Orenburga za udział w powstaniu 1863 roku, musiał się tam trudnić... malarstwem. Powstańcom towarzyszyły często na zesłanie młodziutkie żony. Trzeba było utrzymać z czegoś powiększającą się rodzinę. A środków do zdobycia pieniędzy nie istniało zbyt wiele. Kto mógł, uczył dzieci orenburskich urzędników rosyjskich: francuskiego, niemieckiego, muzyki...

Korzon miał zdolności rysunkowe, więc — malował „landszafty“ i sprzedawał je, nawet za niezłą cenę, miejscowym dygnitarzom... Jeden z takich obrazków przedstawiający, jeśli mię pamięć nie zawodzi, fragment jakiejś ulicy w Orenburgu, zdobił potem ścianę salonu w warszawskim mieszkaniu pp. Korzonów. Potem — jakże cenną musiał być pamiątką dla ich córki, wdowy po Konradzie Prószyńskim („Promyku“), tej samej „Wandzi“, która światło dzienne ujrzała właśnie w Orenburgu, miejscu zesłania ojca...

Albo na przykład, kto już dziś wie, że ten profesor, znakomity uczony, słynął z roztargnienia w życiu prywatnym. Jednego miał tylko konkurenta — w moim rodzonym dziadku. Spotkał go kiedyś biegnącego środkiem ulicy. Na widok przyjaciela dziadek mój zatrzymał się, najwidoczniej uradowany:

— Doskonale, że cię spotykam! Powiedz mi, *jak ja się nazywam?*

Korzon powtórzył ze zdumieniem:

— Jak się nazywasz? Wolne żarty...

Ale tamten bynajmniej nie żartował.

— Wyobraź sobie, zapomniałem na śmierć swego nazwiska i to w chwili, gdy mi było *bardzo* potrzebne... Biegłem właśnie do domu, żeby przeczytać na drzwiach...

— Nazywasz się Aleksander Szumowski — rzekł powoli Korzon — jesteś profesorem w...

— Dziękuję ci, mój drogi, to doskonale. Mogę wrócić do biura paszportowego i załatwić tę przykrą sprawę...

Istotnie — sprawa mogła być przykra: w rosyjskim biurze paszportowym, w *tamtych czasach* zapomnieć rodzonego nazwiska! Mogło się to wydać zanadto podejrzane. Można było za to odpokutować. Ale dziadek mój, który musiał pamiętać — i pamiętał! — o wielu innych sprawach, daleko jego zdaniem *ważniejszych*, niewiele sobie robił z takiej małej, zabawnej przygody i z mogących nastąpić konsekwencyj.

Jeżeli ów „szczyt roztargnienia" dostał się do kronik rodzinnych, to dlatego, że Korzon oczywiście nie omieszkał pochwalić się przed żoną:

— Widzisz! Powtarzasz zawsze, że taki ze mnie dystrakt, a tymczasem Aleksander o wiele gorszy... On *zapomniał*, jak się nazywa, a ja mu przecież przypomniałem!

Obaj ci ludzie — świetlanej i niezapomnianej pamięci — zbyt wiele serca i myśli poświęcali Bogu, Ojczyźnie, a wreszcie swoim bliźnim, aby móc troszczyć się o takie drobnostki, jak na przykład własne nazwisko. Z ich sławnego roztargnienia wynikały sytuacje arcyzabawne.

Do obfitego zbioru anegdot krążących na temat sławnych ludzi niechże mi będzie wolno dorzucić kilka autentycznych opowiastek z prywatnego życia Tadeusza Korzona.

Syn czy córka?

Dziadek mój za udział w powstaniu został w roku 1864 wywieziony do Orenburga. Tam się spotkał z Tadeuszem Korzonem, tam na obczyźnie zakwitła między nimi przyjaźń, która nie osłabła do końca życia.

Obu wygnańcom towarzyszyły młodziutkie żony. Moja babka i pani Korzonowa nie należały do wyjątków. Spełnianie najprostszych obowiązków wydaje nam się dzisiaj nieomal bohaterstwem... Lata sześćdziesiąte były pokoleniem żon i matek, dla których obowiązki i samozaparcie się

miały smak chleba powszedniego. Ślubując przy ołtarzu: „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci", żona szła za mężem na dolę i niedolę, a niedoli mężnie stawiała czoło.

W ciągu kilku lat spędzonych razem na obczyźnie obie rodziny pomagały sobie wzajemnie. Wszyscy stanowili jakby jedną rodzinę. Nic dziwnego — wygnaniec wygnańcowi staje się bratem. Trudności finansowe, niedostatek łatwiej było znosić w gromadzie. Ślady tego współżycia Szumowskich i Korzonów znajdują się wśród pamiątek rodzinnych. Oto np. fotografia Tadeusza Korzona z takim podpisem na odwrocie:

Mojemu bankierowi i dobrodziejowi kochanemu Alexandrowi Szumowskiemu
funduję
T. Korzon.
2/14 czerwca 67.
Orenburg.

Jakże znamienna, jak wymowna jest ta podwójna data. Pierwsza — urzędowa, powszechnie obowiązująca w mieście rosyjskim, druga — według której liczono po kolei wszystkie, wszystkie święta rodzinne i kościelne, obchodzone daleko od ojczyzny, od swoich...

Mniej więcej w owym czasie urodziła się państwu Korzonom pierwsza córeczka. Młodej matce, zapewne wskutek ciężkich warunków życia, nie starczało pokarmu. Mleko w Orenburgu było naówczas produktem luksusowym, nie na chudą kieszeń powstańczą. Przywożono je z dalszych okolic w *zamrożonych* krążkach. Wtedy moja babka, która miała córeczkę, starszą zaledwie o parę miesięcy, dokarmiała maleństwo. Tak to sobie radzono w potrzebie.

Z urodzinami Wandzi Korzonówny (późniejszej żony „Promyka") złączyło się zabawne wspomnienie moich dziadków:

Oto państwo Korzonowie ogromnie pragnęli mieć syna. O dziecku oczekiwanym nie mówili inaczej, jak „on". Kiedy nareszcie nadszedł ważny moment, ktoś ze znajomych spostrzegł, że Korzon śpieszy ulicą, ogromnie zaaferowany, gestykulując sam do siebie. Naturalnie cała polska kolonia w Orenburgu była już poruszona doniosłym wydarzeniem. Znajomy spytał:

— Więc można powinszować? A cóż wam Pan Bóg dał?

Korzon wypalił bez namysłu:

— Chłopaka, panie, chłopaka!

Wieść rozniosła się błyskawicznie... a tymczasem ktoś inny miał informacje z niemniej miarodajnego źródła, gdyż od samej pani Korzonowej, że to... dziewczynka i że będzie się nazywała Wandzia. Babce mojej było Wan-

da na imię. Na jej cześć niewątpliwie Korzonowie postanowili tak nazwać pierworodną. Zanim roztargnienie młodego ojca zostało „urzędowo sprostowane“, znajomi dzielili się na dwa obozy, obstające za synem: — „Bo przecież z jego własnych ust... słyszałem!“ — i za córką: — „Widziałam *ją* na własne oczy!“

Naturalnie Korzon dostał za swoje. Śmiano się i przez czas dłuższy nazywano małą Wandzię „chłopakiem“.

Na chrzciny „chłopaka“ zebrała się u Korzonów cała polska kolonia. Gospodyni wystąpiła z nader okazałym przyjęciem, pragnąc w ten sposób uczcić radosne wydarzenie.

Nagle w czasie „uczty“ zauważyła ze zdumieniem, że jej małżonek, zazwyczaj bardzo uprzejmy i gościnny, tym razem zajada z apetytem, bynajmniej się o nikogo nie troszcząc. nawet o najbliższych sąsiadów!

Wreszcie przy pierwszej sposobności zwróciła mu szeptem uwagę na takie zachowanie się wobec zaproszonych przyjaciół.

Korzon, ogromnie zawstydzony, tłumaczył ze skruchą:

— Widzisz... to takie wspaniałe przyjęcie, tyle dobrych rzeczy na stole... Byłem przekonany, że jesteśmy u innych w gościnie...

Zaiste, nie był przyzwyczajony, aby jeść „tyle dobrych rzeczy“ we własnym domu...

U Korzonów w Orenburgu bieda piszczała nieraz głośniej od maleńkiej Wandzi, której się nieźle wiodło: córeczka polskiego „miatieżnika“ ssała sobie najspokojniej, razem z mleczną siostrzyczką, pierś przybranej matki.

Niestety, wiele malutkich dzieci polskich nie wytrzymało klimatu Orenburga. Pozostały tam liczne mogiłki... Ktoś życzliwy — może Korzon właśnie — narysował ołówkiem podobiznę pomnika na cmentarzu.

Gdy po ośmiu latach pozwolono Aleksandrowi Szumowskiemu wrócić do kraju, pozostawił w Orenburgu pod płytą kamienną aż trzy drogie istoty: matkę staruszkę (z domu Wojewódzką) oraz dwoje maleńkich dzieci: Stasiunię i Marianka.

Korzonowie mieli później syna, również Tadeusza, a Szumowscy aż pięcioro *nowych* dzieci, urodzonych już w Polsce. Do niedawna żyli wszyscy. Pierwsza opuściła ten świat najstarsza córka, Antonina.

Ciasny kołnierzyk i miniaturowe kalosze...

Po powrocie do Warszawy przyjaciele widywali się bardzo często. Dziadek mój ogromnie lubił dysputować z Korzonem. Często mieli odmienne nieco zapatrywania na

różne kwestie polityczne, a przekonań swych bronili zaciekle. Toteż godzinami niekiedy trwały owe urocze przyjacielskie sprzeczki, przypominające jakieś ćwiczenia sportowe.

Obaj uczeni ludzie, profesorowie, biegali po pokoju, wymachując rękami, przyskakując do siebie, aby tym dobitniej, twarz w twarz, wyłożyć jakiś nowy, nieodparty argument...

Korzon jąkał się wtedy mocniej niż zazwyczaj. (Rzecz dziwna: jąkał się tylko w rozmowach prywatnych, na wykładach mówił zupełnie płynnie.) Pomimo dłuższych przerw wypełnionych pomocniczą, wielokroć powtarzaną, samogłoską „e", historyk niemniej ogniście przytaczał swoje racje.

Pewnego razu, podczas takiej właśnie dyskusji, Korzon jednocześnie zmieniał ubranie. Miał jakiś wykład czy też pilną wizytę, więc by nie tracić czasu, perorował. Stojąc przed lustrem i szamocząc się ze spinką od kołnierzyka, wtrącił nagle:

— Popatrz no, Aleksandrze! To coś nadzwyczajnego! Wczoraj ten sam kołnierzyk był zupełnie dobry, a dziś taki ciasny, że nie mogę go zapiąć. Czyżbym utył przez jedną noc?

Przyjaciele przerwali interesującą dyskusję, aby wyjaśnić dziwne zjawisko. Rzeczywiście kołnierzyk był niemożliwie ciasny. Przyglądali się, kiwali głową, wzruszali ramionami, choć naturalnie obaj myśleli o czym innym, jak zwykle. Dopiero po kilku minutach mój dziadek krzyknął nagle:

— Przecież ty masz na sobie dwa kołnierzyki!

Okazało się, rzecz oczywista, iż uczony, pochłonięty interesującą dyskusją, włożył wprawdzie świeży kołnierzyk, ale przedtem... nie zdjął starego.

Pani Korzonowa bardzo lubiła grywać w winta i często wieczorem schodziło się w jej domu kilka osób na partyjkę. Otóż zdarzało się nieraz, że do tego właśnie salonu wkraczał Korzon w „pełnym rynsztunku", to znaczy w kapeluszu na głowie i z parasolem w ręku.

Goście nie zwracali na to uwagi, ponieważ profesor słynął z roztargnienia. Toteż nawet zwykle nie przerywano gry.

Dopiero po dłuższym czasie pani domu, zdziwiona, czego jej małżonek szuka tak długo i starannie po kątach, a później na półkach i w maleńkich szufladkach — spytała wreszcie: o co chodzi?

Odpowiedź nieodmiennie wywoływała salwę śmiechu. Okazało się, że szukał kaloszy albo butów. W tym celu z całą powagą i sy-

stematycznością otwierał najmniejsze puzdereczka i szkatułki na stołach, a nawet — leżące na kanapie damskie woreczki!...

W podobnych sytuacjach śmiał się niemniej wesoło sam Korzon, powtarzając, swoim zwyczajem, z długimi przystankami:

— Ależ ze mnie... e, e, e... rzeczywiście... e, e, e... dystrakt!

Usposobienie miał na ogół pogodne, dowcip subtelny, ale jędrny. Nie zawsze oddawał się *wyłącznie* pracom historycznym. Świadczyła o tym mała kartka papieru, która do niedawna względnie, bo do roku 1920 znajdowała się na wsi w papierach Bartosza Roszkowskiego. Korzonów z Roszkowskimi (moja babka była Roszkowska z domu) łączyła serdeczna przyjaźń. Uczony często zjeżdżał do Rudawicy albo do Bobry Wielkiej na wakacje. Otóż dziadzio Bartosz zapewniał mnie — a był to spośród wszystkich, jakich znałam, jedyny człowiek, którego usta nigdy nie skalały się kłamstwem — że ta mała karteczka zawiera nie tylko własnoręczne pismo Tadeusza Korzona, lecz i jego własny utwór. Niestety, zaginął w czasie inwazji bolszewickiej, tak jak wiele cennych pamiątek. Czytałam go jednak tyle razy i tylokrotnie powtarzałam, że nawet obudzona ze snu mogłabym

wyrecytować bez zająknienia ów sześciowiersz:

Późne kolacje
halucynacje
sprawiają w śnie.
Gdy jem mięsiwo
i piję piwo —
burzliwie śpię.

Trzeba przyznać, że oszczędność słów, użytych do tak plastycznego obrazu, mogłaby służyć za wzór niejednemu poecie... No i był Korzon przy tym, jak widzimy — na długo przed stosowaniem jarstwa dla pracowników umysłowych i przemęczonych intelektualistów — pionierem nowych idei w lecznictwie...

Nowy, wspaniały frak...

Znając dobrze roztargnienie swego małżonka, pani Korzonowa pilnowała go troskliwie i o każdym drobiazgu przypominała sama. Zwłaszcza, jeżeli na przykład udawał się z wizytą, sprawdzała, czy ma drobne w portmonetce, czystą chusteczkę w kieszeni, krawat... Bo i takie przeoczenia zdarzały się niekiedy.

Zaopatrywała też męża w papierosy i w liczne przestrogi, na które profesor odpowiadał potakująco, z gołębią dobrocią

w oczach, mimo że nigdy nie można było przysiąc, czy już za progiem mieszkania nie zapomni, po co właściwie wyszedł z domu...

Zdarzył się atoli fakt, o którym Korzon pamiętał bardzo dobrze. Zawczasu już przygotowywał się do mającej nastąpić uroczystości.

Chodziło mianowicie o jubileusz Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej), niezmiernie w owym okresie popularnej i cenionej poetki-improwizatorki. Uczony cieszył się bardzo z uczczenia zasług pisarki, która go darzyła przyjaźnią, a na wieczór jubileuszowy postanowił wystąpić okazale: w *nowym fraku.*

Okazało się bowiem, że stary frak, który służył Korzonowi bodaj przez lat trzydzieści, to jest od daty ślubu — był już nie do włożenia...

Po naradach z żoną, później z żoną i krawcem, ten ostatni otrzymał zamówienie. Frak miał być pierwszorzędny, z doskonałego, cienkiego sukna — i uszyty podług najnowszej mody. Profesor, który trzy czwarte życia spędzał w zakurzonych bibliotekach, nie zwracając najmniejszej uwagi na elegancję zewnętrzną — cieszył się teraz jak dziecko. Po każdej przymiarce wracał bardzo zadowolony i składał żonie raport: frak leży jak ulał. Tym razem „mól książkowy" zaćmi nawet

znanych elegantów stolicy, boć przecie żaden nie będzie miała fraka prosto z igły!

Nadszedł dzień uroczysty i wieczór, od tak dawna oczekiwany. Pani Korzonowa umówiła się ze znajomymi na ulubionego wincika, ale ma się rozumieć zawczasu własnoręcznie przygotowała wszystko: rozłożyła na krzesłach niezbędne szczegóły garderoby, powpinała spinki w mankiety koszuli ze sztywnym, lśniącym gorsem, wybrała odpowiedni krawat...

Wychodząc z domu, na wszelki wypadek pouczyła męża raz jeszcze:

— Tadziu! Więc pamiętaj: nowy frak wisi w szafie. Wyjmiesz go dopiero w ostatniej chwili, żeby się nie zakurzył.

Gdy wróciła, profesora jeszcze nie było. Położyła się więc do łóżka. Wrócił późno, bardzo zadowolony z uroczystości. Zaraz też na gorąco opowiedział żonie o przyjęciu, na którym zgromadziła się cała śmietanka intelektualnej Warszawy.

— A twój nowy frak? Zrobił wrażenie? — spytała pani Korzonowa, hołdując czysto niewieściej ciekawości.

Uczony roześmiał się z zadowoleniem:

— Wyobraź sobie, nadzwyczajne! Zauważyłem nawet wprost *wlepione* we mnie oczy różnych znajomych... Nawet nie przypuszczałem, że tak efektownie wyglądam...

Oglądali mnie od stóp do głów, więc umyślnie stanąłem pod samym żyrandolem, żeby się dobrze przypatrzyli! Nie ma co, nasz krawiec się popisał! Mój frak musiał być rzeczywiście „dernier cri"... Chociaż się na tych rzeczach nie znam, ale jednak zauważyłem, że ogromnie się różni od innych i krojem, i wykończeniem. Słowem: udało się! Zadałem szyku!

Nazajutrz z rana pani profesorowa zabrała się do porządkowania garderoby mężowskiej. On jeszcze wypoczywał po wczorajszej zabawie. Nagle wpadła do pokoju, wołając:

— Na miłość Boską, Tadziu! W czym ty wczoraj poszedłeś do Deotymy?

— Jak to w *czym?* W nowym fraku...

Załamała ręce z rozpaczą:

— Nowy frak wisi w szafie nie ruszony, tak jak go zostawiłam, a ty...

Przerwał żywo:

— Przecież go sam wyjąłem! Pamiętam doskonale, wyjąłem go, jak doradzałaś, w ostatniej chwili...

— Wyjąłeś *stary frak*, którym zakryłam tamten, ażeby się nie niszczył! Poszedłeś na przyjęcie w starym fraku! We fraku, od którego na dobitkę odprułam już guziki! Popatrz tylko, jak on wygląda!

Istotnie ubiór, przyniesiony z sąsiedniego pokoju, przedstawiał się... że trudno gorzej!

Profesor patrzył, patrzył... pokiwał głową. A potem zaczął się tłumaczyć bardzo skruszony:

— Widzisz... Teraz pamiętam doskonale... To było tak: do ostatniej chwili czytałem w gabinecie... coś nadzwyczaj zajmującego! Potem... musiałem się zapewne śpieszyć... Nie zauważyłem... Rzeczywiście, musiałem w pośpiechu nałożyć stary frak...

— ...bez guzików z tyłu! I kołnierz też wyprułam, bo go mole nadjadły... Widzisz, o! Została tylko podszewka. Ślicznie musiałeś w tym wyglądać!

Historyk zamyślił się. Żal mu było tej jedynej, utraconej okazji. Ale skłonność do analizy i wyciągania wniosków zwyciężyła. Pokiwał głową, uśmiechnął się:

— Teraz nareszcie rozumiem, dlaczego ci ludzie tak mi się wczoraj przyglądali!...

Świat uczonego

Tacy bywają ludzie uczeni w życiu prywatnym. Żony ich nieraz załamują ręce, gderzą albo dyskretnie wzruszają ramionami... Przyjaciele powtarzają sobie z ust do ust zabawne epizody...

Bo nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Najwięksi ludzie, najzacniejsi — mają

swoje śmieszności — a śmieszność jest najczęściej widziana przez najbliższych.

Na takiego „dystrakta“, jakim był Tadeusz Korzon, żona spoglądała z wyrozumiałością, jak na duże, zawsze trochę bezradne dziecko.

Ciężka to i niewdzięczna rola: być kapłanką domowego ogniska, egerią, a jednocześnie panią domu zapobiegliwą, czuwającą nad wszystkim. Potem się do niej uczepi byle anegdota. I towarzyszka pracy, towarzyszka doli i niedoli takiego uczonego wkracza w anegdocie na karty pamiętników.

Historia z frakiem nie wydarzyłaby się z pewnością żadnemu bywalcowi szlifującemu od piątej do ósmej i od północy do rana błyszczące posadzki dużych, modnych salonów. Ale uczony tyleż godzin, albo i więcej, ślęczy nad jakimś nieczytelnym rękopisem w zakurzonych archiwach, aby zgłębić „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta“... Człowiek, znający jak nikt w Polsce „Dolę i niedolę Jana Sobieskiego“ — nie ma czasu zastanawiać się zbyt długo nad zagadnieniem, dlaczego nowy frak znajdował się pod starym, a nie odwrotnie...

W starym czy w nowym fraku budzi on szacunek całego społeczeństwa. W „zaciasnym“ kołnierzyku — lub jeszcze gorzej, bez krawata — jest on chlubą każdego rodaka,

któremu z mroku dziejów wyprowadził i podsunął przed oczy historyczne dole i niedole jego praojców... ku nauce lub ku przestrodze.

A gdy się uśmiechniemy, słuchając opowiadań o kaloszach poszukiwanych w pudełku od zapałek — będzie to zawsze uśmiech pełen serdecznej dumy.

Wielkie i prawe serca biły w tych ludziach. Mogli czasem zapomnieć własnego nazwiska, lecz nie zapomnieli przez całe życie — ani na jedną chwilę — że *najdroższe* imię, *najważniejsze* — to imię ojczyzny naszej. To — Polska.

6*

JAN STANISŁAWSKI

SŁOŃ W SALONIE
WIELKI MALARZ
I MAŁA RYSOWNICZKA
ŚMIERĆ I ŻONA...

Słoń w salonie

Mieszkaliśmy jeszcze wówczas w kamienicy nr 7 przy Nowym Świecie. Pewnego popołudnia ktoś zadzwonił. Kucharka Antosia poszła otworzyć.

— Czy zastałem państwa w domu?

Na schodach stał osobnik w tużurku. w wysokim, sztywnym kołnierzyku i z kapeluszem w ręku. Jakaś „oficjalna“ wizyta.

— Pana nie ma, a pani w kuchni. Kogo mam zameldować? — zapytała służąca.

Gość wyjął pugilares, wręczył bilet. Antosia ujęła go ostrożnie w dwa palce i wskazała nieznajomemu jakieś drzwi:

— Może pan zaczeka w salonie. Pani za chwilę przyjdzie.

Znikła w głębi mieszkania. Nowoprzybyły, pozostawiony sam sobie, przeżył chwilę wahania. Zza drzwi, wskazanych przez służącą, dochodziły głuche pomruki oraz cienkie, radosne piski połączone z hałasem, jaki wydają padające na ziemię krzesła. Ale skoro tu właśnie, a nie gdzie indziej mieści się *salon*...

Gość nacisnął klamkę, wszedł... i osłupiał.

Duży pokój przypominał raczej arenę cyrkową, niż miejsce przeznaczone do przyjmowania gości. Cały środek ogołocony z mebli, usuniętych pod ściany, zajmował wzorzysty dywan zielony w piękne, różowe kwiaty, a na dywanie...

To, co leżało na dywanie, w zarysach przypominało *słonia*. Wielka, szara bryła, wydając właśnie owe pomruki, przewalała się z boku na bok. Na wyniosłości stanowiącej sam środek cielska, obciągniętego popielatym, fantastycznie sfałdowanym szewiotem, siedziała okrakiem drobna, białoróżowa istotka. Przy pomocy kolan i piąstek, zaciśniętych na karku olbrzyma, starała się utrzymać równowagę, co bynajmniej nie było rzeczą łatwą... Jednym, gwałtownym ruchem słoń strząsał z siebie białą „muchę", ćwierkającą z uciechy jak ptaszek... Ale wytrwała amazonka, nie dając za wygraną, gramoliła się znowu na oryginalnego wierzchowca i zabawa trwała w najlepsze.

Gość chrząknął raz i drugi, ale nie zwrócił tym niczyjej uwagi. Mała dziewczynka i kolos w szarym garniturze nazbyt byli sobą zajęci, aby zauważyć przybysza, który wreszcie, zrezygnowany, przysiadł skromnie na krzesełku w głębi salonu.

Po dobrej chwili weszła dopiero moja mama. Rzuciwszy okiem na podłogę, powitała gościa tak wytwornym uśmiechem i uściśnieniem ręki, jakby para, baraszkująca na dywanie, była zjawiskiem najzupełniej normalnym.

Zaraz też rozpoczęła tonem „światowej damy" konwersację na jakiś temat aktualny, wtrąciwszy mimochodem, że herbata zaraz będzie podana...

Gość mimo wszystko czuł się trochę nieswojo. Mało był widocznie przyzwyczajony do tego rodzaju widowiska na terenie warszawskiego *salonu*. Nie mógł się opanować na tyle, by głosem naturalnym odpowiadać na uprzejme pytania o zdrowie i wrażenia z podróży... Raz po raz rzucał okiem w stronę, gdzie „słoń" miotał się w ociężałych podskokach, a biało ubrana dziewczynka piszczała i klaskała w ręce z uciechy.

Matka moja, zauważywszy zaniepokojenie gościa, wyjaśniła z całą swobodą, jak sprawę najjaśniejszą pod słońcem:

— Trochę zanadto hałasują... Ale to tak zawsze. On pasjami lubi się bawić z moją Wandzią... Panowie się nie znają? Ach, przepraszam... Byłam pewna, że... Panie Janie!

Na dźwięk tego imienia olbrzym dźwignął się z pozycji horyzontalnej, usiadł pośrodku

dywanu) i przez chwilę patrzył przed siebie niezbyt jeszcze przytomnym wzrokiem. Potem wstał ociężale, przejechał dłonią po włosach, poprawił kamizelkę, spod której wyzierały inne, zbyteczne dla oka części garderoby i zrobił kilka kroków naprzód.

Szeroki, popielaty marynarkowy garnitur, wypełniony imponującą masą cielska, potęgował jeszcze pierwsze wrażenie. Jeżeli każdy człowiek przypomina z charakteru albo z wyglądu jakieś zwierzę, to ten grubas w krzywo zapiętej kamizelce i spodniach wygniecionych był „na stojąco“ jeszcze podobniejszy do słonia.

— Panowie się nie znają... — powtórzyła mama.

Gość skłonił się i wymienił nazwisko. Tłuścioch najpierw spojrzał na moją matkę wściekłym wzrokiem, potem zgrzytnął zębami, wyciągnął rękę i mruknął coś, co od biedy mogło być aktem prezentacji:

— Hmbrmbrhm...

Po czym, nie dorzuciwszy już nic więcej, wrócił do przerwanej zabawy.

— To Stanisławski, wie pan, ten świetny pejzażysta... Żonaty z moją cioteczną siostrą, Ninką Roszkowską... Wielki oryginał, ale człowiek niezwykłego umysłu, prawości... No i talent! Widział pan jego wiatraki przy

księżycu na ostatniej wystawie? Albo te „bodiaki“ stepowe...

Malarz bodiaków i wiatraków chodził tymczasem na czworakach po zielonym dywanie w kwiaty, mało się troszcząc, jakie sobie o nim wyrobi zdanie pan w tużurku.

Gość nadpił filiżankę herbaty, nadgryzł kruche ciasteczko, wypowiedział jeszcze kilka okrągłych zdań o malarstwie i sztuce w ogólności, po czym, dyskretnie zerknąwszy na zegarek, pożegnał panią domu równo po dwudziestu minutach przepisowej „pierwszej wizyty“.

W progu na chwilę zawahał się, czy nie wypada podejść i pożegnać nowego znajomego, ale dał spokój formalnościom, usłyszawszy, że to zbyteczne:

— Niech pan się nie trudzi... Zresztą oni i tak o Bożym świecie zapomnieli...

Dopiero gdy drzwi stuknęły w przedpokoju, mama postanowiła rozprawić się ze Stanisławskim:

— Nie ma co, ślicznie się pan popisał! Piękne mniemanie będzie miał o panu ten człowiek... Przyszedł z oficjalną wizytą... To znajomy mojego męża, dyrektor X... Bardzo ustosunkowany jegomość...

Wielki malarz zsadził maleńką Wandzię z kolan, gdzie galopowała właśnie w rytm słów „Jedzie, jedzie żyd, żyd! Na koniku

hyc, hyc!" — obciągnął nieszczęsną kamizelkę i mruknął:

— A po co było robić te jakieś ceregiele? Przyszedł, poszedł — Bóg z nim. A pani zaraz musiała mnie przedstawić.

— No, bo cóż by sobie pomyślał...

Stanisławski znów straszliwie zgrzytnął zębami, zmełł w ustach jakieś brzydkie słowo i wreszcie rzekł ponuro do śmiejącej się mamy:

— Mało mnie obchodzi, co sobie o mnie myśli jakiś kołtun, którego widzę po raz pierwszy i zapewne ostatni w życiu...

Wielki malarz i mała rysowniczka

Jan Stanisławski odegrał w moim życiu wielką rolę, nawet w pewnym okresie rolę decydującą o całej mojej artystycznej karierze. Tylko nie taką, jak sobie wyobrażał i jak się wszyscy najnaturalniej w świecie spodziewali...

Bo życie płata czasem figle, o jakich się nie śniło... filozofom, a tym bardziej malarzom. Miałam w dzieciństwie wielkie — jakoby — zdolności rysunkowe. Stanisławski wręcz twierdził, że posiadam olbrzymi talent z Bożej łaski — a do tego w dziedzinie, najmniej przez malarskich „geniuszów" obsadzonej: talent ilustratorski.

Od najwcześniejszych lat rysowałam, rysowałam a rysowałam... Całe stosy, całe tomy zeszytów z moimi rysunkami zalegają po dziś dzień szuflady i skrzynie wypełnione przez archiwa rodzinne. Dziś te rysunki przeszły do „rejonu" pamiątek, jak fotografie i listy drogich zmarłych, które się czasem wydobywa, przegląda, opłakuje...

Cudzy ból rzadko bywa i naszym. Muszę wyznać, że w sprawie tych rysunków nie podzielam cierpień mej najbliższej rodziny: miałam zostać artystką - malarką, (do tego znakomitą!) a jestem... literatką. Bynajmniej nad tym nie boleję. Nawet w chwilach najgorszych, gdy człowiek traci wiarę we własne siły i zdolności, kiedy *chleb* literacki bywał — jak chleb wojenny — skąpy, twardy i gorzki, nawet wtedy, przysięgam, nie przyszło mi do głowy jęknąć: „Ach, czemuż nie posłuchałam starszych! Czemu nie poświęciłam się malarstwu!"

Dziś, gdy czasy *górne i chmurne* (w rękopisie poety było nieco inaczej, mniej poetycznie) mam już zapewne poza sobą, dziś, gdy mogę patrzeć na przeszłość z perspektywy kilkudziesięciu lat, zdaje się, że rozumiem wreszcie tę pasję rysowania: od najwcześniejszego dzieciństwa, odkąd siebie pamiętam, układałam krótsze albo dłuższe powieści. Najpierw — były to bajki. Każda po-

wieść jest bajką, tak jak każda bajka ma w sobie dużo prawdy... Do układania mych fantastycznych bajek brakło mi prostej rzeczy: techniki pisarskiej. Ba! Techniki *pisania* w jak najpospolitszym znaczeniu tego słowa...

Dopomagałam tedy jak mogłam swej fantazji, galopującej na kulawym pegazie — po odkrytych już zresztą kontynentach — odpowiednią do tekstu koncepcją rysunkową. Czasem to lepiej wypadało niż słowa. Stworzyłam na przykład cykl obrazów z życia pewnej bohaterskiej, nader tajemniczej postaci, a pod jednym z końcowych rysunków podpis takiej treści: „Rycerz ten był dziewicą, o czym wiedział tylko jeden zaufany giermek".

Jak łatwo ocenić z tej króciutkiej cytaty, temat nie potrząsał nowości kwiatem, a jednak świetny krytyk i literat, Adam Grzymała Siedlecki, przytoczył w jednym ze swych artykułów owo zdanie jako charakterystyczne dla ośmio czy dziesięcioletniej dziewczynki predestynowanej na powieściopisarkę.

Tą niewymienioną z nazwiska dziewczynką byłam ja we własnej osobie, podobizna zaś „Rycerza — dziewicy" moim własnym dziełem, znacznie lepszym, niż wpisany na marginesie tekst literacki. O ileż było *wygodniej* dla początkującego „literata" narysować postać w przyłbicy, spod której kaskadami spływały jasne loki, niż czar i barwę tych kędziorów opisać!

Posługiwałam się w początkach kariery literackiej — jak ludy pierwotne — pismem obrazkowym. Było mi potrzebne, jak i im, do wypowiedzenia swych myśli... A że niewątpliwie posiadałam też uzdolnienie w szkicowaniu ludzkich sylwetek...

Słowem, miałam zostać artystką malarką. O tym za mnie, *per procura*, marzono. Tego był pewien Stanisławski. I jeżeli malarką nie zostałam, *jemu* właśnie ten fakt zawdzięczam. Bowiem różnymi ścieżkami Pan Bóg nosi kule, którymi człowiek strzela...

A jak się stało, opowiem...

Otóż, jak zaznaczyłam, znakomity wuj miał baczne oko na obiecującą artystkę. Wszystkie moje rysunki chowano, potem je oglądano, oceniano, komentowano. Nic mnie te obrzędy nie obchodziły, w chwilach bowiem wolnych od twórczych natchnień bawiłam się, jak inne, mniej utalentowane dzieci: lalką, piłką, skakanką. Przez ten czas rosły jak na drożdżach projekty. Wandzia — po ukończeniu szkoły oczywiście — pojedzie do Krakowa, aby tam pod kierunkiem świetnych malarzy (a nie brakło ich wtedy!) kształcić się w Akademii *fachowo*. Potem oczywiście do Anglii, gdzie dział ilustracyj-

ny przedstawiał się naówczas kwitnąco. Potem — no, oczywiście, będzie najlepszą w tym dziale rysowniczką... co najmniej na wszystkie trzy *zabory.*

Rosłam tymczasem, a wraz ze mną nadzieje moich bliskich. Ale Stanisławski mieszkał stale w Krakowie, a w Warszawie byli inni malarze, którym mama pokazywała moje *dzieła.* Tak czynią wszystkie matki, jak świat światem. Każdej sprawia niewysłowioną, błogą radość przekonać otoczenie, że *jej* dziecko jest istotą niepospolitą.

I właśnie kiedy miałam lat dziesięć, zjawił się u rodziców przybyły z zagranicy Kazimierz Stabrowski. Przyjrzawszy się utworom swej przyszłej „koleżanki“, wpadł w istną egzaltację. Podobno błagał moją matkę niemal ze łzami w oczach, by mógł mi dawać lekcje... Że, broń Boże, nie chce tego traktować zarobkowo, że o żadnych pieniądzach nie chce słyszeć... Jeśli matka moja uważa, że na systematyczną naukę za wcześnie, to niech mu będzie wolno przychodzić choć dwa razy w tygodniu... Na godzinkę...

Tłumaczył, prosił, przekonywał, że Wandzia się nie zmęczy, nie znudzi, że to będzie *jakby zabawa,* przy której dziecko nauczy się rysować, a on kiedyś, w przyszłości powie z dumą: „To ja byłem jej pierwszym profesorem...“

Stało się. Rzeczywiście, nawet mnie to z początku ogromnie zajmowało: przychodzili posłańcy, wąsaci, w czapkach czerwonych i w mundurach, lub stare baby spod kościołów. Stabrowski mrużył oczy, sadowił ich na krześle, znowu przekrzywiał głowę, przysłaniał lub odsłaniał szyby w oknach. Potem kazał mnie mrużyć oczy, rysować *światłocieniem...*

Kładł mi węgiel do ręki, tłumaczył, że to wszystko jest *bryłą.* Giętkim ruchem dłoni zaznaczał na papierze *proporcje.* Zachęcał:

— Śmiało, śmiało! Ta *płaszczyzna* jest w cieniu... Zaznacz węglem trójkąt cienia na nosie... A teraz oczodoły... A teraz — wybierzemy światło chlebem... O, tak!

Coś z tego wychodziło. Istotnie, coś *bryłowatego.* Odszedłszy jak najdalej i przymrużywszy dobrze oczy, można się było z dobra woli dopatrzyć w tym bohomazie *ludzkiej twarzy...*

Stabrowski był *ekspresjonistą.* Tak zdaje się nazwano kierunek importowany wprost z Paryża. Był zresztą doskonałym i cenionym malarzem. Zanim został „ekspresjonistą“, umiał doskonale rysować. Moje zaś *bryły,* jeśli miały coś wspólnego z rysunkiem, to chyba tylko... węgiel drzewny. Ale malarz-entuzjasta promieniał. Twierdził, że mam

„rozmach", wyczucie kontrastów, nawet własną koncepcję artystyczną!

Bohomazy starannie utrwalone, przypięte pluskiewkami do ściany, stanowiły już wcale okazałą galerię, kiedy nagle przyjechał Stanisławski.

Nawet nie silę się na opisanie sceny, jaka nastąpiła po obejrzeniu mych „portretów z natury". Stanisławski wpadł w furię. Krzyczał, tupał, wymachiwał rękami, groził nieobecnemu koledze wyszukaną kolekcją mąk piekielnych... Najstraszliwsze wyrazy padały z jego ust gęściej, niż śnieg za oknem... Przypominam sobie tylko niektóre „uwagi" przerywane wyjaśnieniami mojej mamy, że to przecież wybitny malarz, że tak prosił, z własnej, nieprzymuszonej woli, że Wandzia...

— Kryminał! — ryczał Stanisławski. — Kazać *dziecku* rysować *takie* rzeczy!... Posłańcy, psiakrrr... Sam powinien zostać posłańcem! O, nie daruję! O, rozniósłbym, rrrozniósłbym...

Tegoż dnia na spokojniejszej już cokolwiek konferencji „rodzinnej" losy moje zostały przesądzone. Stanisławski oświadczył kategorycznie, że mię zabierze do Krakowa. Zaraz. Natychmiast. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem...

— Muszę odrobić jak najprędzej — rzekł tocząc groźnym wzrokiem po zebranych — to, co naknocił ten wasz... (okropne słowo) malarz... Dziecku by w głowie przewrócili! Ale dość. Teraz *ja* się do niej zabiorę.

Pojechałam z mamą. Zostawiono mię u stryjostwa. Tam uczyłam się z moją rówieśniczką Janką gramatyki, arytmetyki oraz innych mądrości z zakresu niższych klas szkoły średniej. *Poczucie estetyki* miał mi w zbakierowanej łepetynie naprostować sam Stanisławski. Chodziłam do wujostwa trzy razy tygodniowo i tam — w towarzystwie dwóch dorosłych uczennic mistrza — brałam lekcje rysunku...

Prawdopodobnie Stanisławski postanowił wybić klin klinem: ekspresjonistyczne światłocienie zastąpić drobiazgowym, niemal że benedyktyńskim rysowaniem martwej natury. Ustawiano przede mną „kogutki" odpustowe i drewniane laleczki, złożone z samych wałków, trójkącików i kulek: rysowałam je z nienawiścią, niedbale... Dostawałam za to porządne bury, bo Stanisławski, złoty człowiek i tak wyjątkowy, genialny pejzażysta — nie poznał się zupełnie na pejzażu mojej rozdąsanej po dziecinnemu duszy: najpierw zapanowała tam jesienna plucha w postaci łez, gęsto pokrywających nieudane próby rysunków; potem nastała sroga zima obojętności:

listki przyszłych malarskich wawrzynów czerniały i padały jeden za drugim w mroźnym tchnieniu nakazu:

— *Musisz* to narysować. Potem, kiedyś, będziesz malować to, co ci się podoba...

Kochałam bardzo mego wuja. Podziwiałam malarza. Ale niecierpiałam nauczyciela i nauki. Zaciskałam mocno powieki, żeby choć przez chwilę *nie widzieć* ołówka, papieru i obrzydłych, „prostych" modeli. Powtarzałam w duchu z całą świadomością, że to jest *ślubowanie:*

— Dobrze. Teraz *muszę* rysować, bo mi każą, bo jestem mała. Ale *potem*, jak dorosnę, nie będę rysowała wcale, wcale, wcale!

Rysowałam jeszcze dużo. Nawet z zapałem. Ukończyłam, już po zamążpójściu. Szkołę Sztuk Pięknych. Byłam nawet — i to przez całe trzy półrocza! — nauczycielką rysunku w szkole średniej! Czego człowiek nie robił w końcowych latach wojny!

A przecież nie zostałam malarką. Zawdzięczam to — o ironio! — człowiekowi, który *wierzył* w mój talent. Dziś czuję za to dla Stanisławskiego wielką wdzięczność: bezwiednie wyzwolił we mnie bunt przeciwko sztucznie narzuconemu „powołaniu". Dziś malarstwo lubię i cenię, jak wszystkie sztuki piękne. Potrzebuję go jak każdy wrażliwy na piękno *odbiorca*. Ale *rozkosz pracy*, rozkosz największego cierpienia i największej radości daje mi tylko to, co przeszło wszelkie próby ogniowe, przepaliło serce na wkroś, pożera czas i nerwy. Praca literacka może nawet wypacza nieraz i kaleczy moje własne, prywatne, spokojne, ciche szczęście, o jakim ma prawo marzyć każdy człowiek... Ale kocham ją, nie mogłabym jej porzucić.

Piszę powieści. Tak jak wtedy, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką i układałam bajki, do których brakło słów w słowniku kilkoletniej autorki...

Chcę i *muszę* pisać dla ludzi, tak jak malarz chce i musi dla nich malować, rzeźbiarz — rzeźbić, artysta-muzyk — grać. Więc to widocznie jest moim powołaniem.

I jeszcze coś niezmiernie dla mnie ważnego zawdzięczam Stanisławskiemu; przeżyłam w tymże roku, w tymże Krakowie chwilę naprawdę wielką, niezapomnianą, niepodobną do żadnej innej w życiu.

Dzięki Stanisławskiemu widziałam w Krakowie twórcę „Nocy listopadowej" i „Wesela". Był już wtedy śmiertelnie chory. Poszliśmy go odwiedzić. Nie pamiętam, czy to było w szpitalu, czy też w jego mieszkaniu. To nie miało żadnego znaczenia, skoro zostało zapomniane.

Ciocia Ninka była początkowo przeciwna tej wizycie. Mówiła, jak zwykle, cicho, łagodnie, z uśmiechem na bladych, trochę zawsze spierzchniętych ustach. Lubiłam na nie patrzeć. Miały w sobie dużo słodyczy:

— Wandzia tego *nie zrozumie*. Będzie miała tylko przykre wspomnienie.

Stanisławski mruknął na to:

— Nim dorośnie, będzie *za późno*. Wandzia *musi* zobaczyć Wyspiańskiego. Kiedyś sobie o tym przypomni.

Zobaczyłam go.

Wrażenie było silne i nigdy nie zapomnę tej pięknej sceny, choć wionęło od niej uczuciem grozy.

Na łóżku — pół oparty o wysoko spiętrzone poduszki — leżał ktoś *nieznajomy* o twarzy żółto-zielonkawej. Rękę miał obandażowaną i tym białym kikutem usiłował coś pisać na bloku, gdyśmy wchodzili do pokoju.

O czym Wyspiański tak długo mówił ze Stanisławskim? Bo czekałam, stojąc, kwadrans, może i więcej. W każdym razie ta wizyta wydała mi się wiekiem. O czym rozmawiali? Tego nie słuchałam widocznie, bo nie mogę sobie przypomnieć. Zbyt mnie pochłaniał widok cienia rzucanego na jasną ścianę przez człowieka, który sam był już prawie cieniem.

Pamiętam, że padło jedno słowo — najmniej oczekiwane najmniej spodziewane w tej chwili: — *Krawat*. Może dlatego zapamiętałam je tak dobrze.

Tyle wyniosły oczy i uszy dziecka. Największy ze współczesnych artystów pisał może wtedy zmartwiałymi palcami:

To ciało tylko leży —
Lecz duch, jak ognia słup!...

*

Warto tutaj przypomnieć, że Jan Stanisławski był jednym z pierwszych, którzy uchylili czoła nie tylko przed Wyspiańskim-malarzem, ale i przed genialnym poetą, twórcą nowej epoki w naszej poromantycznej, popowstaniowej literaturze.

Nie wszyscy współcześni zrozumieli Wyspiańskiego i docenili należycie doniosłość roli, jaką twórca „Wyzwolenia" odegra w kształtowaniu charakterów i psychiki młodzieży „przedwojennej".

Że go nie zrozumiano i nie odczuto, świadczy choćby znane powszechnie powiedzenie jednego z „ludzi teatru" o premierze „Wesela". Scharakteryzował on to dzieło jako „sztukę ludową z muzyką i tańcami"... Jeden zaś z zawodowych krakowskich krytyków poinformował publiczność w artykule popre-

mierowym, że trzyaktowy utwór kończy się pogodnie... pląsem wszystkich par, biorących udział w przedstawieniu, w takt znanej melodii „Pod Krakowem czarny las“...

Na premierze „Wesela“ panował nastrój osobliwy: jedni wpadali w szał zachwytu, inni byli mocno skonsternowani. Nie wiedzieli... „co o tym sądzić“, więc na razie zachowywali się z rezerwą, wyczekując, co powie Stanisławski — głos i sumienie artystyczne ówczesnego Krakowa. Jego wrażenie, jego pierwsze słowo było w pewnej mierze opinią decydującą o sukcesie lub klęsce.

Jan Stanisławski siedział w jednym z pierwszych rzędów foteli. Gdy spuszczono kurtynę, nikt na razie nie bił brawa: ludzie stali w miejscu... Publiczność, o dziwo, nie śpieszyła, jak zazwyczaj, do szatni.

Stanisławski wciąż siedział nieruchomo, jak urzeczony, z twarzą spopielałą, zastygłą w upojeniu aż bolesnym, tak silnym...

Dopiero po jakimś czasie wstał; z ust wydobyły się jakieś urywane, gardłowe dźwięki, strzępy słów: rozprawiał się jeszcze sam na sam z potęgą doznanego wzruszenia.

Był Polakiem do szpiku kości. Pochodził z Kresów, które wydały nie tylko Wernyhorę. Całym sercem i wszystkimi nerwami artysty

odczuł tragizm zbiorowej duszy polskiej pokazany, jak nigdzie, w tej „ludowej sztuce z muzyką i tańcami“...

„Śmierć i żona...“

Wesele Stanisławskich odbywało się w Rudawicy pod Grodnem, w rodzinnym majątku mojego ciotecznego dziadka, Bartosza Roszkowskiego. Podobno dawno nie pamiętano tak licznego zjazdu rodziny.

Uroczystość, ówczesnym obyczajem, trwała długo. Starsi musieli się za wszystkie czasy nagadać, a młodzież wybawić i wytańczyć.

W Rudawicy były aż dwa domy mieszkalne, ale oba niewielkie. Rozlokowano więc przybyłych, jak się dało, to znaczy według wieku, urzędu i... płci. Pamiętam jak przez mgłę, że duży pokój na górze przedzielono prześcieradłami na osobne, maleńkie sypialnie. Tam mię właśnie ulokowano pod opieką mnóstwa ciotek, zarówno rodzonych, jak i „przyszywanych“.

Mama była wtedy poważnie chora i musiała zostać w Warszawie. Przyjechałam z moją „przebraną matką“, Antoniną Szumowską — Adamowską. Kochana ciocia Tolcia sama była wówczas bardzo młodą mężatką, lecz już znaną pianistką i dumą całej ro-

dziny, toteż czyniono jej odpowiednie „honory" mieszkaniowe. A ja... dostałam się między namioty z prześcieradeł, wypełnione szczelnie plebsem innych ciotek i kuzynek dotychczas niezamężnych.

Jako najmłodsza z weselników, zaledwie czteroletnia panna, byłam tam oczkiem w głowie. Ale „milutka Wandzia" miała zwyczaj wstawać o świcie, co niezbyt dogadzało innym lokatorkom pokoju. Toteż jedna z ciotek „poświęciła się" dla ogółu, zapewniając, że mnie umyje, ubierze i co prędzej wyprawi do ogrodu.

— Dziękuję, sama sobie dam radę! — urażona miłość własna kazała mi się wyrzec cudzej łaski — zresztą mam tu moją *przebraną mamę.*

— Patrzcie, jaki sobieradzki smyk! — zauważyła któraś z rozbudzonych już rozmową sąsiadek, a inne śmiały się, obserwując, jak czerwona z wysiłku, wkładam bieliznę i zapinam guziki...

— Patrzcie! Ona rzeczywiście już się ubrała sama! — zauważyła któraś z kuzynek.

Wyszła z łóżka i podbiegła do mnie w koszuli:

— Chodź, kochanie, pocałuj ciocię...

Ale spotkała się z wyraźną rekuzą:

— Nnnie...

— Dlaczego?

— Bo jesteś nie umyta i... paskudnie wyglądasz — padła prawdomówna odpowiedź.

Kuzynka w papilotach i w wymiętej bieliźnie osłupiała ze zdumienia, nie wiedząc, czy się roześmiać, czy mię skarcić za tak dosadne wyrażenie. Śmiały się za to inne ciocie, dogadując:

— Co racja, to racja! Ale weredyczka z tej Wandzi! I co za języczek! Stanisławski nie posiadałby się z radości!

Rzeczywiście, Stanisławski lubił słowa soczyste, a wchodził właśnie do rodziny, gdzie w najintymniejszych nawet rozmowach nie *kłócono się,* tylko *dyskutowano...* Gdzie panny nie używały słowa *kłamać,* ale *mówić nieprawdę...*

Pod tym względem byłam prawdziwym *wyrodkiem.* Zamiast „nie pachnie", mówiłam bez ogródek, że *śmierdzi,* a gdy raz oznajmiłam publicznie, że mi dano na przeczyszczenie, „bo mię w nocy *brzuch* bolał" (w rodzinie tolerowano, acz niechętnie, tylko zdrobnienie: brzuszek!) — Stanisławski dosłownie ryczał z zadowolenia i powtarzał:

— Kto to dziecko nauczył wreszcie *mówić,* bo przecież ani Tolcia, ani Milcia, ani Julcia...

Sam używał *okropnych* słów, ale w jego ustach nie brzmiały *ordynarnie.* Każdy, kto

go znał chociaż trochę, wiedział, że ten grubas o zaniedbanych rękach, wiecznie rozwichrzonej czuprynie, poplamionym często i wymiętym ubraniu — miał duszę kryształowo czystą i wielkie, prawe serce. Nie znosił w koło siebie ludzi *małych*, w znaczeniu skarlenia moralnego. Nie znosił nawet *brudnych* myśli.

Dopóki żył — a miał w Krakowie tak wielki autorytet, że liczono się z każdą jego pochwałą lub krytyką, wyrażoną właściwym mu, dosadnym stylem — dopóki żył, trzymał mocno w ryzach ówczesną cyganerię. Dopiero w jakiś czas po jego śmierci — bo jeszcze wystarczało przypomnieć, że na to a na to nigdy nie zezwoliłby Stanisławski — rozluźniły się węzły obyczajowości polskiej, pojęcia przyjaźni i honoru...

Uczeń Matejki, przyjaciel Wyspiańskiego — miał ten świetny malarz postać Falstaffa, lecz rasę rdzennie polską, bez jakichkolwiek zagranicznych przymieszek. W przeciwieństwie do swego mistrza, wątłego ciałem, uczeń — imiennik nie malował wielkich scen historycznych, nie malował nawet nigdy dużych obrazów. Jego rodzaj — to były olejne miniatury pejzażu. A przecież on także stworzył *szkołę* i znalazł licznych, gorliwych naśladowców: nauczył *widzieć* polskie niebo, polskie drzewa, polski łan, polskie chaty

i dworki, polskie snopy, osty, malwy... Nawet polskie kałuże na drogach, nawet polskie księżyce...

Matejko namalował *dzieje Polaków* — i widzimy dotąd postacie wielkich mężów tak, jak nam kazał patrzeć na własne ucieleśnione wizje — a Stanisławski malował *polską ziemię* — i widzimy każdy zmierzch, każdy uśmiech słońca na zbożu — jego rozmiłowanymi oczami.

Jeżeli czego z głębi serca żałuję, to faktu, że kiedy żył i tworzył — byłam jeszcze *za mała*. Cóż mogłam pojąć, cóż ogarnąć oczami dziecka w tej wielkiej, tak bogatej indywidualności? Strzępki wrażeń uczepionych pamięci, niby nić babiego lata na rżysku: czasem zalśni brylantowo ta nitka, zadźwięczy echo głosu — to wszystko...

Muszę pomyśleć: Stanisławski — i widzę wtedy jakąś zabawną scenkę w Rudawicy o wczesnym ranku, gdy dziewczęta służebne, wziąwszy jego ubranie do czyszczenia, spróbowały, „tak na hece", wleźć każda w jedną nogawicę jego przestronnych spodni... Paradowały tak przez całe podwórze, a śmiechu było przy tym, a pisku!...

Albo słyszę, jak mamusia mówi kucharce:
— Jutro będzie na obiedzie pan Stanisławski, więc trzeba zrobić kotletów tyle, jakby przyszły jeszcze cztery osoby.

Albo znowu *widzę* i *słyszę* jednocześnie: Stanisławski patrzy spode łba, coś długo mruczy, zgrzyta zębami (miał ten okropny zwyczaj!) i wreszcie wyrzuca z siebie głosem niskim i dudniącym, jak z beczki:

— Zawsze twierdziłem, że liczba mnoga od „człowieka“ jest bydło.

Ale kiedy to mówił? W jakich okolicznościach? Patrzył na targowisko ludzkich namiętności, na nienawiść, sobkostwo, zazdrość, gniew, na tratowanie się wzajemne, spychanie i podstawianie nogi... Patrzył, zgrzytał zębami i klął brzydko pod nosem... A przecież nie miał w sobie ani nienawiści, ani pychy, ani żadnego z grzechów głównych, bo nawet to, że jadł za czterech, było cechą schorzenia fizyczną, nie duchową... Miał jedyną wielką namiętność — sztukę. I jedną wierną towarzyszkę: nazywała się — Ninka.

Tak. Muszę zamknąć oczy, bardzo mocno zacisnąć palcami powieki, aż zadrgają w tej czerni złote i srebrne koła... Wtedy — na krótką chwilę — majaczy mi krąg światła od wiszącej nad stołem lampy, a w tym kręgu dwie głowy. Tak. To wuj Jaś i ciocia Ninka. Siedzą sami, w swym zacisznym mieszkanku w Krakowie. Nie przeszkadza im obecność dziesięcioletniej dziewczynki rysującej na rozłożonym bloku śmieszne kukiełki przyniesione z Sukiennic...

Nie przeszkadza im, że co chwila łamię ołówki, mocno wycieram gumą papier i wzdychając rozpoczynam na nowo...

Mówią o jakichś sprawach — o swoich własnych sprawach, które nikogo, oprócz nich, nie obchodzą. Rozmawiają. Ona, jak zawsze, w ciemnej sukni, złotowłosa, łagodnie uśmiechnięta, odpowiada nieomal szeptem. Jego potężny głos faluje: wybucha, to znów przygasa nagle, jakby słowa, rozżarzone ogniem wewnętrznym, uciekały daleko, w cień, tam gdzie nie sięga już złociste światło lampy.

Tacy byli u siebie w domu. Zawsze. Od dnia wesela w Rudawicy, kiedy siedziała obok wielkiego swego męża cicha, złotowłosa, smukła i wiotka — i uśmiechała się tak samo, jak dziś. I tacy pozostaną jeszcze przez kilka miesięcy. Do dnia, gdy ją opuścił, nie łamiąc wyrzeczonej przed ołtarzem przysięgi.

Do dnia, w którym otrzymaliśmy telegram z Krakowa, że Jan Stanisławski nie żyje...

Nie zostawił jej samej zbyt długo. Była tak kobieco bezradna, tak bezsilna, jak bluszcz pozbawiony oparcia, jak łódeczka bez sternika i wioseł na zdradliwych falach i wirach.

W dwa lata później odwiedziła moją matkę w Warszawie. Przejazdem. Miała spędzić

całe wakacje na wsi, a potem?... Kto wie? Mówiła, że *chyba* wyjdzie za mąż... „Jaś“ jej nawet kazał przyrzec... przed śmiercią... Ale ona jeszcze się waha... To tak trudno bez Jasia powziąć jakąś decyzję...

W dwa tygodnie później przyszła ze wsi wiadomość niespodziana, jak grom z jasnego nieba: Ciocia Ninka Stanisławska umarła. Tyfus. Podobno, odzyskawszy na krótko przytomność, powiedziała: — Jaś mię wzywa. Tak widocznie będzie dla mnie najlepiej. Jaś *wiedział*, że sama nie potrafię dać sobie rady w życiu, a gdybym wyszła za mąż... Może byłoby jeszcze gorzej; *inaczej*, niżby Jaś dla mnie pragnął...

PADEREWSKI

OGLĄDANY OCZAMI DZIECKA
LUDZIE, KTÓRZY GO OTACZALI
OKRES GRUNWALDZKI

C Z Ę Ś Ć   P I E R W S Z A

OGLĄDANY OCZAMI DZIECKA

PIANINO
ZŁOTA CHRYZANTEMA
PADEREWSKI PRZY STOLE
PODARUNKI
RIOND BOSSON
ON GRA

Pianino

W cichym, białym dworku z kolumienkami, w powiecie sokólskim, stoi do dziś dnia stare pianino.

Dziś jest już tylko zabytkiem pamiątkowym, szanowanym, ale martwym sprzętem, do użytku niezdatnym. Jeszcze minie lat kilka, najwyżej kilkanaście, i *nowi ludzie* wyrzucą je na strych czy do piwnicy, bo to jest zwykła dola sprzętów, które swoim właścicielom długie czasy wiernie służyły. Dlatego trzeba śpieszyć pianinu na ratunek. Zapisać wiernie chociaż to, co widziałam sama oczami dziecka lub co stare, wymarłe pokolenie opowiadało dzieciom w długie, słotne wieczory.

Pianino przechodziło różne koleje. Czasów jego świetności nie pamiętam z tej prostej przyczyny, że nie było mnie wówczas na świecie. Nawet moja mama... Lecz co tu długo mówić: dawno, dawno bardzo, mniej więcej lat temu ze sześćdziesiąt pianino zdobiło pewien salon warszawski: mieszkanie moich

ciotecznych dziadków. Potem — przewieziono je na wieś.

Zanim w bolesnym roku 1920 bolszewicy powyrywali połowę strun i napełnili orzechowe pudło ośćmi spożytych ryb — pianino było już mocno sfatygowane.

Musiałam jednak od czasu do czasu brzdąkać na nim, bo tego żądał dziadzio. Sądzę, że nikomu poza najzacniejszym staruszkiem te koncerty nie sprawiały najmniejszej przyjemności... Grałam, jak dziś pamiętam, „Ave Maria" w układzie Gounoda, straszliwą parodię szopenowskiego nokturnu, oraz kilka własnych, mniej ponurych utworów, których autografy nie zachowały się na szczęście dla tej prostej przyczyny, że nie zostały nigdy i nigdzie zapisane.

Krzywiąc się naciskałam skrzypiące pedały, kręciłam nosem, gdy klawisze wydawały nieoczekiwane i zgoła niepożądane tony... Wreszcie przerywałam w pół taktu i mówiłam z rozpaczą:

— Ono jest niemożliwe, dziadziu!

A dziadzio odpowiadał pogodnie:

— Wydaje ci się, duszko.

— Wcale mi się nie zdaje. Cóż to za straszny gruchot! Połowa klawiszy wcale nie odpowiada, a ta reszta...

Wówczas przerywał mi tonem jednocześnie pełnym humoru i dumy:

— Na tym *gruchocie*, duszko moja, grał największy pianista świata i *nie narzekał*.

Istotnie tak było. Tylko minęło wiele lat od czasu, kiedy na dziadziowym pianinie grywał godzinami blady młodzieniec. Nad szafirowymi oczami, nad mądrym czołem wichrzyła się niesforna, słynna potem w całym świecie czupryna.

Młody człowiek był uczniem warszawskiego Konserwatorium. Bardzo zdolnym, jak mówiono powszechnie, ale nie dość zamożnym, by posiadać własne... pianino! Toteż wszędzie gdzie mógł — u przyjaciół, u znajomych i krewnych — powtarzał niestrudzenie majorowe i minorowe gamy, pasaże i „palcówki".

Dziadzio mawiał o tych „koncertach" z dumą przez lat blisko czterdzieści. Zanim umarł, zdołał we mnie zaszczepić ambitne przekonanie, że malutką bodaj cząstkę niezrównanej techniki zawdzięcza mistrz tonów staruszkowi z orzechowego drzewa...

Minęło jeszcze sporo lat. Wywędrowała w lepsze światy garstka ludzi, którzy pamiętali genialne, złotowłose pacholę... Takim obiecującym chłopcem był późniejszy twórca „Fantazji polskiej" w dojrzałych oczach mego dziadka.

Przyszły inne czasy, a z nimi — inni ludzie. Po wielkiej wojnie, w białym dworku

z kolumienkami stał się najczęstszym gościem... sekwestrator. Tak było prawie wszędzie, w wielu dworach i dworkach całej Polski. Cóż dopiero... na kresach wschodnich!

Pewnego dnia sekwestrator zjawił się znowu. A że tego rodzaju człowiek nie miał wiele wspólnego z poezją moich wspomnień, więc opisał pianino... bardzo niepoetycznie: w protokóle zajęcia za zaległe podatki.

Gdy nadszedł termin licytacji, niesympatyczny gość przybył znowu, tym razem w towarzystwie sołtysa. W owych czasach gotówka nie wpływała nigdy tak szybko, jak nakazy płatnicze — wypisywane dla tym większej ironii na wesołych, kolorowych papierkach: różowych albo żółtych...

Ani mowy, ani marzenia, by wszystkie posiadane w domu pieniądze starczyły na pokrycie bodaj połowy należności. Pianino musiało pójść „pod młotek".

Sekwestrator odwiózł je do miasteczka osobiście. Na klekoczącym chłopskim wózku szanowny sprzęt chwiał się rozpaczliwie i trzeszczał... Od czasu do czasu popękane struny wydawały cichy, żałosny dźwięk. Może pianino chciało przypomnieć ludziom świetną przeszłość, zasługi położone dla chwały Polski i dla tryumfalnych koncertów, na które mistrz przybywał już od dawna ze swym własnym „Stainwayem"?

Wóz skręcił na szeroki gościniec. Uczułam nagle, że mię coś dławi w gardle. Wpadłam jak huragan do stajni i kazałam osiodłać konia. Zanim to uczyniono, zanim, dudniąc kopytami po wybrukowanym „kocimi łbami" rynku, moja Kometa cała w mydle zatrzymała się przed wejściem do gminy — zdjęto już cenny ciężar z „urzędowej" podwody i wniesiono pod urzędową pieczą do bielonego wnętrza. Prócz pianina nie było tam nic szczególnego. Kilku żydków, paru miejscowych „dygnitarzy", no i gromadka gapiów, od której buchał ostry zapach machorki.

*

Kupiłam je na licytacji, podbijając cenę do sum zawrotnych: Trzysta sześćdziesiąt złotych!

Nie było tyle warte nawet w oczach sekretarza magistrackiego. Niski, pękaty człowieczek miał aspiracje artystyczne: grywał na fisharmonii dziarskie polki, fokstroty i modne wówczas „rumby".

Postanowił nabyć pianino, aby zaimponować pewnej hożej dziewoi, o której względy od dawna się ubiegał, ale ostygł w zapale. Przelicytowałam go o całe pięć złotych!

Gdyby wiedział! Gdyby przeczuwał, że na tym samym pianinie — na tym samiutkim — grał kiedyś *godzinami* Ignacy Paderewski!

Od niepamiętnych dla mnie lat rodzina mamy żyła w serdecznych, przyjaznych stosunkach z Ignacym Paderewskim. Ciotka Antonina Szumowska - Adamowska, znana później i bardzo ceniona w Ameryce pianistka, była jedną z jego pierwszych uczennic. Zanim przez małżeństwo z kuzynką mojej matki został naszym powinowatym, bywał — jako uczeń warszawskiego Konserwatorium — częstym gościem w domu prababki Antonilli Roszkowskiej, powszechnie w gronie rodzinnym zwanej „Bunią“. Od roku 1894 przez 36 lat ojciec mój zajmował się interesami Paderewskiego. Nikt nie może wiedzieć, ani nawet przypuszczać, jak głęboko sięgały te sprawy w atmosferę dziecinnego pokoju, gdzie powtarzało się i odgrywało całe dramaty i komedie, gdzie słowo „wyjechali“ — „przyjadą“ zmieniało często wszystkie plany, niweczyło nadzieję wakacji przepędzonych z tatusiem, oznaczało nagłą jego podróż do Paryża, Londynu czy też do Riond Bosson...

Cały okres mego dzieciństwa — od najwcześniejszych lat — to już był okres wielkiej, ustalonej, błyszczącej sławy mistrza. To już były miliony przywożone z zagranicy, a jakże często, coraz częściej w miarę płynących lat, rzucane hojną ręką w kraju na cele

patriotyczne, na różne instytucje, na wspomaganie młodego pokolenia artystów... Tysiące listów, przychodzących nieustannie z całego świata, wymagało sztabu sekretarzy, całego biura. Paki próśb odrzuconych wędrowały z konieczności do kosza.

Znając, jak mało kto, kulisy „żywotów sławnych ludzi“, wiedziałam doskonale, czemu Paderewski *nie czyta* osobiście całej korespondencji. Gdyby ją musiał czytać, nie mógłby grać: zmieniłby się chyba w jakiegoś urzędnika-robota, podcyfrowującego prośby o wsparcia, o protekcje, memoriały polityczne i znów nawoływania o pieniądze, pieniądze, pieniądze... Gdyby był multimilionerem — nie zdołałby w jednej tysiącznej zaspokoić potrzeb swoich petentów.

Ludzie takich rzeczy w ogóle nie pojmują. Rozumiała je znacznie lepiej pewna mała osóbka, do której Paderewski odręcznie napisał w roku 1906 list tej treści:

Kochana Wandziu,

Dziękuję ci za list, który zarówno mnie jak i Cioci wielką sprawił przyjemność.

Dzidzia[1]) *ma się dużo lepiej, tylko dziś z powodu wyjazdu waszej Mamusi, jest bardzo smutna. I mybyśmy woleli, żeby*

[1]) Moja siostrzyczka mieszkała wówczas w Riond Bosson.

Mamusia nie odjeżdżała, tylko żebyście wy tutaj przyjechały. Postaraj się Mamusię do tego namówić.

Dzwonki[1]) *czytujemy. Jest to bardzo poważne pismo. Szkoda, że tak rzadko wychodzi.*

Manon[2]) *przebyła dziś ciężką operację: wyrwano jej ząb. Spodziewam się, że to nie był ząb mądrości, bo by może wszystkich swych sztuk zapomniała.*

Przesyłam Ci na gwiazdkę — nieco spóźnioną — 20 franków. Nie kupuj sobie za te pieniądze majątku w Galicji[3]), *bo to niedobry interes. Chodź lepiej na ślizgawkę.*

Oboje cię serdecznie przygarniamy i ściskamy, Twój Wujaszek

I. J. Paderewski.

Zrozumiałam doskonale aluzję, zawartą w dowcipnym zwrocie o nielokowaniu oszczędności w galicyjskich majątkach ziemskich... Wiedziałam już wtedy od tatusia, w jakie „interesy" *ubierano* Paderewskiego, gdy zaczął zarabiać koncertami swoje słynne *miliony*.

---

[1]) Tytuł pisma, które redagowałam dla siostry i wysyłałam do Riond Bosson, gdzie przebyła zimę i lato 1906 r.

[2]) Imię psa cioci Paderewskiej.

[3]) Paderewski miał zapewne na myśli majątek *Kąśnia*, na którego kupnie stracił duzo pieniędzy.

Ale to się działo w epoce sławy. Znacznie dawniej, kiedy jeszcze nie było mowy o świetnych albo kiepskich interesach, o kłopotach i troskach związanych z tryumfalnym pochodem artysty przez wszystkie części kuli ziemskiej — Ignacy Paderewski zadomowił się w domu mojej prababki. Grywał tam — nie można powiedzieć: jak u siebie, bo u siebie nie miał nawet pianina — ale z całą pewnością w tym arcypolskim domu, w serdecznej atmosferze, roztaczanej przez „Bunię", Antonillę Roszkowską, żonę i matkę sybiraków, czuł się jak we własnym domu rodzinnym.

Po „koncertach", nie poprzedzanych jeszcze w prasie radosnymi wzmiankami o zjawieniu się mistrza tonów w stolicy, pan Ignaś Paderewski zmiatał ochoczo — do spółki z resztą śmiertelników — niewybredne, lecz pożywne kolacyjki u pani Antonilli Roszkowskiej. Maleńkie jej wnuczki, sieroty po profesorowej Wandzie Szumowskiej, hodowane przez babkę raczej niż przez pochłoniętego pracą ojca, dawno położono już spać. Ale starsza młodzież, od której zawsze dom się roił, śmiała się i dowcipkowała często do późna, zjadłszy cały zapas wędlin lub kluski z serem, podawane przez gospodynię z tak królewską prostotą, jak królewską była ongi uroda tej niepospolitej, mądrej i bohaterskiej

kobiety. Dyskutowano nieraz na tematy poważne, sercu wszystkich Polaków drogie.

Co już wtedy mówił, myślał, co czuł Ignacy Paderewski?... Nie wiem, choć zapewne wiele o tym słyszałam w dzieciństwie. Za to pamiętam doskonale tradycyjną opowieść o pierwszej wizycie mistrza w domu „Buni". Znajomość zaczęła się, mało powiedzieć, oryginalnie, bo w sposób chyba do owej chwili niepraktykowany — od klapsa.

Któraś z kuzynek przyprowadziła pewnego dnia do „Buni" „obiecującego młodzieńca". Obie damy nie widziały się dawno, toteż uściskom i okrzykom nie było końca. Długo wymieniały „shake handy" na cztery ręce, aż nagle stało się coś nieoczekiwanego: młodziutki uczeń warszawskiego Konserwatorium, nie mogąc się doczekać chwili, gdy zostanie zauważony i oficjalnie przedstawiony — podszedł cichaczem, schylił się zwinnym ruchem i nagle...

Pomiędzy ramionami wzruszonych krewniaczek zakwitła jak spod ziemi i zalśniła w świetle naftowych lamp olbrzymia, *złocista chryzantema.*

Była to głowa przyszłego mistrza tonów, tak dobrze znana później całemu światu wspaniała grzywa Ignacego Paderewskiego.

Bunia była tym niecodziennym zaiste zjawiskiem niemniej zdumiona, jak i rozweselona. Że zaś miała wrodzony zmysł humoru, więc nie namyślając się długo, trzepnęła dłonią po złocistej czuprynie wołając:

— A figlarz! A figlarz!

Takie było poznanie mojej prababki z Paderewskim.

Paderewski przy stole

Byłam wtedy małym bąkiem, mogłam mieć około czterech lat, więc spisuję to odległe wspomnienie jako anegdotę, powtarzaną przez rodzone i przyszywane ciotki.

W domu rodziców moich, a mieszkaliśmy wówczas pod nr. 7 na Nowym Świecie, wrzało od rana jak w ulu. Porównanie wydaje mi się tym trafniejsze, że w sąsiedztwie znajdowało się miejsce wprost rajskie: cukiernia „Złoty Ul". Oczywiście przepadałam za słodyczami.

Tego pięknego, wiosennego dnia przygotowywano w naszym domu różne arcydzieła sztuki kulinarnej — raczej dla dorosłych. Między innymi młode kaczki, nadziewane jabłkami.

Bieganina, syk masła na patelni, głos mamy z coraz to innej części domu: „Prędzej, Antosiu, prędzej, bo nie zdążymy!" — wszystko to zajmowało mój czteroletni umysł daleko żywiej, niż zdarzenie, które cały ów za-

męt wywołało: a tego właśnie dnia w kościele OO. Paulinów odbył się ślub Ignacego Paderewskiego z piękną panią Heleną Górską, naszą kuzynką.

Po ślubie państwo młodzi mieli być u nas na śniadaniu.

Podobno jako dziecko odznaczałam się ogromną pewnością siebie. Miałam też bardzo oryginalny styl, barwny i soczysty, co mamę przerażało, a innych członków rodziny napełniało obawą, że nie dorównam dystynkcją reszcie dobrze wychowanej rodziny. Jeden Paderewski umiał w pełni ocenić staropolski rubaszny humor, który w ustach dziecka nabierał jeszcze barw komicznych. Zdaje się, że mię za to nawet i lubił. W każdym razie dobrze pamiętał różne moje występy, co stwierdziłam ze wzruszeniem w wiele lat później...

Otóż wreszcie przybyli, oczekiwani z biciem serc, najmilsi goście. Rodzice powitali ich w progu tradycyjnym chlebem i solą, a ja ukłoniłam się zupełnie poprawnie, wołając przejmującym głosikiem:

— Ho, ho! Żeby państwo wiedzieli, jaki dziś będzie pyszny obiad!

Paderewski najpierw wycałował „figurę" wystrojoną odświętnie, a potem odezwał się z powagą:

— Od dzisiaj, Wandziu, musisz mi mówić wuju.

Nie sprawiło mi to najmniejszego kłopotu. Wspięłam się na palce, by powtórzyć wielką nowinę:

— Naprawdę, wuju, będą same pyszności!

Śniadanie odbywało się w nastroju radosnym. Ten cudowny człowiek, zawsze taki serdeczny i wprost czarujący w obejściu, był owego dnia wyjątkowo szczęśliwy. Jego promienne usposobienie udzieliło się wszystkim zgromadzonym. Gwar nie milknął ani na chwilę.

Podawano jedne po drugich coraz to nowe smakołyki, które tyle pracy i niepokoju kosztowały mamę. Przyszła wreszcie kolej na kaczki. Miały stanowić „clou" przyjęcia, lecz, niestety!... Czy coś tam kucharka sknociła, czy też *młodość* owych kaczek była pod znakiem zapytania... Jednym słowem, sprawiły mamie i nam wszystkim gorzki zawód, były bowiem wyjątkowo żylaste.

Zaległa cisza, przerywana tylko „szczękiem oręża". Towarzystwo w skupieniu zwalczało przy pomocy widelców i noży bierny opór niewdzięcznych ptaków. Rozmowy urwały się zupełnie i na długo... Nagle w uroczyste milczenie wpadły z „szarego końca" stołu słowa zgoła niespodziewane: zabrzmiał

trzeźwy sąd „niewiniątka" — i do tego wyrażony nieskazitelną dykcją:

— Mówili, że będą takie *pyszności*, a te kaczyska twarde, że i pies by nie ugryzł!

Chwila konsternacji — rozpaczliwe spojrzenie mamy w moim kierunku — przejmujący szept cioci, obok której siedziałam — i raptem... Ignacy Paderewski wybuchnął głośnym, serdecznym, rzec by można *dziecięcym* śmiechem. Zawtórował mu natychmiast cały chór biesiadników.

Jak on umiał się śmiać! Szeroko, rozlewnie, całą duszą — po *kresowemu!* Śmiał się wzrokiem, ustami, ruchem ramion, głowy, niemal drganiem każdego z przepysznych, złotych włosów nad rozjaśnionym nagle czołem!

Myślę, że tylko prawdziwie *wielki* człowiek potrafi, tak jak dziecko, wykorzystać aż do ostatniego tchu chwilę beztroski, wypoczynku, zabawy...

Widywałam Paderewskiego w różnych okresach życia: gdy koncertował, gdy przemawiał do tłumów... Widywałam bruzdę poprzeczną między brwiami, wyraz skupienia, jakiejś aż bolesnej powagi... Widywałam go znużonego, gdy stał u steru rządów, gdy powracał z wielogodzinnych narad... I ten mąż stanu, ten niezrównany mówca, który przed chwilą przykuwał i zdobywał tysiące umysłów i serc polskich — wróciwszy do własnego domu, aby wypocząć i nabrać nowych sił — stawał się nagle innym człowiekiem: zwyczajnym, choć zawsze *nadzwyczajnym* człowiekiem, do którego mówiło się „wuju" i który z zakamarków swej fenomenalnej pamięci wyciągał jakieś drobne, zabawne wydarzenie, aby się pośmiać razem z nami niezrównanym. serdecznym śmiechem.

I jeszcze raz śmiał się serdecznie z powodu wiekopomnych „kaczek". Dziwnym zbiegiem okoliczności działo się to również przy stole, tylko w innych warunkach, w innej epoce życia. Nie siedziałam „na szarym końcu", ale tuż koło niego. Uszczuplona garstka uczestników obiadu świadczyła w sposób bolesny o świeżych bardzo ranach, które czas goi najpowolniej i nigdy — całkowicie.

Tak. Najdziwniejszym zbiegiem okoliczności krąg cierpienia otoczył prawie jednocześnie jego i mnie: drugiego stycznia 1934 roku zmarł mój Ojciec, a w niespełna dwa tygodnie przyszedł telegram, że Helena Paderewska zamknęła oczy. Dlatego takie szczupłe grono zasiadało w kwietniu tego roku przy stole w Riond Bosson.

Nie było żadnych przyjęć, figur oficjalnych, żadnych gości. Przyjechałyśmy z mamą, bo miałyśmy wiele spraw do omówienia i — codziennie, przez kilka godzin, w ciągu czterech tygodni, widywałam Paderewskiego.

Pierwszy raz w życiu spotykałam go tak często, twarz w twarz, bez hurmy obcych i przyjaciół, Polaków i cudzoziemców, od których roił się ten duży dom, tak raptem pusty i *za duży*. Wyjechał nawet na czas jakiś osobisty sekretarz mistrza. Siadywaliśmy przy obiedzie w pięcioro: on, jego siostra Antonina, sekretarka Zmarłej p. Helena L., moja matka — i ja.

Nigdy nie przypuszczałam, że sprawa owych kaczek, których „pies by nie ugryzł". wejdzie raz jeszcze, jak się to mówi *na tapet*. A właśnie tak się stało. I mimo wszystko śmieliśmy się znowu prawie do łez. Bo takie jest życie. Najsłotniejszy, listopadowy dzień zakwita nagle majem obudzonym do życia przez wspomnienia.

Chwilę beztroskiej wesołości poprzedziła kuchenna katastrofa. Może się to przydarzyć wszędzie, choćby i na królewskim dworze. A w Riond Bosson była zawsze kuchnia iście królewska. Najprostszy obiad musiał być przyrządzony bez zarzutu. Tego wymagał od kucharza pan domu i sam często zatwierdzał obiadowy jadłospis.

Otóż... podano na wety „Macédoine", sałatkę owocową. Wzięłam do ust pierwszą łyżeczkę i... skamieniałam na chwilę ze zdumienia. Kawałeczek banana miał najwyraźniej zapach — śledzia... Może innej ryby solonej,

czy wędzonej. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że nie jest to przyprawa dodająca smaku owocom.

Jednocześnie z moją, tylko o wiele wyrazistszej, zastygła w niemym osłupieniu twarz kochanej cioci Antosi Paderewskiej-Wilkońskiej. Zamieniłyśmy błyskawicznie spojrzenia. Nie chodziło, rzecz prosta, o zmarnowane danie (sałatka była istotnie *niejadalna*), ale o to, co będzie dalej? Jak *ON* zareaguje na nieoczekiwaną w dziedzinie gastronomii kreację?

Paderewski — o dziwo — jadł. Jedną łyżeczkę, drugą... Ciężkie westchnienie ulgi wydobyło się z piersi cioci Antosi. Podniosła do ust nowy kęsek owocu. Uczyniłam i ja to samo.

Nagle — musiał widocznie dopiero teraz natrafić na kawałek banana — odłożył na bok łyżkę i popatrzył przed siebie wzrokiem, którego także, jak innych jego spojrzeń, nie zapomnę. Dopiero w kilka sekund — wydawały się, jak na scenie, minutami! — spytał zmienionym głosem:

— Co to... co to takiego?

— To jest... może... śledź?... Nie wiem... — wyjaśniłam niezdarnie i zgoła niepotrzebnie.

Paderewski spojrzał na mój talerzyk:

— Zostaw to. Tego nie można przełknąć. François!

Pospolite, zdawałoby się, imię lokaja zagrzmiało jak zapowiedź burzy:

— Zawołać tu kucharza!

— To bywa... to się trafia niekiedy, wuju! Wuju, proszę mi wierzyć... Wystarczy przez pomyłkę rozkroić owoc nożem, który...

— Nie powinno być takich noży. Nie powinno być takich pomyłek — przerwał, draśnięty w swej dumie *gospodarza.*

Nie było innej rady. Kucharzowi groziła tęga bura, jeżeli nie dymisja... Wyszukałam gorączkowo w pamięci wszystkie znane mi od dzieciństwa niepowodzenia kulinarne, jakie się wydarzyły w najlepszych, ogólnie szanowanych domach... Wysypałam, jak z rękawa, cały stos opowieści... Jakieś słynne lody pachnące naftą... Byle rozpędzić gromadzące się chmury.

I wtedy — jako deska ratunku — nadleciała na skrzydłach wspomnień *twarda* kaczka.

Zaczęłam opowiadać z humorem, od początku, wszystko jak było. Nie potrzebowałam mówić dalej. Paderewski już się śmiał, powtarzał moje własne słowa, naśladował wybornie intonację... „A te kaczyska twarde, że i pies by nie ugryzł..."

Sałatka poszła w zapomnienie. Krótka burza domowa przeszła bokiem. Śmieliśmy się wszyscy, jak wtedy. Paderewski — po

swojemu — szeroko i radośnie. Potem zwrócił się wprost do mamy:

— Rzeczywiście, kaczki się nie udały, pani Julio. Pamiętam, straszliwie były twarde!

*

Jak każdy *wielki człowiek* — Paderewski był, jest i będzie przedmiotem ciekawości ludzkiej aż do najdrobniejszego szczegółu garderoby, aż do każdej śmiesznostki graniczącej poufale ze wzniosłością. Podpatrzą jego obyczaje, ruchy, mowę. Podpatrzą i opiszą. Ale tego szczególiku nikt dotychczas nie zapisał w „memoarach". To jest moje osobiste wspomnienie, anegdota od A do Z *prawdziwa,* związana z moją skromną osobą...

Paderewski — wirtuoz, Paderewski — kompozytor, Paderewski — mąż stanu, patriota, filantrop... Wszystko to już wszystkim wiadome. Ale jest przecież coś nowego, świeżego. Jakaś zabłąkana biała karteczka, nie tknięta dotąd ostrzem wiecznych piór reporterskich: Sałatka owocowa ze śledziem. Autentyczne. Działo się w Riond Bosson, Roku Pańskiego 1934.

Ale to są *moje własne* wspomnienia. Opowiadam je czytelnikom, jak się wryły w pamięć. Oglądane oczami dziecka drobne, nic nie znaczące wydarzenia mają swoisty czar, którego się nie zapomina.

Wracam znowu do opowieści z dawnych czasów, a dygresję „śledziową“ składam do osobnej szufladki, jak miły list, który się zna na pamięć. Może wywołać uśmiech samym tylko wspomnieniem. Dosyć. Naśladownictwo zastrzeżone. *Copyright by Wanda Miłaszewska.*

Podarunki

Choć stale przebywali za granicą, chociaż widywałyśmy ich tak rzadko, pamiętali zawsze o dwóch, potem o trzech małych dziewczynkach mieszkających w Warszawie.

W najmilszej chwili roku — w wieczór wigilijny — leżało pod naszą choinką mnóstwo paczek. Od Rodziców. Od jednej, drugiej, trzeciej cioci. Od wuja Stasia, zwanego popularnie „Fokiem“.

— A to przysłali dla was państwo Paderewscy — mówił tatuś i wskazywał cenne zawiniątko, dowód ich pamięci z daleka.

Rozwijało się paczki, wydawało się okrzyki zachwytu. Z początku przychodziły same zabawki. Czasem bardzo kosztowne. Kiedyś, pamiętam, Dzidka dostała welocyped, który nawet we mnie, osobie już dziesięcioletniej, wzbudził... odrobinę zazdrości. Ale Dzidka była przecież chrzestną córką Paderewskiego.

Niekiedy podarki były aż zbyt wspaniałe i troszeczkę... na wyrost. W któreś święta

Paderewscy pozostali w Warszawie. Na wilię przyszli do nas. Z tego powodu urządziło się nawet rodzinną maskaradę. Paderewski zawsze tęsknił do Polski, lubił polskie tradycje, nieskazitelnie czystą mowę, obyczaje naszego ludu.

Mamie, zawsze pełnej pomysłów, przyszło na myśl, aby urządzić „chłopską“ wilię, ale to taką, mówiąc stylem mej najmłodszej siostrzyczki, *najpraździwszą z praździwych.*

Sporo nawet było z tym pomysłem kłopotu, bo nie tylko strój biesiadników musiał być autentyczny, ale każda misa — gliniana, a z przyrządzeniem potraw, o jakich się nie śniło w stolicy, kucharz miał po prostu urwanie głowy.

Koniec końców wszystko wypadło pięknie. Jadalnię „ucharakteryzowano“ jako tako przy pomocy snopków (skąd wzięto snopki w końcu grudnia, w samym środku Warszawy, to dla mnie tajemnica) — domownicy wystąpili w ubiorach malowniczych. Skakałyśmy do góry z radości, oglądając tatusia w „kierezyi“, z pawim piórem przy rogatywce... Nawet cudzoziemka, Laurence Alma Tadema, która mieszkała wtedy u nas, wystąpiła w jakichś spódnicach i zawojach. Robiły bardzo „do twarzy“, mimo że styl. mocno dowolny pod względem regionalnym, zostawiał wiele do życzenia.

Przybywających gości przywitali rodzice słowami „Niech będzie pochwalony“, w pas się przy tym kłaniając.

Paderewski wpadł od razu w „ton“ i cieszył się jak małe dziecko. Przepijał do sąsiadów, mamusi mówił, jak i słusznie przynależało — „moja kumo!“, żartował z „dzieciskami“, słowem, bawiliśmy się wszyscy doskonale. Bardzo miły i wesoły był wieczór. Śpiewaliśmy później przy choince kolędy... Pożal się Boże, jakie głosy mamy w całej rodzinie...

Tego dnia radość moja przeszła wszelkie granice: dostałam od „wujostwa“ teczkę z florenckiej, wytłaczanej skóry. Była to teczka do pisania, prawdziwa, taka, jakich używają ludzie dorośli... Mam ją do dzisiejszego dnia, tylko brak w niej ćwiartki listowego papieru, która była moim największym skarbem. Ale o tym — potem.

Innym znowu razem dostała mi się broszka. Śliczny drobiazg, wysadzany brylantami i szafirami. Ofiarowałam ją później w przystępie nagłego rozczulenia jako prezent ślubny pewnej młodej osobie, która może i nie oceniła *moralnej* wartości tego daru. Była to hoża, wiejska panna, a całe zamążpójście, nacechowane zdrowym rozsądkiem bez sentymentalizmu, nie miało bynajmniej tragicz-

nego posmaku, jakiego się w nim dopatrzyła moja literacka fantazja.

Jakoś bardzo prędko mijały lata. W dziewiętnastej „wiośnie“ życia zaręczyłam się z młodym, bardzo „obiecującym“ literatem-poetą.

Paderewski nie mógł być na ślubie, ale w wilię uroczystego dnia przysłał na *moje* imię... Nie chciałam wierzyć oczom, gdy mi ojciec pokazał ten czek. Pięć tysięcy franków stanowiło wówczas sumę zawrotną. I ta suma była — do mojego rozporządzenia!

Gdybym wychodziła za mąż za milionera, może wujostwo przysłaliby mi jakąś artystyczną pamiątkę albo klejnot. Ale Paderewski *wiedział*, że wychodziłam za poetę. Wiedział, że artystyczny chleb suchy bywa i gorzki, wiedział, że najpiękniejsze rymy nie przyniosą gór złota...

Ho, ho! Pamiętasz, Stasiu? Mieliśmy skarbiec pełen najśmielszych marzeń, ale bardzo mało obiegowej monety. I właśnie trzeba było trafić na takie twarde czasy! Okupacja niemiecka. Brak dochodów. Brak nawet kartkowego chleba. Co tu dużo mówić! *Poeta* całymi miesiącami paradował w butach na *drewnianej* podeszwie, stukających jak bretońskie chodaki... A miast układać rymy, wkuwał — stronica po stronicy — perły naszej literatury w głowy chłopców ze Szkoły

Rzemieślniczej na Pradze... Oboje łataliśmy belferką coraz to nowe dziury powstające w literackim budżecie...

Jakże się wtedy przydał wspaniały dar rozmieniany po trochu na robaczywą mąkę, stęchłą kaszę i zjełczałą słoninę, słowem,... na niezapomniane wojenne artykuły „pierwszej potrzeby".

A jednakże najdroższym i najcenniejszym darem pozostał mi na zawsze *jego list.* Ten, którego już nie mam...

Trzeba wiedzieć, że Paderewski *nie lubi pisać listów.* Nawet prywatną korespondencję załatwia częściej, niźli piórem, sążnistymi telegramami... Toteż list, bezpośrednio do mnie adresowany — był zaiste skarbem bezcennym. Włożyłam go do prześlicznej teczki florenckiej i woziłam wszędzie ze sobą.

Podczas zawieruchy wojennej rzeczy moje pozostały w Krakowie. Miałam tam wrócić po wakacjach, a wróciłam... po czterech latach. Odnalazłam tam zaledwie znikomą cząstkę moich studenckich ruchomości. Ocalała — o dziwo! — teczka. Tylko listu już w niej nie było.

Widocznie żołnierz (jaki? — Austriacki? Niemiecki? Polski?) był *inteligentem* i poznał się na wartości arkusza opatrzonego zamaszystym podpisem:

I. J. Paderewski...

Widzę jeszcze ten list. Całe trzy stronice. *całe trzy* zapisane. Format duży, zbliżony do kwadratu. Treść umiałam kiedyś na pamięć, na wyrywki.

I ciągle mi się zdaje, że ten list jeszcze kiedyś wypłynie. Może na jakiejś licytacji bibliofilskiej, kto wie? Jeśli tak się stanie, proszę dobrze pamiętać: podaję to do wiadomości publicznej:

Zaczynał się od słów „*Kochana Wandeczko...*" Został mi bezczelnie skradziony.

Był to jeden z trzech listów pisanych do autorki niniejszych wspomnień. I pisany w czasach, kiedy jeszcze bardzo mało mogła mieć wspomnień.

Riond Bosson

Moja młodsza siostrzyczka Dzidka mieszkała przez cały rok w Szwajcarii. Była chora, doktorzy zalecili zmianę klimatu. Wówczas pp. Paderewscy nakłonili mamę, aby im powierzyła rekonwalescentkę, i zabrali małą do siebie.

A my, to znaczy mama, ja i najmłodsza Zośka, która wtedy jeszcze odbywała dalsze przejażdżki wózkiem, wyruszyłyśmy tam na lato.

Willa w Riond Bosson jest położona bardzo pięknie, na wzgórzu, o niecały kilometr od miasteczka Morges pod Lozanną. Z ta-

rasu i z okien domu roztacza się przepiękna panorama ze sławną, ośnieżoną, w blaskach zachodu białoróżową Mont Blanc. W dole lśni jezioro Lemańskie, gdzieśmy używały kąpieli i karmiły z zapałem łabędzie.

Siedziba Ignacego Paderewskiego została już tysiące razy opisana, obfotografowana, uwieczniona tuszem, farbą drukarską, olejną, wodną... Czy więc warto nużyć czytelników opisem topograficznym okolicy, oglądanej parą dziesięcioletnich czy jedenastoletnich oczu?

My, dzieci, byłyśmy zachwycone wszystkim. Drzewa, kwiaty, cały duży park, wnętrze domu, wspaniały salon i jadalnia, w której tak często zbierało się po kilkadziesiąt osób — wszystko przyciągało moją uwagę, pobudzając do ustawicznych „achań“ i „ochań“. Z martwych przedmiotów — najbardziej imponował mi olbrzymi stół bilardowy, okryty zielonym suknem. Wysokość hallu zajmowała dwa piętra. Na poziomie pierwszego znajdowała się galeryjka drewniana, z której prowadziły drzwi do prywatnych pokoi.

Stanowczo jednak najpiękniejszy był widok roztaczający się z wielkiego tarasu.

— Cudowny kraj! — rzekła mama, przysłaniając oczy ręką od blasku zachodzącego słońca — cudowny, cudowny kraj!

Ale Paderewski, który nam wtedy towarzyszył, niechętnym spojrzeniem ogarnął rozesłany u naszych stóp olbrzymi gazon — i fantastyczny łańcuch górski, malowany w tej chwili wszystkimi odcieniami fioletu. Milczał długo. Wspaniała szopa złotych włosów lśniła mocniej niż światło dogasającego dnia.

— Wstrętny parawan! — odezwał się nareszcie. — Chwilami nienawidzę tych gór...

Zamilkł znowu. Wpił w przestrzeń wzrok mocny, przenikliwy — i dokończył z jeszcze wyraźniejszą niechęcią:

— Tak, są chwile, że nienawidzę tego domu, tego parku, tego *obcego* krajobrazu. Właściwie w całym Riond Bosson lubię tylko jedno miejsce...

I nagle odwrócił twarz ku mojej matce:

— Chce pani, to pójdziemy. Pokażę pani to miejsce.

Minęli klomby wspaniałych kwiatów, pięknie wygracowane ścieżki. Uszli w milczeniu spory kawałek. Gdzieś, na końcu ogrodu, przezierała zza drzew mała, zielona łączka. Prowadziła tam dróżka zaniedbana, z kałużą wody pośrodku. Dalej majaczył stary, koślawy płotek.

Paderewski przystanął i wyciągnął przed siebie rękę. Nie mniej było w tym geście wy-

razu, niż w słowach, które wtedy wypowiedział ciepłym, wzruszonym głosem:

— Tak. *To miejsce* lubię najbardziej. Przypomina mi Polskę.

*

Rezydencja Paderewskiego roiła się owego lata nie tylko od ludzi, ale i od wszelakiego rodzaju zwierząt.

W domu — królowały papugi, przywożone całymi „gniazdami" z każdej *tournée* mistrza po Ameryce i Australii. Papug była taka obfitość, że pomimo hojnego rozdawnictwa tych gadatliwych ptaków między przyjaciół i znajomych — dom rozbrzmiewał gwarą różnojęzyczną.

Jedna prześliczna papuga brazylijska, jaskrawo zielona z turkusowo-żółtym diademem piór nad olbrzymim haczykowatym dziobem — dostała się naszej rodzinie. Na statku nauczyła się od marynarzy paru wyrazów portugalskich, paru angielskich i do końca życia mieszała je później z polskimi. Nazywała się Kiki.

Podczas wakacji w Riond Bosson poznałam jej rodzonych braci i siostrę, tudzież mnóstwo innych, wspaniałych okazów papuzich. Było ich razem, jak dziś pamiętam, *jedenaście!*

Dzieci są bardzo spostrzegawcze, ale ich zainteresowania bardzo różne od zainteresowań budzących się dopiero w wieku dojrzałym. O ile nic mię nie obchodziły nazwiska sławnych ludzi, jacy się podczas naszej bytności przewinęli przez Riond Bosson — o tyle do dziś dnia pamiętam nie tylko imiona własne, lecz i upierzenie, oraz wszystkie znaki szczególne różnobarwnej ptasiej czeredy.

Były na przykład w jadalni prześliczne kakadu szaro-różowe, z których jedna, ulubienica wszystkich, nazywała się „Kubuś". Mówiła dużo, chętnie i z dystynkcją, w przeciwieństwie do olbrzymiej kakadu białej z żółtym czubem. Ta ostatnia zachowywała się tak krzykliwie, że wreszcie skazano ptaka na banicję. W pokoiku na drugim piętrze mogła dowoli odmieniać na wszystkie sposoby imię „Koki", nie zatruwając przy tym życia domownikom.

Psy miały także w Riond Bosson licznych przedstawicieli. Ciocia Helenka Paderewska nie rozstawała się nigdy z ulubieńcami: towarzyszyły jej we wszystkich podróżach. W owych czasach nie był to jeszcze pekińczyk Ping (pieszczotliwie mówiło się do niego „Pingie"...), lecz opasła, astmatyczna, bardzo już wiekowa mopsica Manon. Liczyła sobie właśnie osiemnaście wiosen, a dożyła dwudziestu dwóch!

Tak starego i uczonego psa nie spotkałam dotychczas nigdzie. Manon znała tysiące sztuk i mimo trapiącej ją zadyszki lubiła się swoim wykształceniem popisywać przed publicznością.

Wątpię, aby nadwornym szewcem cudzoziemki (Manon do końca życia porozumiewała się z domownikami jedynie po francusku!) był ów Janek, co to „psom szył buty", ale przysięgam, że własnymi oczami oglądałam psie buty... Manon miała nawet kilka „kompletów", trudno bowiem obuwie czworonogów liczyć na pary. Były to istne cacka: zwłaszcza zachwycały mnie wysokie, gumowe, czarne kalosze, sznurowane czerwoną tasiemką...

W ogóle garderoba tej psiej arystokratki była dla nas, dzieci, daleko bardziej wyszukana i zachwycająca, niż wieczorowe stroje pięknych pań odwiedzających Riond Bosson. Kto by na przykład mógł przypuszczać, że w kieszonce psiego kubraczka znajduje się chusteczka batystowa, i to w dodatu z *monogramem*. Sporządzaniem takich przedmiotów zajmował się fraucymer cioci Helci w chwilach wolnych, oczywiście, od poważniejszych trosk związanych z toaletą pani domu.

Żywot sybarytki wiodła tylko Manon. Na podwórzu wzdłuż przeciągniętej między

drzewami stalowej liny przechadzały się majestatycznie dwa olbrzymie bernardy. Wspaniałe te biało-łaciate psy wielkości rocznych cieląt miały poczciwe oczy i tak grubą, kudłatą sierść, że w niej ginęły nasze drobne, dziecinne ręce. Dla obcych mogły być niebezpieczne — pamiętam krwawe białka i potężne kły błyskające między wargami — ale Dzidce i mnie wolno było nawet, w dowód najgorętszej przyjaźni, przejechać się konno na grzbietach *Orosa* i *Azy*. Nosiły bowiem — i z nie lada godnością! — imiona bohaterów opery „Manru".

Wszakże najwięcej zajmowało wszystkich tymi czasy ptactwo domowe. Słynne „kury pani Paderewskiej" mieściły się na wielkim, ogrodzonym siatką terenie, gdzie dopiero wykończano roboty. Kursy drobiarskie dla Polek, przeniesione później pod Warszawę[1]), były wciąż jeszcze w stadium projektu. Na razie dobudowywano kurniki, a dokoła nich nie ustawał ani na chwilę jazgot ptasi. Nie potrafię wymienić gatunków, jakie tam oglądałam. Wiem, że niektóre były tak niepospolite i cenne, iż za jaja wylęgowe płacono... po dolarze!

W ogrodzeniach drucianych zasadzano dopiero drzewka. Niestety, cień, jaki wów-

[1]) Ferma drobiarska do dziś istniejąca w Julinie pod Warszawą.

czas rzucały przywiązane do palików wątłe wiechetki, był tak nikły, że w tym kurzym królestwie panowała spiekota afrykańska.

Co rano sama pani Paderewska udawała się na inspekcję. Nakładała wtedy olbrzymi słomiany kapelusz, urągający pojęciom, jakieśmy sobie wyrobili o tym użytecznym przedmiocie. Był to jedyny w swoim rodzaju okaz. Mówiło się o nim po prostu: „Ten kapelusz od kur".

Widząc, że go ciocia włożyła, biegłyśmy za nią na wyprzódki, a i ptactwo musiało go znać dobrze, bo już z daleka podnosiło harmider.

Potem rozpoczynała się wędrówka. Od przegrody do przegrody. Od kojca do kojca. Dobrą godzinę, a często znacznie dłużej trwał sumienny przegląd hałaśliwego inwentarza. Były tam obok ptaków normalnego wzrostu i upierzenia japońskie kurki tak maleńkie, że wyglądały jak karzełki w zestawieniu z okazami istnych kogucich „goliatów", na których śmiało mógłby się przejechać Twardowski. Były kury białe, pstre, czarne i czerwone, nakrapiane i w prążki, jak u zebry. Były małe i duże, na wysokich i niskich, szarych, żółtych albo pomarańczowych nogach...

A gołębie! Co za kolory! Co za kształty! Niektóre były tak łaskawe, że siadały nam na ramionach, gruchając prosto w ucho

tajemnicze słowa oznaczające, jak przypuszczam, wielkie zadowolenie.

Bo też ręce ich opiekunki zawsze były pełne przysmaków. Jeden gołąb nie mógł jeść sam, bo nie miał dzioba. Temu ciocia Helenka wkładała wprost do gardła ziarenka grochu, objaśniając:

— Biedaczek przeszedł dyfteryt i już na resztę życia pozostanie kaleką...

Popatrzyłam na Dzidkę, Dzidka na mnie i oczy nasze zrobiły się okrągłe z przerażenia: bo i ja zeszłej jesieni przechodziłam dyfteryt... Szczęście, że nie mam dzioba, jak ów gołąb, boby mi odpadł...

On gra...

Wówczas, gdy z mamą i z siostrami spędziłam najdłuższy okres czasu w Riond Bosson, Ignacy Paderewski *miał wakacje*.

To znaczyło, że przygotowując się do wielkiego jesiennego sezonu koncertowego, spędzał lato w domu i grał... po sześć, po osiem godzin dziennie.

Gdy grał — chodziło się na palcach, aby mu nie przeszkadzać. My, dzieciarnia, dostawałyśmy napomnienie od mamy, żeby tak ustawicznie nie kręcić się po schodach bez potrzeby.

Za to wspaniały park należał całkowicie do nas. Zwłaszcza z upodobaniem bobrowałyśmy w ogrodzie owocowym, tam gdzie rozpięte na wysokim murze brzoskwinie nęciły wielkim dojrzewającym już owocem.

Pewnego dnia deszcz padał od samego świtu. Na świecie było szaro, mokro i brzydko, a w sercu jakoś pusto i nieprzyjemnie... Nic nie cieszyło, godziny przedobiednie wlokły się żółwim krokiem.

Znudzona, ziewająca, wymknęłam się z pokoju Dzidki, bo nawet do zabawy brakło mi jakoś animuszu. Zaledwie uchyliłam drzwi — doleciał do mych uszu dźwięk fortepianu. Wiedziałam, że jeśli mię spostrzegą wałęsającą się po schodach, będzie bura. A jednak nie mogłam oprzeć się pokusie: te akordy — ciche lub wybuchające raptownie jak skarga, jak bunt, jak nagły poryw tęsknoty — obudziły we mnie uczucia dotąd nieuświadomione, nieznane: zrozumiałam, że kocham tę melodię, że jest mi znana i bliska od niepamiętnych czasów, chyba od urodzenia... Może istotnie znałam ją, ale nigdy nie przemówiła tak wymownie do nierozbudzonego jeszcze, dziecinnego serduszka.

Pracownia mistrza znajdowała się na pierwszym piętrze, na wprost schodów. Zeszłam powolutku, podkradłam się pod same drzwi. Stanęłam...

Sama nie wiem, jak to się stało. Jakby mi nagle sił zabrakło: siadłam na stopniach i nie mogłam się ruszyć.

W całym domu panowała głęboka cisza. Tylko zza tych zamkniętych drzwi dobiegały wyraźnie coraz piękniejsze tony, coraz nowe melodie. Tętna biły mi w skroniach, po ciele przebiegały mrówki. Nie rozumiałam wówczas, co mi jest... A to było pierwsze, głębokie, *artystyczne* wzruszenie. Aż bolało tam, w środku czaszki, i w sercu. A jednocześnie słodkie, nieznane, ciepłe myśli kołysały mię jak do snu...

Nie zdałam sobie nawet sprawy, że muzyka ucichła. Nie słyszałam, że otwarły się drzwi za moimi plecami. Poczułam raczej, niż dostrzegłam czyjąś obecność.

Przy mnie stał Paderewski. Spytał:

— Co ty tu robisz, Wandziu?

Spytał zwykłym sobie, serdecznym głosem. Wcale się go przecież nie bałam, a nie wiem, czemu nie mogłam odpowiedzieć. Wreszcie zdobyłam się na jedno tylko, cichutkie wyjaśnienie:

— Słucham...

Promieniste oczy ciągle patrzyły na mnie. Takie oczy umieją czytać w duszach. I nagle:

— Podobało ci się? Naprawdę? Chciałabyś jeszcze posłuchać? No to chodź. Tam ci będzie wygodniej niż na schodach.

Weszłam. Weszłam do *sanctuarium*. Świat kręcił mi się w oczach, meble w pokoju chwiały się, wyraźnie wirowały. Paderewski ujął mnie delikatnie za ramiona i podprowadził do kanapy:

— O, tu ci będzie dobrze, prawda? Tylko pamiętaj, siedź spokojnie, bo ja teraz muszę pracować.

Podszedł do fortepianu i już nie zwracał na mnie uwagi. Zatopił się w *swój* świat, w bezkreśnie wielki świat własnego geniuszu.

Grał — pamiętam — „Drugą Rapsodię" Liszta. Ale to nie była „Druga Rapsodia", ta, którą się słyszy na tylu koncertach i w tylu wykonaniach... To była *Druga Rapsodia Ignacego Paderewskiego*. Daleko potężniejsze, zupełnie *nowe* dzieło.

Siedziałam nieporuszona długo, długo... Zwisające z kanapy nogi zaczynały mię boleć, w głowie huczało mi, działy się ze mną dziwne rzeczy... A za żadne skarby świata nie śmiałabym się ruszyć z miejsca, tak jak za żadne skarby świata nie oddałabym wspomnienia tej godziny.

Minęło wiele lat. Bywałam często na koncertach. Kocham bardzo muzykę i mam

swoich ulubionych kompozytorów, do których nie zaliczam Liszta. Lecz po dziś dzień — słuchając *Drugiej Rapsodii* — muszę w pewnej chwili przymknąć powieki: widzę wówczas piękną głowę w obramowaniu złotych włosów i niezapomniane, promieniste oczy wpatrzone w światy, dla zwykłych śmiertelników niedostępne.

I słyszę, jak *on gra*.

C Z Ę Ś Ć D R U G A

LUDZIE, KTÓRZY GO OTACZALI

FIGLE I ZABAWY
LUDZIE, KTÓRZY GO OTACZALI
MARCEL
„COCO"
CIOCIA EMILKA
LAURENCE ALMA TADEMA

Figle i zabawy

Wielcy ludzie mają w sobie coś z dzieci. I jak dzieci — lubią w koło siebie wesołość. To jedna z cech bardzo charakterystycznych. Paderewski jako dusza na wskroś polska, a pod każdym względem niepospolita, posiada także zmysł humoru rozwinięty w wysokim stopniu. Czasem bywa to humor aż cokolwiek rubaszny, prawdziwie staropolski, sarmacki.

Gdy był w dobrym usposobieniu, promieniała z niego radość beztroska. Artysta, pracujący nad sobą ustawicznie, grający po osiem godzin dziennie między jedną a drugą „kampanią koncertową" — w czasie krótkich. kradzionych wypoczynków czuł się jak uczeń na wakacjach.

Toteż willa w Riond Bosson, zazwyczaj pełna gości w okresie wywczasów, rozbrzmiewała śmiechem, zaraźliwym jak grypa. Kto by się śmiać nie umiał, musiał zdobyć tę umiejętność, biorąc udział w obmyślanych *ad hoc*, niekiedy bardzo pomysłowych figlach.

Tradycja tych zabaw żyje w mojej rodzinie. Dla czytelników, którzy zawsze chętnie słuchają anegdot z życia sławnych osobistości, niejedna z opisanych scenek będzie może zupełną niespodzianką. Paderewski umiał i potrafił się bawić. Nic to nie ujmuje powagi genialnemu artyście, człowiekowi, o którym minister francuski Hanotaux napisał takie słowa:

„Polak ten będzie wobec historii jednym z najsławniejszych przedstawicieli nie tylko swego kraju, lecz swego wieku[1]).

Obfite akcesoria, potrzebne do urządzania wszelkiego rodzaju niewinnych psot, składały się głównie z instrumentów samogrających, z przeróżnej, bardzo urozmaiconej garderoby i — z manekinów. Te ostatnie grały zwykle ogromną rolę, były po prostu nieodzowne: nowoprzybyli goście, czyli tak zwani „dziwiący się", znajdywali je w łóżkach, w szafach i za drzwiami. Doświadczeni bywalcy, którzy już dawno zapłacili frycowe, zawsze przed snem zaglądali we wszystkie kąty, wiedząc, że niechybnie czeka na nich jakaś zasadzka w postaci groźnego bandyty z „papier maché" lub uroczej współlokatorki wypchanej trocinami... A gdy ktoś przypadkiem nie znalazł malowniczo upozowanej ku-

[1]) W przedmowie do książki Henryka Opieńskiego.

kły na podłodze albo we własnym łóżku — to z pewnością usiadł na śpiewającym krześle lub wylał do miednicy porcję złotych rybek ze dzbanka...

Zdarzały się instrumenty bardzo skomplikowane, zaopatrzone w samogrające pozytywki. Wystarczyło na przykład, by nieuświadomiony przybysz pociągnął za niewinny — pozornie — łańcuszek: efekt w postaci skocznego obertasa był zarówno niespodziewany, jak głośny. Denuncjował, że „miejsce odosobnienia" jest przez kogoś zajęte, i każdy z domowników, przechodzących w pobliżu „drzwi zamkniętych", uważał za swój obowiązek złożyć *okupantowi* życzenia... pomyślności.

Ulubioną grą towarzyską był „sekretarz", zwłaszcza sekretarz... rymowany. Jakie tam były rymy i jakie z nich tworzono kombinacje — rzecz prosta, przypadkowe — o tym lepiej nie rozwodzić się szczegółowo. Jeżeli przywiodłyby komu na myśl Kochanowskiego, to chyba jako twórcę „Fraszek"...

Za „cenzurowanego" były fanty, a za fanty płacono, czym kto mógł... Nie zawsze miedzią.

Oprócz gier towarzyskich największym powodzeniem cieszyło się urządzanie różnych „psikusów", które dzisiejsza młodzież

nazwałaby zapewne *kawałami*. De gustibus... i — tempora mutantur...

Pewnego razu przybyło do Riond Bosson młode małżeństwo. Świeżutko upieczona parka, bodaj że w podróży poślubnej. To dopiero była gratka nie lada! Toteż tajemnicze szepty i bieganina w całym domu zwiastowały poważniejsze przygotowania.

Wkrótce po wieczornej herbacie wszyscy zebrani jakoś nazbyt gorliwie namawiali nowoprzybyłych do udania się na spoczynek. Pożegnano „zdrożonych gości". Niebawem cisza zaległa cały dom, chociaż stłumione śmiechy i ostrożne kroki słychać było coraz bliżej gościnnego pokoju. Okazało się, że nowa instalacja działała bez zarzutu: przy pomocy lontu, przeprowadzonego pod drzwiami, zapłonęły wewnątrz komnaty nowożeńców piękne ognie bengalskie, po czym jęły trzaskać, jedna za drugą, tak zwane „żabki".

Młoda para w popłochu i w strojach mocno „wieczorowych" wybiegła na korytarz, ale okrzyki „pożar, pożar" zamarły jej na ustach wobec gorliwości, z jaką wszyscy mieszkańcy przybyli na ratunek, uzbrojeni w hydranty, polewaczki oraz inne przyrządy mające z akcją straży pożarnej bardzo mało wspólnego. Niewiele brakowało, aby po rzekomym pożarze nastąpił potop. Nie żałowano wody, skrapiając nią obficie znieruchomiałą z wrażenia młodą parę.

Naturalnie skończyło się na śmiechu ogólnym i na żartach, po czym rozbawione towarzystwo powróciło do salonu, aby pogawędzić jeszcze z godzinę...

*

Mojej ciotce Antoninie Szumowskiej, młodej uczennicy Paderewskiego, spłatano znów innego figla. Właśnie zamierzała rannym pociągiem wyjechać z Riond Bosson do Paryża. Pożegnalny wieczór przeciągnął się do późna. Ciocia Tolcia niespokojnie patrzyła na zegarek:

— Czuję, że jutro zaśpię i spóźnię się na dworzec! — oznajmiała mniej więcej co kwadrans i... rozmowa dalej toczyła się w najlepsze.

Wreszcie koło północy młodziutka pianistka zerwała się z miejsca przerażona:

— Teraz to już na pewno prześpię mój pociąg! Żadna siła nie wyciągnie mię z łóżka o świcie!

— Jeszcze, jeszcze kilka minut! Taki przyjemny wieczór! — protestowali zebrani.

Paderewski zaś mrugnął na służącego, szepnął mu coś do ucha, po czym dał uczennicy solenne zapewnienie, że kazał do pokoju wstawić budzik, który ją *na pewno rozczmycha*.

Że jednak wszystko ma swój koniec, więc i ten miły wieczór dobiegł kresu. Moja ciocia pożegnała się ze wszystkimi. Dopiero leżąc w łóżku poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Oczy jej się kleiły, zapomniała o Bożym świecie...

Zasnęła i spałaby jak kamień, lecz okazało się niebawem, że „budzik“ działa znakomicie: zdradził swoją obecność bardzo prędko: o pierwszej w nocy — i odtąd powtarzał alarm dokładnie co godzina.

Ciocia Tolcia z początku nie chciała wierzyć własnym uszom... Dziwny głos tego *zegarka* brała początkowo za majaczenie senne. gdy jednakże powtórzyło się ono po raz drugi i trzeci, postanowiła położyć kres halucynacjom.

Wyskoczyła z łóżka i rozpoczęła poszukiwania tajemniczego, krzykliwego *czasomierza...*

Okazało się, że był to najprawdziwszy. żywy kogut. Choć zamknięty w pokoju i w klatce, nie stracił wcale głowy — sumiennie odrabiał swoje poranne „kukuryku“ według zasad, przyjętych jak świat światem przez wszystkie szanujące się koguty.

*

Ulubioną zabawą były też amatorskie przedstawienia. Do każdej „premiery“ czyniono gorączkowe przygotowania, artyści zaś

dostawali ataków tremy, jak w prawdziwym teatrze.

Niektóre sztuki miały tak wielką ilość ról, że jeżeli od biedy starczyłoby aktorów, to stanowczo brakło już kandydatów na *publiczność.*

Pewnego razu utwór pochłonął tyle „materiału ludzkiego“, że widownia musiałaby z konieczności świecić pustką. Bodaj że na placu pozostali tylko: „monsieur Coco“, „Ciocia Emilka“ — no i ma się rozumieć, Paderewski, któremu tę właśnie niespodziankę przygotowywano na imieniny...

W dniu 31 lipca, gdy aktorzy przebierali się już za kulisami zaimprowizowanej sceny, ktoś wpadł i oznajmił głosem zdyszanym, że... widownia jest pełna! Co to — pełna! Jest po prostu *nabita!* Szpilki wetknąć nie można! Wszystkie miejsca zajęte, nawet w przejściach i pod ścianami tłok!

Zapanowało zrozumiałe tym razem podniecenie. Wieść w oka mgnieniu obiegła wszystkie „garderoby“. Wykonawcy ról głównych dostali naturalnie takiej tremy, że dzwonili zębami: istotnie przez szparę w kurtynie każdy mógł sprawdzić: sala była tym razem *przepełniona!*

Wreszcie na dany sygnał przedstawienie się rozpoczęło. Zgaszono resztę świateł na widowni. Rozsunięto kurtynę. Aktorzy

przez jakiś czas nie mogli opanować zdenerwowania... Mylili się w „kwestiach" i w sytuacjach. Plątali się w dialogach. Sufler ryczał zza kulis, jak gdyby wszyscy byli głusi.

Tylko publiczność zachowywała się taktownie. Słuchała w nieprzerwanym skupieniu, nieporuszona. Nikt ani nawet chrząknął...

Wreszcie widowisko dobiegło końca. Padły słowa ostatnie. Aktorzy stojąc czekali na wyrazy uznania. Ktoś szamotał się bez powodzenia z kurtyną, która jak na złość w czasie tak martwej ciszy nie chciała się zasunąć!

Tylko Paderewski bił brawo z całych sił oraz jeszcze parę osób w krzesłach zaczęło również klaskać. Reszta widzów siedziała obojętnie, zapatrzona przed siebie, tajemnicza, nieodgadnięta: strojne panie w balowych toaletach, zamaszyści wojskowi, eleganci we frakach... cały ten tłum okazał się *dosłownie* gromadą lalek!

Tym razem nie goście w Riond Bosson, ale mistrz przygotował niespodziankę. Spłatał nią aktorom tęgiego figla: poznali gorycz premierowej „klapy", gorzej, bo lekceważącego milczenia ze strony tłumów, od których spodziewali się entuzjazmu.

Paderewski długo śmiał się, gdy oglądano lale pousadzane w krzesłach:

— A co? A co? Chcieliście mieć publiczność? Postarałem się o nią...

Jakim sposobem zgromadził w ciągu paru godzin tak wielką liczbę manekinów, to już była jego osobista, niewyjaśniona tajemnica. Dość że były i wytrzeszczały szklane oczy — nie rozumiejąc, czemu ci wszyscy ludzie tak serdecznie się śmieją.

Ludzie, którzy go otaczali

Wśród niezliczonych tłumów, odwiedzających willę Paderewskiego w Szwajcarii, olbrzymią większość stanowili zawsze artyści. A więc — rzeźbiarze, malarze, literaci, no i rzecz prosta — muzycy. Przede wszystkim muzycy.

Gościnne bramy Riond Bosson były zawsze otwarte szeroko. Przewinęły się tam długim korowodem nazwiska światowych sław obok nieznanych nikomu. kształcących się dopiero przyszłych artystów, którym Paderewski pomagał zawsze i wszechstronnie. Ten niezwykły człowiek ma serce równie wielkie jak talent. Przygarniał więc do serca we wszystkich okresach swego życia całe plejady „młodych i obiecujących", z których niejeden zawdzięcza mu nie tylko to, co umie. ale i to, że dzięki hojnym zapomogom pieniężnym mógł bez uszczerbku dla sił i zdrowia przygotować się do artystycznej kariery.

Pierwszeństwo mieli zawsze rodacy. Wystarczyło, że dowiedział się przypadkowo o jakimś młodym, zdolnym Polaku, walczącym na obczyźnie z niedostatkiem, często ze skrajną nędzą... Dawać go tu! Zapraszał do siebie, odkarmił, odchuchał, wziął „na spytki“, w serdecznych, przyjacielskich słowach wybadał do dna duszy — i nagle okazywało się, że nikt inny, tylko taki młody „...ski“ lub „...icz“ jest właśnie jak stworzony do wykonania tej i tej pracy, że ma przed sobą cel konkretny, ważne zadanie do spełnienia i że on jeden potrafi mu sprostać, oczywiście!

Byłoby rzeczą bezcelową i niedyskretną przytaczać długą listę tych, którzy Paderewskiemu zawdzięczają bardzo wiele lub wszystko. Część rozproszyła się po świecie lub już nie żyje, wielu cieszy się sławą rosnącą, a niejeden wdzięcznym sercem pamięta, z jakiej otchłani rozpaczy został „wyciągnięty za uszy“ i postawiony na nogi, aby służył Ojczyźnie w kraju lub też rozsławiał imię polskie za granicą.

Nie pomoc materialna jednak, lecz sposób, w jaki mistrz umie odnieść się do człowieka, umocnić jego wiarę we własne siły i zdolności — był przyczyną, że Paderewski miał i ma zawsze tylu oddanych sobie na śmierć i życie przyjaciół, że tyle serc przepełnił wdzięcznością bezgraniczną. Wystarczy

spotkać któregoś z jego uczniów i zacząć rozmowę na ten temat, aby stwierdzić, jaki entuzjazm, podziw i przywiązanie bije z każdego słowa.

— Gdyby Paderewski zażądał absurdu — oświadczył mi kiedyś jeden taki „młody obiecujący“, dziś już znany i ceniony w Europie pianista — gdyby kazał mi na przykład skoczyć z szóstego piętra, to bym skoczył.

Niezrównany wdzięk, niewymuszona serdeczność w obcowaniu z kimś ledwo poznanym, szlachetna prostota w mowie, w gestach, w uczuciowych odruchach i dobroć, przede wszystkim *dobroć* — oto główne czynniki, dla których Paderewski jest nie tylko uwielbiany jako artysta, ale kochany jako jednostka zupełnie wyjątkowa przez ludzi wszystkich kultur i ras, przez wszystkich, którzy mieli możność zetknąć się z nim i poznać bliżej jego prawdziwie wielkie serce.

Rzecz oczywista, iż postacie charakterystyczne i typowe dla Riond Bosson w okresie, objętym przez ten „szkicownik“, stanowiły tylko nikłą cząstkę domowników, krewnych oraz przyjaciół. Opisuję sceny oglądane własnymi oczami lub narysowane mi plastycznie przez ludzi pamiętających *stare czasy*. Wszystkie osoby, którym poświęcam osobne rozdziały niniejszych wspomnień, były mi znane osobiście.

Kiedy tak myślami wybiegam w przeszłość, aby z niej wyłowić te zwłaszcza twarze, które już tylko *pamięć* zdolna jest na chwilę ożywić, kiedy zaczynam pisać o *Marcelu*, nasuwa się pod pióro drobne, lecz wiele znaczące spostrzeżenie.

Pomimo nerwowej, często gorączkowej atmosfery, jaką musi wytwarzać w koło siebie tryb życia wielkiego artysty, pomimo przyjazdów, wyjazdów, mnóstwa gości, przyjęć urządzanych często „ad hoc" na kilkadziesiąt osób, pomimo związanego z tym rozgardiaszu, niedosypiania po nocach itd. — służba w Riond Bosson trzymała się długo i z żalem opuszczała ten dom...

Podobno najtrafniejsze sądy o zaletach i wadach „państwa" mają ci, co ich życie znają od podszewki, od kulis — a więc służba domowa. Jeśli tak jest, to Paderewski otrzymałby same chlubne „świadectwa". Kochali go i szanowali, służyli gorliwie i chętnie, a nie wszyscy czynili to jedynie dla chleba.

Marcel

Dom Paderewskich w Szwajcarii, taki, jakim go widzę po dziś dzień, przymknąwszy oczy, miał coś z królewskiego dworu. Przynajmniej my, dzieciarnia, takeśmy sobie królewski dwór wyobrażały.

I może fantastyczne nasze pojęcia nie odbiegały zbyt daleko od prawdy. *Królem* był Paderewski, niewątpliwie prawdziwym królem, wcale nie z bajki. Królową — ciocia Helenka. A najbliższe, zawsze tak liczne otoczenie, to byli ich *dworzanie*. Naturalnie, bardzo różne piastowali urzędy...

„Fraucymer" składał się z garderobianej Anny i z dam dworu. Figurowały między nimi różne dalsze i bliższe kuzynki, no i rzecz oczywista — dzieci. Najmłodszym „damom", a więc Dzidce i mnie przysługiwał przywilej asystowania przy rannej toalecie cioci. W jedwabnym szlafroczku japońskim wyglądała jak prawdziwa królowa, taka była piękna z falą kruczych włosów spadających na ramiona i plecy. Miała cudowne oczy koloru wody morskiej, czasem z lekko stalowym odcieniem, jak morze w dzień burzliwy — i słodkim, śpiewnym tonem wydawała nam polecenia:

— Wandziu, podaj mi grzebień... Dziduś, potrzymaj chwilę ten flakonik...

Albo znowu mówiła:

— Dziecinki, idźcie zapytać Anny, czy kąpiel już gotowa?

Biegłyśmy na poszukiwania panny służącej — i zwykle jakoś po drodze udało nam się spotkać Marcela. W zielonym fartuchu, przywdziewanym co rano do sprzątania, we-

sół i uśmiechnięty, porządkował rzeczy „de monsieur Paderewski“...

Kochałyśmy serdecznie Marcela. Kto by mógł nie kochać Marcela? Kochał go przecież sam mistrz, tak jak się kocha najlepszych, najwierniejszych przyjaciół.

Marcel nie był właściwie *służącym*. Kiedyś miał w tym domu inne zajęcie: pielęgnował chorego chłopca, który odszedł przedwcześnie, w rozkwicie wieku młodzieńczego, zostawiając po sobie nigdy nieutulony żal.

Przez pamięć dla syna jedynaka Paderewski nie mógłby się rozstać z Marcelem. Pielęgniarz okazywał choremu prócz troskliwości wiele przywiązania, wiele serca — a za to przecież nie był płatny osobno... I Marcel nie chciał odejść z domu, w którym pielęgniarz stał się już niepotrzebny...

Otrzymałby hojne wynagrodzenie, miałby spokojne życie i byt zabezpieczony, ale Marcel przywiązał się nie tylko do zmarłego pupila. Pokochał jego ojca, jak ci wszyscy, którzy znali Paderewskiego nie tylko z sali koncertowej i z bankietów wyprawianych na jego cześć, ale tak, zwyczajnie, *na codzień*.

I Marcel został z własnej, nieprzymuszonej woli jako „służący do szczególnych poruczeń mistrza“. Towarzyszył mu stale przez długie, długie lata w artystycznych „tournées“ po wszystkich kontynentach, zawsze

czujny, zawsze wierny, zawsze nieodstępny i niezbędny.

Jakże dobrze pamiętam uczciwą twarz, bystre spojrzenie czarnych oczu, czarną czuprynę i „gęsty“ głos Marcela! Pochodził, o ile mię pamięć nie myli, z Prowansji. Miał zresztą typowy akcent południowca, twardy i dzwoniący. Zwłaszcza bardzo wyraźnie wymawiał głoskę „r“. Nie *grasejował*, jak bony-paryżanki, ale toczył bez końca swoje dudniące „rrrr“, niby ciężki, podkuty wóz po bruku.

Kiedyś to mię po prostu uderzyło. Spytałam, czy nie spotkał w ogrodzie mojej siostry? Owszem, widział ją. I śmiejąc się, aż mu błyskały białe zęby, objaśnił:

— Prrrés du grrrrand marrrronier, mademoiselle![1])

Przepadałyśmy za Marcelem, on zaś nadzwyczaj lubił dzieci. Kiedyśmy go spotkały w hallu, zawsze miał na podorędziu jakiś żarcik wypowiedziany okrutnie „grrroźnym“ tonem. Zawsze miał w zapasie jakąś „grrrande nouvelle“, że to a to się stało. I zawsze był pogodnie uśmiechnięty, w mowie trochę rubaszny, a w głębi duszy tkliwy i gołębiego serca.

Raz jeden tylko dostrzegłam wyraz wielkiego smutku na tym jowialnym, wyrazistym

[1]) Koło dużego kasztana, panienko!

obliczu. Było to w jadalni. Marcel nakrywał do stołu, a dzieci, jak zwykle dzieci: wszędzie ich pełno, wszystko muszą zobaczyć, o wszystko spytać.

Otóż zauważyłam już poprzednio, że jeden z węższych boków stołu zawsze był nie nakryty. O ile do obiadu zasiadało liczniejsze grono, ścieśniano krzesła, gęściej rozstawiano talerze, lecz to miejsce, nietknięte, świeciło zawsze pustką.

Skorzystałam więc ze sposobności, aby zapytać:

— Dlaczego pan Marcel tutaj nie kładzie nakrycia? Tak byłoby przecież wygodniej...

Spojrzał na mnie. Twarz jego spoważniała. Jakby słońce pogodnej duszy zaszło za chmurę. Pokręcił głową przecząco. I nagle objaśnił głosem, zmienionym ze wzruszenia: „Nie można. Czy *mademoiselle* rozumie? Nie można. To było *jego* miejsce... Nikt go nie może zająć... Tu siedział *chory*, póki jeszcze mógł siadywać przy stole..."

W oczach zalśniło coś... Pochylił się nade mną i powtórzył jeszcze raz, szeptem, oglądając się jakby w obawie, że ktoś inny może usłyszeć:

— Oui, c'est la place de monsieur Fred...[1])

[1]) Tak, to jest miejsce pana Freda...

Urzędowanie przy codziennych posiłkach było tylko jednym z nader licznych obowiązków Marcela. Poza tym miał mnóstwo innych zajęć. Pakował i rozpakowywał walizki swego pana, pilnował, żeby nie zabrakło bielizny, żeby była na czas i taka, jak lubi „monsieur". Rankami, jeżeli to było w podróży, czuwał jak cerber przy drzwiach, aby jakiś intruz nie przerwał znużonemu mistrzowi odpoczynku. W Riond Bosson grywał razem ze swoim panem w bilard, a wieczorami...

Tak, wieczorami, gdy się zdarzyło, że Paderewski mógł spędzić kilka godzin w ścisłym kółku, bez oficjalnych gości, Marcel przygotowywał po kolacji stolik do kart.

Czasem brakło czwartego partnera. Wówczas na żądanie mistrza zasiadał do gry.

Ale przedtem musiał zawsze dopełnić niezbędnej ceremonii: znikał na chwilę, aby przypasać fartuch i przynieść sobie proste, drewniane krzesło, które zabierał ze sobą, zmieniając miejsce po skończonym robrze.

Nikt tego nie żądał — on sam pragnął zaznaczyć w tak oryginalny sposób, *kim jest*, na wypadek, gdyby ktoś obcy wszedł niespodzianie do salonu.

Z mieszaniną godności i szacunku licytował, kontrował, podnosił grę, przegrywał i płacił. Grzecznie, ale otwarcie zwracał partnerowi uwagę na nieszczególne „wyjście".

Fartuch zaznaczał niejako urzędowo jego *stan cywilny* w tym domu. Dzięki fartuchowi czuł się swobodnie i mógł być tym, kim był w istocie: *przyjacielem*.

Po wielu, wielu latach wiernej służby osiadł we własnym domku, w pobliżu Riond Bosson. Miał już w sobie zarodki straszliwej choroby, która go wkrótce powaliła: rak rozwijał się szybko, czynił zatrważające spustoszenia w silnym organizmie Marcela.

Paderewski był wówczas w Ameryce. Koncertował tam bodaj po raz pierwszy po wojnie. A Marcel tymczasem umierał. Umierał — lecz walczył do ostatka. Wiedział o terminie powrotu mistrza. Ostatnie dwa tygodnie przeżył, wbrew opinii lekarzy, *nad program*... Czekał.

I doczekał — choć jednak *nie doczekał*...

Umarł dopiero po powrocie swojego pana. Paderewskiemu znużonemu długą podróżą powiedziano wieczorem, że Marcel jeszcze żyje. Nazajutrz rano umarł — już nie zdążył mistrza zobaczyć.

*

Jednakże, gdy myślę o Marcelu, widzę go zawsze w służbistej postawie, z płaszczem i białym szalem, przewieszonym przez rękę. Wyprostowany, barczysty, poważny — czeka u jakichś drzwi, by w odpowiedniej chwili

wysunąć się o krok, podać mistrzowi okrycie i z troskliwością piastunki poprawić mu na szyi szalik. Aby się jego ukochany „Monsieur" przypadkiem nie przeziębił...

„Coco"

Drugą niezapomnianą postacią, wrysowaną niezatarcie w tło Riond Bosson sprzed lat z górą trzydziestu, drugim Francuzem, zasiedziałym od dawna i zaliczonym bezsprzecznie do najściślejszego grona domowników — był pan Chévrier.

Sylwetka tak charakterystyczna, tak *stylowa*, że kto go raz zobaczył, nie zdołałby zapomnieć. Malutki, drobnokościsty staruszek, siwiuteńki, z napoleońską bródką. Żywcem wycięty z epoki drugiego cesarstwa i doskonale zakonserwowany okaz typowego francuskiego „bourgeois".

Mówił bardzo niewiele, cichym głosikiem, snuł się po domu prawie niepostrzeżenie. Można go było czasem spotkać w ogrodzie: wolniutko, coraz mniej pewnym krokiem odbywał tam codzienną przechadzkę. Pozdrowiony, kłaniał się ze staroświecką galanterią. Poczciwe oczy patrzyły życzliwie spod starczych, opadniętych i pomarszczonych powiek, biała bródka chwiała się zabawnie, gdy poruszał ustami...

Nie wszyscy wiedzieli nawet, że pan Chévrier tak się właśnie nazywa. Znany był, kochany i szanowany pod przezwiskiem „Coco". Po polsku — Koko. Po prostu, najzwyczajniej: Koko.

Kto go tak ochrzcił? Kiedy? Nie śmiem twierdzić na pewno. Przypuszczam jednak, że sam mistrz w przystępie dobrego humoru powiedział kiedyś żartobliwie: „Mon vieux coco" albo coś w tym rodzaju. I już tak pozostało. Wszyscy, nie wyłączając staruszka, dawno się do tego przyzwyczaili. Nawet służba mówiła o nim bez cienia impertynencji w głosie: „Monsieur Coco".

Nie to jest ważne zresztą, skąd się wzięło przezwisko, ale skąd się wziął jego właściciel. Jak dawno mieszkał w Riond Bosson i jakie tam stanowisko piastował? Jak dawno? Ho, ho! Chyba że bardzo, bardzo dawno... A czym się trudnił? Pod koniec życia był tylko emerytem. Nie rezydentem, chociaż go tak nazywali niektórzy. Musiał być kiedyś rzutkim, przedsiębiorczym człowiekiem, nim został zdziecinniałym starowinką, cząstką ruchomą inwentarza osobliwości w domu mistrza. Zajmował pokoik na drugim piętrze w pobliżu pokoju takiej samej, jak on, zasuszonej i cichej staruszeczki, pani Jaszowskiej.

„Coco" za *moich* czasów sprawował tylko jeden obowiązek i to z własnej, nieprzymuszonej woli... Nauczono go kiedyś po polsku kilku zdań, których nawet w całości nie podobna powtórzyć. Nie rozumiał ich treści. Wymawiał je swoiście, z uroczym akcentem wykwintnego paryżanina; zaczynało się, pamiętam, od słów: „Czi pana swęzi?"...

Wypowiedział kiedyś wszystko publicznie, w dobrej wierze. Wycyzelował uroczyście: „...bo jeżeli swęzi, to posmarrruj mjodém, a ja *obligé*..." (ostatnie słowo brzmiało już całkowicie po francusku, z akcentem na ostatniej sylabie!) Propozycja wywołała w gronie zebranych gości, Polaków, piorunujący efekt: jeden wielki, niepohamowany, chóralny wybuch śmiechu...

Odtąd staruszek z niezmąconą pogodą popisywał się swoją „polszczyzną" w gronie rodaków mistrza, wiedząc, że jego ukochany „Monsieur Paderewski" znowu się będzie śmiał, śmiał aż do łez, klaszcząc w ręce jak dziecko!

Z czasem zacny pan Chévrier nauczył się genialnie odegrywać niewinną komedię, gdyż dawno wyjaśniono mu najdosłowniej znaczenie tej jego popisowej „deklamacji". Ale udawał w dalszym ciągu zupełną nieświadomość i dziwił się, ogromnie się dziwił, gdy rozbawieni goście aż płakali ze śmiechu... I może w głębi serca czuł się dumny, że on, stary i niedołężny „rezydent", zdołał wywo-

łać swawolny, beztroski uśmiech na tej kochanej twarzy, tak często zamyślonej i bladej ze znużenia...

Bo „monsieur Coco“ całym sercem kochał Paderewskiego — i Paderewski całym sercem kochał zacnego pana Chévrier, swego wydawcę i *pierwszego* swojego „impresario“.

Ciocia Emilka

Gdyby mi kto kazał odmalować słowami portret „cioci Emilki“ (naturalnie mówiłam do niej „babciu“) — byłabym w nie lada kłopocie, choć ją przecież *doskonale* pamiętam, tak jak Marcela i pana Chévrier.

Ale spostrzegawczość dziecka przechadza się własnymi ścieżkami. Często jakiś drobny, nic nie znaczący szczegół wyrasta do rozmiarów niezapomnianego „przeżycia“; często wymyka się badawczym oczom dziesięcioletniej obserwatorki rzecz daleko ważniejsza, niż „fanszonik“ z czarnej koronki, upięty modą staroświecką na siwych włosach — albo niż kieszeń skórzana wszyta w fałdy czarnej, nieco zrudziałej sukni.

Kim była, co mówiła, co myślała drobna i nikła staruszeczka mieszkająca naówczas w Riond Bosson — to było dla mnie sprawą zupełnie obojętną. Natomiast obie z Dzidką zrobiłyśmy pewnego dnia odkrycie, że siedząca przy stole „babcia Emilka“ je wprawdzie bardzo mało, ale za to raz po raz jej prawa ręka znika pod stołem z kromką białego chleba lub skrzydełkiem kurczęcia i coś tam długo, pracowicie manipuluje.

Nie zaznałam odtąd chwili spokoju, dopóki nie udało mi się wyśledzić, gdzie znikają resztki jedzenia i dla kogo są przeznaczone.

Staruszka zwykle pozostawała w jadalni tylko tak długo, by jej wyjście nie zwróciło ogólnej uwagi. Wymykała się przez najbliższe drzwi, a wraz z nią znikał „prowiant“ gromadzony ukradkiem.

Wreszcie pewnego popołudnia, zupełnie zresztą przypadkowo, „tajemnica“ została wyjaśniona: wałęsałam się w pobliżu domu i tuż koło bramy wjazdowej usłyszałam skamlanie, a zaraz potem cichy, znajomy głos.

Wysunęłam się cokolwiek za bramę. O kilka kroków dalej droga biegła w dół, ku miasteczku[1]). Na skraju drogi, na skrawku zieleni, siedział jakiś okropnie wynędzniały pies. Pojękiwał żałośnie, a jednocześnie merdał zawiniętym w obarzanek ogonem. Przy nim stała „ciocia Emilka“. Jedną ręką podtrzymywała fałdy sukni, a drugą dobywała

[1]) Morges.

z kieszeni kawałki chleba, kości, jakieś suche skórki od sera i podając je psu, mówiła:

— Czekaj, czekaj, piesku! Powoli... Przecież i tak wszystko dostaniesz... A na ostatek mam dla ciebie przysmak, o jakim pewno nie marzyłeś... Ale nie piszcz, bo przyjdą tamci i wszystko ci zabiorą...

Jeszcze raz zagłębiła rękę w kieszeni. Wyciągnęła tym razem kotlet z drobiu! Takie kotlety mieliśmy tego dnia na obiad... Zgłodniałe zwierzę klapnęło tylko paszczą...

W tej chwili poruszyłam się. Pies podniósł uszy i zawarczał. „Ciocia Emilka" odwróciła głowę. Uśmiechnęła się:

— Nic, nic, to tylko Wandzia. Odejdź, piesku, bo już nic więcej nie mam. Jeżeli przyjdziesz jutro, znów coś dostaniesz. Ale uważaj i broń Boże nie wchodź za bramę... Tam są *nasze psy*. Zresztą i tak wypędzonoby cię, biedaku...

Nie dziwiło mnie wcale, że staruszka rozmawia z psem jak z równym sobie. Ani to, że przybłęda powlókł się brzegiem drogi w dół, jakby doskonale zrozumiał napomnienie. Spytałam:

— *Babcia* karmi obce psy kotletami?

Spojrzała na mnie niespokojnie:

— To był *mój* kotlet... Nie miałam apetytu... A ten psiak chyba z tydzień nic nie jadł... Ale nie mów, że widziałaś, jak go karmiłam, boby się ze mnie śmieli... Nie wszyscy rozumieją, że *obcy pies* to przecież także *człowiek*... A tyle się tego jedzenia marnuje! Ot, widzisz: sprawiłam sobie skórzaną kieszeń, żeby nie plamić sukni. Sama ją wszyłam. Przechowuję tu resztki, niepotrzebne nikomu... „Manon" kręci nosem nawet na smakołyki, a ten, sama widziałaś, skóra i kości... Polubiłam go za to, że rozumie po polsku. Mówię do niego „Filuś".

Słowa „cioci Emilki" przyjęłam jako zupełnie naturalne zwierzenie. Między ludźmi bardzo starymi a dziećmi nić porozumienia zawiązuje się łatwo. Wystąpiłam dobrowolnie z inicjatywą, że ja także zacznę zbierać odpadki, by powiększyć spiżarnię dla ubogich psów z okolicy.

Wspólna tajemnica umocniła naszą wzajemną sympatię. Wkrótce potem, usłyszawszy pewnego ranka straszliwe wrzaski papuzie dochodzące z górnych rejonów domu, wbiegłam na drugie piętro i bez wahania otworzyłam drzwi pokoju „cioci Emilki".

Jak dziś mam w oczach ten obrazek: olbrzymia, biała kakadu w klatce, zdenerwowana, z rozczapirzonymi skrzydłami, a obok szczupła staruszeczka cichym, łagodnym głosem perswaduje histeryczce-papudze:

— Koki! Ach, Koki!... Przecież ci już mówiłam, że on tego *nie cierpi*... *On* jest teraz u siebie...

On — to znaczy Ignacy Paderewski.

— Jeżeli nie przestaniesz krzyczeć, muszę znów zakryć klatkę chustką... Rozumiesz? *Muszę*. Wiem, jak tego nie lubisz, ale nie mam już żadnego sposobu... Przestań krzyczeć, najdroższa, bo już nawet tutaj nie będziesz mogła mieszkać, wyrzucą cię, jeżeli się nie uspokoisz...

Może moje wejście, a może błagalny ton staruszki to sprawił, dość że Koki uspokoiła się nareszcie i *tym razem* groźba eksmisji została zażegnana.

To, że „ciocia Emilka" rozmawia z psami i z ptakami, było rzeczą zupełnie zrozumiałą dla dziecka. Sama przecież kiedyś, będąc z mamą w Sopotach (miałam wówczas dwa lata!), czułam się widocznie obco i źle wśród cudzoziemców, gdyż pewnego razu przybiegłam rozjaśniona, obwieszczając radośnie: „Mamo! kogut pieje *po polsku!*"

Zdarzył się natomiast fakt pewien, który wstrząsnął całą moją psychiką. Oto łażąc kiedyś po parku w Riond Bosson — trafiłam na *psi cmentarz*. Z początku nie chciałam wierzyć własnym oczom, ale widok grobów z płytami, na których wyryto nawet psie

imiona, nie był halucynacją. Nie była też halucynacją drobniutka, czarno ubrana postać z chustką przy oczach, siedząca na ławeczce, na wprost jednej takiej mogiły... To nie zjawa, ale „ciocia Emilka" siedziała nieruchomo i płakała, rzeczywiście — *płakała!* Duże, kropliste łzy płynęły wolno po zwiotczałych, bezkrwistych policzkach. Nie mogłam oderwać od niej oczu, ale nie mogłam też zdobyć się na pytanie: „Dlaczego babcia płacze?"

Podeszłam cicho i przysiadłam na skraju ławeczki. Po chwili — nawet po dłuższej chwili — staruszka wytarła chustką powieki, lekko zaczerwienione od łez.

— Tu leży... — powiedziała cicho.

Nie pamiętam imienia tego psa. Dowiedziałam się, że to był jej *najlepszy przyjaciel*.

— Ty tego nie zrozumiesz, Wandziu. Może nikt nie zrozumie... Ale kiedy człowiek jest *bardzo* stary, czuje się niekiedy taki samotny... Widzisz, z tamtego pokolenia, do którego należę, wszyscy poodchodzili. Czasem chciałoby się chociaż pogawędzić o dawnych latach i o ludziach... Ale nie wszyscy mają czas, żeby wysłuchać... A temu — skinęła dłonią w stronę kamiennej płyty — nie znudziło się nigdy... Rozmawiałam z nim jak

z człowiekiem. Patrzył mi w oczy i... myślę, że coś niecoś rozumiał. Więc teraz... gdy mi jakoś smutno, przychodzę tu czasami...

Taki był świat „cioci Emilki".

A ona? Niewesołe musiało być jej życie. Zawsze na obczyźnie, od dziecka. Nazywała się Emilia Jaszowska — po mężu. Jej ojciec, baron Rosen, był ministrem rosyjskim... Matką — rodowita Polka, katoliczka i patriotka, Rucińska. Rodzony zaś brat cioci Emilki był ojcem Helci... Tej samej Helci, którą wychowała po polsku babka-Polka, którą kiedyś, później poślubił Paderewski i która „ciocię Emilkę", swoją rodzoną ciotkę, sprowadziła do Szwajcarii, do siebie.

Ciocia Jaszowska urodziła się i długo mieszkała w Petersburgu.

Tam właśnie, w Petersburgu, przed wielu, wielu laty — niewiarogodnie dawno — kochał się w niej pewien poeta, nazwiskiem *Tomasz Zan*.

Opowiadano mi to znacznie później, kiedy „ciocia Emilka" nie snuła się po Riond Bosson w sukni ze skórzaną kieszenią, bo już dawno zamknęła oczy.

Wówczas, na „psim cmentarzu", nie zawierzyła dziesięcioletniej Wandzi tajników samotnego i znużonego serca, lecz opowie-

działa dziecku o czworonogim przyjacielu, który był jej *prawdziwym i jedynym*, być może, powiernikiem.

Laurence Alma Tadema

„Droga pani Julcio!

Proszę uderzyć męża swego pięścią, długo, mocno, bezlitośnie. Szpetny ten kłamca pisał mi, że pani jest w Pouldu[1]). *Posłałam do Pouldu pakietu. Było w pakietu suknie płótnowe i sun-bonnet*[2]) *dla Wandy..."*

Oto dosłownie przepisany początek listu, który pewnego ranka wręczyła mojej mamie Anna, Bretonka, zgodzona do posługi na całe lato 1911 roku, któreśmy spędzali w Beg Meil[3]).

Dalszy ciąg długiej epistoły pisany był już po francusku i zawierał mnóstwo szczegółów dotyczących — jak zawsze — Paderewskich. Osobliwy i barwny styl nie budził wątpliwości, kto był autorem listu. Usłyszawszy dwa początkowe zdania, uroczyście przez mamę odczytane, klasnęłyśmy w ręce obie z Dzidką, wołając: — Alma Tadema! Laurence Alma Tadema!

Tatuś, mimowolny sprawca opóźnienia „pakietu", był już razem z nami w Beg Meil,

[1]) Miejscowość nadmorska w Bretanii.

[2]) Angielska nazwa czepca z szerokimi skrzydłami, ochraniającego od słońca.

[3]) Miejscowość w Bretanii, nad zatoką Concarnaux.

dokąd istotnie przeniosłyśmy się na samym początku wakacyj. Nie został jednak „uderzony pięścią długo, mocno, bezlitośnie". choćby z tej przyczyny, że cenne dary się znalazły. Przekazano je z Pouldu parę dni temu i olbrzymi czepiec batystowy w niebieski „rzucik" tkwił już na mojej głowie, wprawdzie jedynie od parady. Nie potrzebowałam jeszcze obawiać się słońca. Tylko dorosłym kobietom opalenizna była surowo zakazana, jako szkodliwa dla cery, bo *niemodna*.

Każdy list Laurencji Alma Tademy witany był przez nas radośnie — nie tylko z tego powodu, że polszczyzna jej obfitowała w zwroty patetyczno-humorystyczne, a zgoła nieoczekiwane. Listy jej były takie właśnie, jak ona sama. Nic zdawkowego — żadnego silenia się na jakąkolwiek „pozę". Zewnętrzną formą odpowiadały też zewnętrznej sylwetce autorki.

Ojcem Laurencji był znany i bardzo w dziewiętnastym wieku popularny malarz angielski. Odpowiednikiem jego talentu i stylu byłby nasz Siemiradzki. Ten sam koloryt — i charakterystyczne plamy słońca przesianego przez liście — postacie pięknych kobiet w szatach antycznych widniały na obrazach Lawrensa Alma Tademy.

Coś z tych postaci miała także jego rodzona córka. Nie widziałam, aby kiedykol-

wiek była ubrana modnie, choć umiała i lubiła nosić piękne suknie. Jakieś turbany, jakieś zawoje z przejrzystego jedwabiu okalały twarz o wyrazistych rysach i najwspanialszych, jakie widziałam, czarnych, wymownych oczach. Połyskliwy, mięsisty jedwab drapował się i spływał klasycznymi liniami wzdłuż wyniosłej sylwetki, przypominając rzeźby greckie. Laurence Alma Tadema nie była może piękna w pospolitym znaczeniu tego wyrazu. Była jednak więcej niż piękna: wprost wspaniała w każdym ruchu i geście, w każdym wypowiadanym słowie. Gdy odczytywała mojej mamie własne utwory (pamiętam jak przez mgłę jeden dramat, nieco maeterlinkowski w stylu), lubiłam siedzieć u jej stóp na niskim podnóżku i wsłuchiwać się w metaliczny, głęboki ton jej głosu. Język angielski był mi wówczas zupełnie obcy, ale wyławiałam z niego pojedyncze wyrazy i upajałam się ich brzmieniem. Tadema powtarzała raz po raz „The wanderer — the widow"..., co oznaczało najzwyczajniej role osób biorących udział w akcji, ale dla mnie było jakimś poetyckim refrenem. Wrażenie musiało być silne i niezatarte, skoro po dzień dzisiejszy angielski „wędrowiec" i angielska „wdowa" skojarzyli się nierozłącznie ze wspomnieniem Alma Tademy...

Jakeśmy ją poznali? Naturalnie przez Paderewskich. Była jedną z tych licznych istot, które niewysłowiony urok Paderewskiego porwał i pochłonął, tak jak porywa i pochłania nadwodne liście i gałązki — rwący potok z gór... Subtelną, wrażliwą duszę poetki oczarował ten wielki Polak nie tylko potęgą swej gry, lecz czarem osobistym i siłą ducha przejawiającą się w jego mowie i czynach.

Laurence Alma Tadema stała się jedną więcej istotą w orszaku wielbicieli mistrza. Odwiedzała często Riond Bosson, należała też nieraz do „dworu", którym Paderewski, jak prawdziwy monarcha, był otoczony w artystycznych wędrówkach. Podczas jednej z takich podróży zawadziła o Polskę i... została w Warszawie na długo: mieszkała cały rok u moich Rodziców.

Tadema opowiadała nam nieraz, że do Polski od dzieciństwa czuła dziwny sentyment. Że poznała i odczuła głęboko tragiczne dzieje narodu. Że sprawy polskie zawsze były bliskie jej sercu. Ale ów dziecięcy sentyment dla Polaków ugruntował się i rozrósł pod wpływem rozmów z Paderewskim, który z osobistych swoich, niezliczonych przyjaciół za granicą tworzył kadry emisariuszy, walczących słowem i piórem o krzywdę, wyrządzoną Polsce. Wielkie dzieło Ignacego Paderewskiego nie powstało nagle, wraz z traktatem

wersalskim. On je nosił w sercu i przygotowywał długo przed wojną, a z tryumfalnego marszu swego przez wszystkie kraje Europy i Ameryki tworzył najlepszą propagandę Polski wśród możnych tego świata.

Laurence Alma Tadema miała też swój odcinek na froncie walki o niepodległą Polskę. Była przecież kobietą wykształconą i utalentowaną. Spędziła w Warszawie długi okres czasu, zapoznając się z mową polską, z naszą literaturą. Warto tu zaznaczyć, że jak „Latarnik" Sienkiewicza miała styl zatrącający biblijnymi zwrotami, gdyż jej ulubioną lekturą była ta właśnie księga w pięknym przekładzie ks. Wujka.

Gdy podziwiano jej wytrwałość w opanowywaniu wcale niełatwej dla cudzoziemca mowy, odpowiadała z pogodnym uśmiechem, ale najzupełniej poważnie:

— Mój ojciec był Fryzem. Matka — Francuzką. Wychowałam się w Anglii... Mam więc prawo wybrać sobie ojczyznę i dlatego wybieram — Polskę.

W Polsce też wybrała sobie i religię. Wychowana w epoce racjonalizmu, bez żadnych zasad wiary, nieochrzczona nawet dotychczas — przywarła do katolicyzmu całą mocą żarliwej duszy. Po sumiennych przygotowa-

niach przyjęła sakrament Chrztu św. w Warszawie. Chrzestną jej matką była p. Maria Sobańska.

Pobyt Alma Tademy w naszym domu rozniecił we mnie przeświadczenie, które żywię dotychczas: że to była piękna i niepospolita natura, a przy tym dziwnie prosta, powiedziałabym *swojska* dusza. Byłam dzieckiem, ale nie traktowała mię jak dziecko. Potrafiła rozmawiać ze mną tak poważnie, jak z osobą dorosłą, o wielu zagadnieniach, które wówczas były jeszcze dla mnie puszczą dziewiczą. Wyrąbywała w tej gęstwinie takie ścieżki, które poznawałam po wielu latach, kiedy życie mnie z kolei uczyło różnych swoich kanonów.

Odnalazłam w archiwach miłych, drogich sercu pamiątek jeden z listów, tak charakterystyczny dla jej sposobu myślenia i wyrażania uczuć, że przytaczam go niemal w całości, opuszczając tylko osobiste sprawy „rodzinne". Zaczyna się ów list, naturalnie po polsku; data — Riond Bosson, Morges 19 styczeń 1911 roku:

„Kochana Wandzio! Chciałabym po polsku pisać, ale brak mi dzisiaj cierpliwości — ja przecież tak wolno i źle i niedostatecznie piszę, że sama nudzę się, a więc dosyć m i ł o s i e r d n a *jestem innych nie nudzić...*

Po tym wstępie wraca Alma Tadema do francuszczyzny, którą włada zupełnie „dostatecznie", a nawet ogromnie biegle:

...Mamy tu od trzech dni słońce ciepłe i dobroczynne, które nie topi lodów, ale ogrzewa nasze serca.

Wiwulski[1]) *już codziennie wstaje z łóżka, ale jeszcze nie schodzi na dół; miał zapalenie opłucnej. Na dole jesteśmy tylko we czworo: pan Paderewski, pani Helena, Ninka*[2]) *i ja. Pan Paderewski gra cały dzień, od jedenastej aż do ósmej godziny, z godzinną przerwą na śniadanie i krótką przechadzkę. Wygląda dobrze i wydaje się znowu pełen życia, siły, energii. Prowadzimy codziennie zachwycające rozmowy: o Polsce, o polityce, o literaturze, o muzyce — albo o samym życiu, o duszy, o religii. Czuję się zawsze rzeźwiejsza po kilku dniach spędzonych w pobliżu niego; bo przecież odczuwamy pragnienie czegoś więcej, niż jedzenie i picie: nasze dusze i serca również muszą być odżywiane, prawda? A sądzę, że nic tak nie zaspokaja tego rodzaju głodu duszy, jak obecność istoty szlachetnej i wielkiej.*

---

[1]) Twórca pomnika grunwaldzkiego był wówczas bardzo ciężko chory.

[2]) Jaszowska, siostrzenica Heleny Paderewskiej.

Nie opuszczę Morges, zanim sprawa „Chopina“ nie będzie zupełnie zakończona. Czekamy telegraficznej odpowiedzi z Nowego Yorku. Tymczasem mój rękopis idzie już do składania.

Nie czuję się tu daleko od was i nie zapominam o was. To jeden z uroków życia, że nie tracimy nigdy tych, których znaleźliśmy na swojej drodze — każda istota, którą trochę kochamy, daje nam coś z siebie i wchodzi w krąg naszego życia, czyniąc je bogatszym. Nie mogłabym was nigdy zapomnieć: wszystkie trzy jesteście mi drogie, wszystkie trzy razem, bo razem uczyniłyście mi życie lżejszym w smutnych chwilach, a każda z was indywidualnie, odrębnie, na swój sposób. Ponieważ ja także byłam dziewczynką uzdolnioną i miałam naturę uczuciową, sądzę, że cię rozumiem, drogie dziecko; życie jest pod pewnymi względami t r u d n i e j s z e dla kobiet, którym Bóg dał pragnienie i możność wypowiedzenia się na drodze artystycznej. To komplikuje życie, to wkłada na nas również wielką odpowiedzialność, konieczność pracowania, cierpienia, uczenia się, panowania nad sobą, dawania z siebie więcej niż kobiety nie posiadające zdolności twórczych.

Czy pamiętasz przypowieść o talentach, tak piękną, w Ewangelii?

Jesteś mi bardzo droga, Wanda — i chciałabym móc ci dopomóc w życiu.

Ściskam cię z całego serca

Laurence Alma Tadema.“

Tak brzmiał list, napisany do *pensjonarki*. Pensjonarka wyrosła dawno i powtarza dzisiaj z prawdziwym, głębokim zrozumieniem:

„Tak, to jeden z *wielkich* uroków życia, że nie tracimy nigdy tych, których znaleźliśmy na swojej drodze... Wchodzą oni w krąg naszego życia i czynią je bogatszym...“

Nie wiem, co się dzieje z Laurence Alma Tademą. Drogi nasze rozeszły się od czasu wojny. Podobno mieszka w Anglii. Ale wierzę, że Polska pozostała jej *wybraną* ojczyzną, chociażby we wspomnieniach...

Chciałabym zawołać dziś tak głośno, by słowa zwyciężyły przestrzeń, tak jak pamięć ludzka zwycięża czas:

— Dopomogła mi pani w życiu, *chère Laurence*. I nigdy nie mogłabym pani zapomnieć. Jest mi pani bardzo droga, może droższa niż dawniej, bo dziś lepiej panią rozumiem...

CZĘŚĆ TRZECIA

OKRES GRUNWALDZKI

WIWULSKI
PROJEKT POMNIKA
TYSIĄC DZIEWIĘĆSET DZIESIĘĆ!
MAMA W ROLI KWATERMISTRZA
ŻYWY MODEL JANA MATEJKI
KONCERT

Wiwulski

Bardzo nikłe są moje osobiste wspomnienia dotyczące domu państwa Władysławostwa Mickiewiczów w Paryżu. Kiedy tam byłam z Rodzicami, miałam siedem czy osiem lat i muszę wyznać ze skruchą, że daleko większą atrakcję stanowiła dla mnie jazda na karuzeli w ogrodzie Luksemburskim, niż spędzenie kilku godzin w paryskim mieszkaniu, do którego wszyscy Polacy pielgrzymowali jak do Mekki...

Pamiętam jednak doskonale parę staruszków oraz ich córkę, którą mama nazywała tak ładnie: „Mariotka". Pamiętam także śliczne koty angorskie wylegujące się na wszystkich fotelach, łagodne, leniwe i rozkosznie „puchate". W mieszkaniu pachniało swojsko, jak w polskim dworze kresowym: starymi meblami i dobrocią.

Państwo Mickiewiczowie prowadzili w pięknym znaczeniu tego słowa *dom otwarty*, bo był otwarty istotnie dla każdego rodaka. Ludzie o wielkich nazwiskach i niezna-

ni nikomu biedacy — wszyscy śpieszyli do tego źródła polszczyzny na obczyźnie i traktowani byli przez gospodarzy niemal po rodzinnemu.

Poza towarzyską jednak uprzejmością pani Mickiewiczowa odznaczała się sercem, wyjątkowo czułym na wszelką ludzką biedę. Przez jej zacne ręce przepływały sumy rozdzielane pomiędzy potrzebujących pomocy, a tych był zawsze legion... Umiała zawsze kilku rzuconymi w porę słowami zdobyć pieniądze od swych zamożnych przyjaciół dla jakiegoś ginącego z głodu artysty nędzarza, dla innego wynaleźć pracę zarobkową, innemu zapewnić opiekę lekarską lub wyjazd na kurację. Toteż nierzadko Muzeum żywych pamiątek po Wieszczu było terenem spotkań, pozornie tylko przypadkowych: bywały one nieraz wynikiem starannie obmyślonej strategii... Niejednemu głodującemu malarzowi naraiła staruszka w ten sposób kupca na obraz, początkującemu literatowi — wydawcę, a muzykowi — hojnego protektora.

Mistrz Paderewski żył w serdecznej przyjaźni z rodziną Mickiewiczów, toteż ilekroć znalazł się w Paryżu, bywał u państwa Władysławostwa częstym gościem.

Pewnego razu (a działo się to mniej więcej na dwa lata przed wielką, bo już pięćsetną rocznicą grunwaldzką) spotkał mistrz na

ulicy przypadkiem panią Mickiewiczową. Niosła naturalnie koszyczek, z którego wyglądały prowianty.

Paderewski spytał z uśmiechem:

— Zapewne jakiś nowy pupil jest „na wokandzie"?

— Zgadł pan — odpowiedziała staruszka. — Właśnie idę do niego. Biedaczek sam jest, chory i bez żadnej opieki.

— Artysta? Polak, ma się rozumieć?

Skinęła głową:

— Skończył architekturę w Wiedniu. Teraz tutaj studiuje rzeźbę. Bardzo, bardzo zdolny. Tylko zdrowie ma biedak słabe.

W oczach mistrza, jasnych i wyrazistych, zamigotało współczucie. Decyzja zawarła się w trzech słowach:

— Pójdę z panią.

Czy już wtedy, wiedziony intuicją, przeczuwał, że znajdzie tam człowieka, który urzeczywistni kiełkujące w duszy najgorętsze jego pragnienie? Złożyć Ojczyźnie, w jubileuszową rocznicę zwycięstwa nad Niemcami, wspaniały dar! Przypomnieć całemu światu jedno krótkie a tak potężne słowo: *Grunwald!*

Chorym rzeźbiarzem, do którego Paderewski przyjechał razem z panią Mickiewiczo-

wą, był Antoni Wiwulski. Młody, wówczas dwudziestokilkoletni wilnianin.

Do tego dnia — nieznany nikomu, biedny. borykający się ze skrajną nędzą — polski rzeźbiarz... Wkrótce imię jego będą wymawiać w całej Polsce tuż za wielkim imieniem, które znał cały świat.

Projekt pomnika

Od pierwszej chwili, od pierwszego spojrzenia przypadł mistrzowi do serca ten młody człowiek, z podłużną, szczupłą twarzą, na której płonęły chwilami niepokojące rumieńce, z mądrymi oczami dziecka, z nerwowymi rękami artysty. Stał się w oka mgnieniu kimś bliskim, dobrze znajomym, zanim jeszcze zdążył wyspowiadać się przed Paderewskim ze swych marzeń i zamierzeń na przyszłość.

W nędznej, ciasnej pracowni na peryferiach miasta — gdzie Wiwulski na przemian albo pracował gorączkowo, albo leżał w gorączce — zobaczył Paderewski szkic rzeźby bijący w oczy śmiałością pomysłu i głęboko artystycznym wyrazem.

Na drobnym, półdzikim koniku półdziki jeździec, pochylony, z dłonią przy oczach, wypatruje kogoś z oddali...

— Kiejstut — jednym słowem objaśnił młody rzeźbiarz.

Nie mogłam wiedzieć dokładnie, jakie tematy poruszyli w pierwszej rozmowie, ale tego samego dnia Wiwulski otrzymał zamówienie: ma wykonać projekt pomnika wyrażającego wielkie zwycięstwo, chwałę Polski. Projekt — *pomnika grunwaldzkiego.*

Naturalnie wszystko leżało jeszcze w krainie zamiarów... Taki „szalony" plan! I... co to będzie kosztowało! Jakieś nieokreślone, ale zawrotne sumy, które mistrz musi wydobyć jak najprędzej, choć spod ziemi! (Wydobył je — dosłownie — swymi dziesięcioma genialnymi palcami!) No i czas, czas, a właściwie *brak czasu!* Jakże mało czasu na wszystko! A w dodatku „Wiwulsio", którego trzeba było odkarmić, odchuchać, wzmocnić przedtem fizycznie, aby miał siły podjąć się takiej pracy.

Całą górę spiętrzonych trudności Paderewski odsuwał na bok siłą swej woli, siłą przemożnego pragnienia, by to jednak się stało. Niepospolity umysł sięgał w przyszłość z taką samą łatwością, z jaką my sięgamy do wspomnień... Paderewski wiedział, że idą *wielkie dni,* że już niedługo dokonają się olbrzymie przemiany. Należało więc dźwignąć naród, ocknąć go z osowiałej drzemki, przypomnieć, jakie zwycięstwa odnosili kiedyś Polacy — i natchnąć wszystkich wiarą w niedaleką już przyszłość...

Wiwulski wywieziony z Paryża do Riond Bosson, w cudownym powietrzu górskim wracał szybko do zdrowia. Zresztą nie o fizyczne siły chodziło tu najbardziej... A duch był olbrzymi w tym chucherku wątłym i chorowitym. Oczy się paliły, usta się śmiały, a ręce rwały się do tak *cudownej* pracy!

Wkrótce był gotów pierwszy szkic. Przedstawiał Jagiełłę i Witolda konno, na wspólnym cokóle. Grupa piękna i pełna wyrazu, lecz równorzędność zwycięzców — króla polskiego i litewskiego księcia — nie zadowoliła Paderewskiego.

Drugi szkic też był piękny: rycerz, z głową opuszczoną na piersi, zamyślony nad trupem Krzyżaka. Grupa ta została następnie wykorzystana w trzecim z kolei projekcie, który uzyskał „aprobatur"...

Do rocznicy grunwaldzkiej brakowało zaledwie kilkunastu miesięcy. Pamiętam doskonale te gorączkowe czasy!

W domu naszym w Warszawie mówiło się nieustannie, choć szeptem jeszcze, o przygotowawczych pracach, o wielkim geście mistrza... W głowie mi się mąciło od cyfr, które tatuś pisał wciąż i sumował... Same materiały — granit na cokół i brąz, potrzebny na odlewy postaci — pochłonęły fortunę! Mówiło się też z niepokojem o zdrowiu Wiwulskiego i o tym, czy zdąży na czas ze

wszystkim... Bo *daty* odsłonięcia pomnika nie podobna było przesunąć.

Ojciec mój był nieustannie w podróży: to do Szwajcarii, to znowu do Krakowa i znowu do Szwajcarii — i stamtąd do Paryża... Trzeba było tyle spraw załatwiać jednocześnie! Podczas gdy tam, w olbrzymiej pracowni umyślnie na ten cel wynajętej, „Wiwulsio" z wypiekami na twarzy miotał się po drabinach — istny lilipucik wobec gigantycznych rycerzy i apokaliptycznej bestii, nad którą górował król Jagiełło — tu, w kraju, wrzało już jak w kotle... Na biurku tatusia leżały próbki granitu, a jednocześnie toczyły się gorączkowe dyskusje na temat miejsca pod pomnik, na temat różnych nieprzewidzianych trudności, przeszkód, zawalidróg, o jakich nigdy w podobnych okazjach nie trudno...

Doskonale pamiętam dzień, gdy tatuś przywiózł i pokazał nam pierwszy, maleńki model pomnika. Zakotłowało się w domu, wyrywałyśmy sobie to dziwo, pytaniom, wykrzyknikom nie było końca!

A potem — nieoczekiwana i przerażająca wiadomość: Wiwulski, pozornie zdrów zupełnie, dostał nagle silnego krwotoku. Było to na pół roku przed terminem odsłonięcia pomnika! Płakałyśmy i modliłyśmy się na prze-

mian... A „chucherko“ opowiadało później mamie:

— W pierwszej chwili przestraszyłem się, że to koniec, że już nie zdążę... Ale zaraz pomyślałem sobie: Cooo? Ja, *silny duch*, miałbym pozwolić, aby mię jakiś mikrob zwyciężył? Niedoczekanie jego! Znalazłem sposób na choróbsko!

Cóż więc zrobił drogi, najmilszy „Wiwulsio“?

— Zaraz poszedłem do rzeźnika — opowiadał, marszcząc groźnie brwi, a jego jasne, dziecięce oczy śmiały mu się na to wspomnienie — i kazałem dać sobie porządny kawał mięsa. O, taki! Połowę zaraz mi usmażyli w restauracyjce, gdzie się stołowałem, a resztę zjadłem tego samego wieczoru. I cóż! Widzi „Życie“ (matkę moją nazywał „Życiem“), nie dałem się! Przepędziłem mikroba! Skończyłem pomnik!

Na dowód, jaki jest „silny“, przywdział kiedyś zbroję, która mu służyła za model — i z okrutnie marsową twarzą, z olbrzymią kopią w rękach szarżował na ogrodowy szpaler w Riond Bosson...

Istotnie miał powody, żeby być dumnym. Zwyciężył wówczas śmierć, siłą woli wyzdrowiał: musiał dokończyć dzieła.

Umarł w dziesięć lat później, także „na posterunku“, broniąc ukochanego Wilna. Naturalnie zaciągnął się do wojska, pomimo że był zawsze „chucherkiem“. Schodząc kiedyś z warty, oddał swój kożuch żołnierzowi, który go miał zluzować. Noc była przeraźliwie zimna, a Wiwulski tylko „duchem“ był silny. Ciało bardzo miał mdłe... Zapalenie płuc zmogło go w tydzień. Umierał w ukochanym Wilnie, zajętym już przez bolszewików. Cały majątek, znaleziony w kieszeniach ubrania, składał się z różańca, ze świętego obrazka i... z bonu na „dwadzieścia kopiejek“. Tak poległ żołnierz Rzeczypospolitej — twórca pomnika grunwaldzkiego, rzeźbiarz — tak, zaiste — *świętej pamięci...*

Nazywaliśmy go „Dzidziusiem“ albo „Zajączkiem“, bo miał talent poruszania szybko nozdrzami, zupełnie jak zając. Najczęściej wszakże mówiło się do niego „Wiwulsiu“!

Paderewski kochał go bardzo.

Tysiąc dziewięćset dziesięć!

Rok ów stał się nową epoką w moim życiu. Zimą dostałam maszynę do pisania, a latem... byłam na obchodzie grunwaldzkim!

„Remington“ był kosztownym, ale nieodzownym sprawunkiem. Od paru lat bowiem wydawałam „tygodnik“ pod tytułem „Promyczek“. Znakomite to pismo dla dzieci od lat pięciu do dziesięciu (wiek moich dwóch sio-

strzyczek!) cieszyło się tak wielką poczytnością, że *redakcja* po głębokiej rozwadze postanowiła rozszerzyć objętość numeru aż do... dwunastu kolumn. Ponieważ zaś nie miałam żadnych współpracowników, ponieważ nowele, powieści, artykuły wstępne, a nawet poezje i szarady, nie mówiąc już o bogatym dziale ilustracyjnym, były wyłącznie moimi utworami — więc ślęczenie nad biurkiem zagrażało poważnie oczom p. t. „redaktorki". Ponadto, w chwilach wolnych od zajęć literackich trzeba było jeszcze odrabiać zadawane lekcje...

Pragnąc najstarszą córkę uchronić przed utratą wzroku, rodzice ofiarowali mi na gwiazdkę najprawdziwszą maszynę, wówczas zbytek nie lada. Przed świętami jeszcze przeszłam kurs nauki pisania, zaś drugiego stycznia 1910 roku pojawił się pierwszy numer „Promyczka" w nowej, *powiększonej szacie*, jak szumnie obwieściły prospekty...

Numer był rzeczywiście okazały. Zainteresował nawet osoby spoza sfer czytelniczych: dorośli chwalili, życząc wydawnictwu rosnącej poczytności...

Jednakże w lipcu tegoż roku pismo wystąpiło daleko okazalej. Zawierało dwadzieścia kolumn tekstu, z czego *połowę* zajęło sprawozdanie z obchodu grunwaldzkiego. Był to może *najściślejszy* reportaż, ponieważ redakcja „Promyczka" poza *własnym* korespondentem posiadała wyjątkowe udogodnienia: była wszędzie *na pierwszym miejscu*, zasiadała nawet na honorowej trybunie... Przecież razem z Wiwulskim i kilkoma jeszcze osobami rodzice nieletniej dziennikarki stanowili najbliższe otoczenie mistrza Paderewskiego!

Podobno było to już dawno postanowione, że pojadę, ale dowiedziałam się o mym szczęściu niemal w ostatniej chwili...

Spędzaliśmy wakacje w Grzmiącej. Stamtąd wyruszyłam wraz z mamą do Krakowa. Nieprzytomna z radości, znalazłam się na bryczce zaprzężonej w śliczne siwki tarantowate — nasze własne! — które tatuś kupił na początku wakacyj.

Nazywały się „Ananas" i „Migdał". Chodziły i w zaprzęgu, i pod wierzch, jak wypadło. Były najważniejszymi osobami w naszym dziecinnym światku, ale cóż znaczyły nawet konie w porównaniu ze szczęściem, że zobaczę na własne oczy odsłonięcie pomnika — i pochód — i tyle nadzwyczajnych rzeczy!

Przed samym odjazdem krzyknęłam na pociechę rozżalonej, z cicha popłakującej Dzidce:

— Możesz sobie jeździć na Migdale, wiele zechcesz... A jak wrócę, to ci wszystko opiszę najdokładniej w „Promyczku"!

Wszystkie gazety — jak Polska długa i szeroka — pisały tylko o tym. Grunwald — i Paderewski. Paderewski — i pomnik grunwaldzki. Rocznica wiekopomnego zwycięstwa nad Niemcami stała się olbrzymią manifestacją narodową, a jednocześnie wyrazem hołdu i wdzięczności dla tego wielkiego Polaka, który potrafił nie tylko skrzepić serca nasze, lecz ogłosić całemu światu — na cztery lata przed wybuchem Wielkiej Wojny — czym była Polska w historii, jakie czyny zapisywała na jej kartach...

Warto może po latach blisko trzydziestu przypomnieć starym, a młodym opowiedzieć, jak wyglądał Kraków w okresie tych radosnych manifestacyj... Nie potrzebuję udawać się do źródeł obcych, chodzić po redakcjach i wyszukiwać w zakurzonych rocznikach odpowiedniego materiału; mam go oto pod ręką: sięgam na półkę biblioteczną i wyciągam oprawny w szare płótno rocznik „Promyczka“.

I przepisuję — w skrótach, ale dosłownie. Wszelkie usterki stylowe, a zwłaszcza ortograficzne, niech idą na rachunek młodocianego wieku ówczesnej „reporterki“:

...„*Nazajutrz po przyjeździe do Krakowa udałyśmy się z Mamą do kościoła Panny Marii, gdzie odbyć się miało nabożeństwo. Już od godziny 8 rano zbierały się tam takie tłumy, że docisnąć się było prawie niepodobieństwem. Ponieważ jednak dzięki Paderewskim mieliśmy dobre miejsca w stallach, więc dobrnęłyśmy tam jako tako...*

Nabożeństwo było wspaniałe! Wszystkie świece paliły się na ołtarzach, widniały poodkrywane na ten dzień obrazy, rzeźby, jarzyły się światłem wszystkie kandelabry i żyrandole... Biskup Bandurski Mszę odprawiał, a potem wypowiedział piękne kazanie.

Po skończonym nabożeństwie wszyscy udali się na plac matejki[1]*), gdzie stał zasłonięty pomnik. Towarzyszyli nam heroldowie, poubierani w czerwono-pomarańczowe, średniowieczne kostiumy, chłopi, krakowianki, dygnitarze w barwnych kontuszach i czamarach.*

Zasiedliśmy na trybunie i oczekiwali w milczeniu odsłonięcia. Ale wpierw jeszcze miał mowę marszałek miasta Krakowa, Stanisław Badeni[2]*).*

...Zapanowała cisza... Tłum stał nieruchomy przez chwilę... aż wreszcie zerwała się burza oklasków... Wiele czasu minęło, nim

---

[1]) „Promyczek“ nie lansował bynajmniej ohydnej mody pisania imion własnych małymi literami. Był to błąd wielki, za który dostawało się pałkę w piątej klasie...

[2]) Erudycja redaktorki... zawiodła: Badeni był marszałkiem Galicji.

się wszystko uspokoiło i Paderewski wszedł na trybunę. Na widok ofiarodawcy pomnika zaczęto wołać:

— Paderewski! Niech żyje!

...Mistrz mowę swoją zakończył słowami: „Praojcom na chwałę, braciom na otuchę!“

Te słowa też są wyryte na pomniku...

...Na drugi dzień, tj. w sobotę dnia 16. VII, udałyśmy się na Zlot Sokołów...

...Na dane hasło... wkroczyły dwie zwarte kolumny. Dziesięć tysięcy ludzi poruszających się jak jeden mąż! ...Rozdzielili się na małe oddziałki, a potem nagle rozprzestrzenili się tak, że cały olbrzymi plac[1]) sobą zajęli. W takt muzyki wykonywali ćwiczenia gimnastyczne, potem konno z lancami, potem strzelali...

Wszystko to było takie piękne... że serce biło z radości i na płacz się zbierało! Bo Sokoli to przecież nasze przyszłe wojsko! Wojsko polskie!...“

Dalsze stronice poświęca „Promyczek“ opisowi pochodu:

...„Trwał przeszło trzy godziny, z czego półtorej zajęli Sokoli, których było aż 17.000!...

...A potem krakusi na koniach, górale, góralki... A potem delegacje z różnych stron...

---

[1]) Zlot odbywał się na Błoniach krakowskich.

Nawet z Ameryki przybyło kilkudziesięciu Polaków z wielką chorągwią amerykańską i wieńcem z tamtejszych kwiatów, już zwiędłym... Przenieśli[1]) tak wielką podróż, takie zmęczenie dla kilku chwil... kilku chwil krótkich, ale — niezapomnianych nigdy!

...Potem szły przemyślanki. Śliczne miały stroje, wielkie, białe czepce i takież kryzy, wstążki przy nich krasne, aż do ziemi... A potem delegacje różnych stowarzyszeń, jak np. Szkoły Ludowej, Sług św. Zyty, itd., itd...

I tak szły te wielkie, stutysięczne tłumy, a mnie i Mamusi łzy stawały w oczach z rozrzewnienia, i w sercach budziło się gorętsze jeszcze uczucie, a w duszy wiara, że Polska zginąć nie może!“

Tyle „Promyczek“. Dyskretna i taktowna redakcja w piśmie, przeznaczonym dla młodzieży od lat pięciu do dziesięciu, nie pomieściła szczegółów o charakterze całkowicie prywatnym, a zwłaszcza sceny, jaka się rozegrała w krakowskim Grand-Hotelu na pół godziny przed rozpoczęciem imponującego pochodu.

Ten zakulisowy epizod jednakże wart jest wspomnienia — i dlatego ostatni obrazek z cyklu przeżyć „grunwaldzkich“ poświęcam

---

[1]) Indywidualny styl reporterki zachowuję z pietyzmem...

mojej rodzonej matce, która w owym dniu dokonała zaiste bohaterskich — jakby się dzisiaj powiedziało — „wyczynów".

Mama w roli kwatermistrza

Państwo Paderewscy oraz zaproszeni przez nich goście zagraniczni zatrzymali się w tak zwanym popularnie „Grandzie", to jest w najmożliwszym z ówczesnych hoteli krakowskich. Tatuś, który z tysiącznych przyczyn musiał być nieustannie „pod ręką", mieszkał tam również. Mama wraz ze mną zatrzymała się u stryjostwa[1]).

Otóż było umówione dnia poprzedniego, że spotkamy się wszyscy razem w hotelowym hallu o godzinie dziesiątej rano i wszyscy stamtąd wyruszymy na ulicę Basztową, gdzie Komitet wyznaczył dla mistrza i jego otoczenia duży, wygodny balkon. Mieliśmy z owego balkonu widzieć wybornie cały pochód.

Mamie ta sprawa jakoś nie dawała spokoju. Intuicja kobieca jest zjawiskiem znanym, a intuicja mojej matki nieraz wprowadzała w podziw całą rodzinę. Słowem, tknięta jakimś przeczuciem, mama zerwała się o świcie i pobiegła spenetrować, co zacz ta ulica Basztowa i czy *punkt* istotnie jest dobry.

---

[1]) Brat ojca, Stefan Jentys, był profesorem Uniw. Jagiel. w Krakowie.

Wizja lokalna wypadła jak najgorzej. Mamusia, wszedłszy na ów balkon, stanęła i załamała ręce:

— Pierwsze piętro i drzewa! Stare drzewa! *Oni* stąd nic a nic nie zobaczą, chyba tylko czapki i głowy!

Istoty prawdziwie energiczne nigdy nie poddają się biernej rozpaczy. Toteż mama. nie tracąc nadaremnie czasu na jałowe lamenty, zabrała się do dzieła. Trzeba „odrobić" wszystko! Trzeba znaleźć — i to natychmiast! — odpowiedniejsze miejsce. Czy można dopuścić, ażeby Paderewscy — oni właśnie! — nie widzieli pochodu w całej okazałości, z daleką perspektywą ulic, którymi miał przechodzić?

Jakim cudem zdołała mama w tak krótkim czasie zdobyć potrzebne wiadomości, tego do dziś dnia nie pojmuję. Dość że przedarłszy się (wraz ze mną!) przez ciżbę ludzi zgromadzonych na rynku, wtargnęła do jakiejś wielkiej kamienicy. Było to u wylotu św. Anny, jeżeli mię pamięć nie zawodzi. Mieścił się tam duży bank. Otóż mama dotarła do samego dyrektora tej instytucji i, zdyszanym głosem, w krótkich słowach przedstawiła mu sytuację...

— Dla państwa Paderewskich? Oczywiście, natychmiast! — zawołał ten przemiły

człowiek, zrozumiawszy, o co go mama prosi w trybie skróconym, ale jakże wymownym!

Dosłownie w kilka minut „lwia część" ogromnego balkonu została opróżniona. Wszyscy zgromadzeni — zapewne urzędnicy i ich rodziny! — przenieśli się na „szary" koniec i stłoczeni, jak przysłowiowe śledzie, pokrzykiwali ochoczo wraz z panem dyrektorem, że to przecież dla nich wielka radość i zaszczyt, jeżeli uwielbiany mistrz... i tak dalej.

Poznoszono w oka mgnieniu jakieś dywany i fotele. Znalazły się nawet wspaniałe kwiaty. Słowem, wszystko jak dotąd szło jak z płatka.

Trudności zaczęły się dopiero w Grand-Hotelu. Wszyscy już byli gotowi do wymarszu, gdy zjawiła się mama w kapeluszu na bakier, jeszcze bardziej zadyszana, ale rozpromieniona. Pełna zadowolenia i dumy z dokonanych czynności, obwieściła nowinę, że ma dla Paderewskich inne miejsce, w daleko lepszym punkcie.

Wiadomość tę przyjęto sceptycznie, nawet zgoła niechętnie.

— Droga pani... To niemożliwe... I już za późno! Pochód rozpocznie się za pół godziny... — tłumaczył mistrz serdecznie i cierpliwie jak dziecku, które żąda niemożliwości.

— Ale stamtąd, na Basztowej, nie zobaczycie nic zupełnie! — dowodziła gorąco mama — sprawdziłam osobiście i możecie mi wierzyć!...

— Kochana Julciu — wtrąciła tutaj ciocia Helenka Paderewska. — Bardzo nas wzrusza, że się tak kłopotałaś, ale chyba nie zdajesz sobie sprawy, czego żądasz! Przecież to miejsce wyznaczył nam Komitet...

— To źle wybrał! Tam nic nie widać... drzewa...

— *Sam* Badeni... — powtórzyła ciocia z naciskiem.

— Więc głupstwo zrobił twój Badeni! — wypaliła mamusia bez namysłu, bo nie było już na to czasu, i znów zaczęła błagać, niemal z płaczem, aby jej posłuchano.

— Zresztą chodźcie tylko ze mną, zobaczycie! Sami się przekonacie! A jeżeli się wam ten balkon nie spodoba, wrócimy wszyscy na Basztową...

Ktoś zauważył z boku:

— Nawet nie wiadomo, czy pochód będzie szedł tamtędy...

— Ależ będzie szedł, z całą pewnością! Wszystko sprawdziłam, przysięgam wam! Przekonacie się sami...

Biedna mama wygrywała już swój ostatni atut: zalała się potokiem łez.

To polepszyło sytuację. Mamusia zdołała wykołatać zgodę, że sprowadzi dorożki, że wszyscy tam pojadą, a jeżeli wybrane miejsce okaże się nieodpowiednie...

— Możecie wtedy piorunować na mnie... Zresztą wrócicie na Basztową. Jeszcze jest czas!

Wybiegła. W hallu wrzało niczym w ulu. Czekałam na uboczu, słuchając z przerażeniem, jak ktoś mówił, że to „szalony pomysł“, jak ktoś inny dowodził, że „teraz w ogóle możemy nie zobaczyć pochodu!“... W ciągu kilku minut oczekiwania stałam jakby na rozżarzonych węglach. Wyobrażałam sobie, co to będzie, jeżeli mama... jeżeli z jej powodu...

Drżałam z obawy, jakie gromy spadną na jej nieszczęsną głowę, jeżeli rzeczywiście ten plan zuchwały się nie uda... Jednocześnie zaś czułam się dumna, że moja matka umie w imię słuszności walczyć tak bohatersko.

A potem — oczom naszym ukazał się widok zaiste osobliwy: długi rząd pustych „fiakrów“ krakowskich człapał wolno środkiem ulicy, zapchanej tłumem ludzi. W pierwszym z nich jakaś postać kobieca, zgorączkowana, machająca rękami, dająca jakieś znaki... To była właśnie moja matka!

Opowiadała mi później, że musiała „fiakry“ zdobywać szturmem, przepłacając, kłócąc się z przechodniami o „prawo własności“ tylu pustych pojazdów, walcząc o pierwszeństwo siłą magicznych słów: — Ludzie, zrozumcie, że to *dla Paderewskich!*

Tak dotarła do „Grandu“. Załadowała kilkanaście osób, jak pakunki, i powiozła przed *swój* bank. Jeszcze wyrzekano i pomrukiwano w czasie drogi, jeszcze nie byłam pewna, czy „zamach stanu“ się powiedzie — przecież to było istne *porwanie króla!*

Dopiero kiedy pochód wyłonił się z ulicy Szewskiej i sunął zwolna wężową linią koło kamienia Kościuszki ku nam — obie odetchnęłyśmy z ulgą: bitwa była wygrana. Tryumf Mamy niepodzielny i jakże zasłużony!

Nie minęło pięć minut, kiedy z pierwszych zaraz szeregów dostrzeżono, czyja to głowa na balkonie pierwszego piętra błyszczy w słońcu aureolą złotych włosów... Nie było w całej Polsce człowieka, który by nie znał z fotografii tej twarzy o rysach szlachetnych i męskich, o przenikliwych i mądrych, jasno patrzących oczach...

Ktoś krzyknął pierwszy. Krótko, po wojskowemu:

— Baczność! W prawo patrz! Paderewskiemu cześć!

Przechodzili — oddział za oddziałem — Sokoli i oddawali cześć wojskową temu, któ-

ry na całą Polskę rzucił „hasło grunwaldzkie“: *Praojcom na chwałę, braciom na otuchę!*

Potem wiwatowali inni. Przez całe trzy godziny krzyczał tłum i krzyczeli uczestnicy pochodu: szkoły, instytucje, delegaci miast polskich, włościanie, rzemieślnicy, przedstawiciele wszystkich stanów... Wylatywały w górę czapki, sto tysięcy głosów grzmiało jak jeden przepotężny głos — bo to był przecież głos *całego narodu:*

— Paderewski! Niech żyje! Niech żyje!

Tego samego wieczoru w tymże „Grandzie“, świadku dramatycznej sceny porannej, odbywał się wspaniały bankiet. Byłam jego najmłodszą uczestniczką. Obie z mamą jadłyśmy z wilczym — i jakże zasłużonym! — apetytem świetną kolację i wznosiłyśmy wraz z innymi zdrowie mistrza... Później przyszła kolej na zdrowie Wiwulskiego, który siedział pomiędzy mamusią a mną, cichutki, bardzo pewnie zmęczony, lecz i szczęśliwy bardzo...

I jeszcze jedno pito zdrowie. Wzniósł je sam Paderewski w pełnych dowcipu słowach, przyznając mojej matce zasłużoną nagrodę za „zwycięską kampanię“.

Potem uściskał ją serdecznie, a zebrani wołali chórem:

— Pani Julia niech żyje!

Gdy wróciła na miejsce, zaczerwieniona i szczęśliwa „kwatermistrzyni mistrza“ —

Wiwulski po swojemu przez czas długi poruszał nozdrzami jak „zajączek“, aż wreszcie szepnął:

— A co? Nie mówiłem, że w „Życiu“ tyle jest prawdziwego życia?...

. . . .

Czym był „obchód grunwaldzki“ w owych czasach, zrozumieją w pełni tylko ci, którzy jeszcze mają w pamięci smak niewoli.

Dzieci, którym za jedno polskie słowo nauczyciel niemiecki wypisywał krwawe pręgi na grzbiecie... Uczniacy, rozpędzani nahajkami i bagnetami przez żołnierzy moskiewskich za to, że domagali się szkół polskich. Wszyscy, którzy od kolebki uczyli się cierpieć w milczeniu, zacisnąwszy zęby — i czekać, czekać, czekać...

Wielu nie doczekało. Wielu poległo w walce o niepodległość albo w krwawej wojnie z bolszewikami. Wielu spośród młodzieży, która brała udział w pochodzie piętnastego lipca 1910 roku — to już dziś *weterani* armii polskiej.

Tym wszystkim — pod czujnym okiem ciemięzców, wobec całej Europy — *jeden* człowiek przypomniał czynem, że „Polska to jest wielka rzecz“...

Dni grunwaldzkie nie były tylko uroczystością odsłonięcia pomnika. To była wielka

rewia sił narodu, jego czujności i jego gotowości.

Zlot Polaków, rozproszonych pod trzema zaborami, albo na emigracji, niezależnie od zapatrywań politycznych i przynależności partyjnej, powtórzył wspólne hasło wyryte na pomniku:

Praojcom na chwałę, braciom na otuchę!

Żywy model Jana Matejki

Wspominając dni grunwaldzkie i Kraków z tej epoki, nie mogę opuścić charakterystycznej postaci księdza prałata Drohojowskiego. Zdaje się, że był kanonikiem, ale mówiono do niego zawsze „księże prałacie".

Cóż to był za rarytas dla literata, a jeszcze bardziej dla malarza! Często, spoglądając na pospolicie piękne lub szpetne twarze moich współczesnych, myślę, że dziś się takie typy już nie rodzą. W latach, kiedy go widywałam u Paderewskich lub razem z ojcem odwiedzałam w Krakowie, prałat Drohojowski dźwigał z trudem, zwłaszcza po schodach, przeszło sto kilogramów „żywej wagi". Nadmierna tusza przyprawiała go o zadyszkę i nawet utrudniała mowę: pomiędzy jednym a drugim wyrazem głośno wciągał powietrze, co czyniło wrażenie ruszającej z miejsca lokomotywy.

Mówił na przykład do mnie:

— Jak się masz... he!... moje dziecko... he! widzę... he!... że znowu... he!... podrosłaś...

Śmiać się także musiał z przerwami, na raty, a już wchodząc na schody sapał jak hipopotam. Jednakże twarz, okolona pokaźną liczbą podbródków, zachowała, zwłaszcza w swej górnej części, wspaniałe rysy Rzymianina, a nad oczami zwisały gęste, szpakowate brwi.

Zresztą nie powinnam wysilać mózgownicy, aby odmalować księdza prałatowe oblicze: zostało bowiem odmalowane wielokrotnie — i nie przez byle kogo... Każde dziecko znajdzie we własnym, szkolnym podręczniku reprodukcję obrazu Jana Matejki pod tytułem „Hołd pruski". Nie może więc ominąć wzrokiem księdza Drohojowskiego: on to bowiem pozował malarzowi jako Zygmunt Stary, król polski...

Jeszcze w kilku innych obrazach mistrza figuruje to charakterystyczne oblicze, którym Matejko musiał się niewątpliwie delektować.

Wprawdzie w życiu codziennym model Matejki nie występował nigdy w złotogłowiu, nawet podczas wielkich uroczystości... Ale niemniej wspaniale wyglądała jego masywna postać w sutannie z pelerynką i ze złotym łańcuchem na szyi.

Ilekroć państwo Paderewscy byli w Krakowie, ksiądz prałat otrzymywał zaproszenie na śniadanie lub obiad. Trzeba go było widzieć wtedy: był nie lada smakoszem, a zarazem gadułą pierwszorzędnym. Chętka do zabierania głosu walczyła w nim o lepsze z apetytem, a wszystko razem — z astmą.

Lubił podżartowywać sobie ze mnie, gdy byłam pensjonarką — piętnastolatką, i często zapytywał:

— Cóż tam... he! Wandziu?... Za mąż... he! Jeszcze się nie wybierasz?...

A właśnie w owych czasach miałam mocne, chociaż krótkotrwałe postanowienie ...zostania zakonnicą.

Najsilniej wszakże utkwiła mi w pamięci bardzo zabawna scena rozegrana na schodach domu, gdzie mieszkał prałat Drohojowski. Przyjechałam wówczas do Krakowa na studia. Rzecz się działa przed samą wojną. Pewnego razu otrzymałam od ojca formalny rozkaz, by odwiedzić staruszka i w imieniu tatusia, który wkrótce przyjedzie, zaprosić go na małą „kolacyjkę" do „Grandu".

Poszłam. Nie pamiętam już dziś ulicy, ale poznałabym natychmiast staroświecką klatkę schodową. Wbiegłam na piętro. Naturalnie, odwiecznym obyczajem, dzwonek nie działał. Na drzwiach wisiała kartka: „Mocno stukać!"

Zastukałam. Cisza — i głos księdza Drohojowskiego spytał:

— A kto tam?

— Swój... — odparłam.

— Zaraz!

Czekałam dobrą chwilę. Wreszcie zdobyłam się na odwagę: zastukałam powtórnie.

— A kto tam? — padło znowu identyczne pytanie.

Pomyślałam, że widocznie należy wymienić personalia:

— To ja, Wandzia... Córka Tadeusza Jentysa...

— Zaraz!

I znowu cisza. Co dziwniejsze, głos prałata dochodził do mych uszu tak wyraźnie, jakby staruszek znajdował się tuż obok, za drzwiami, a nie słyszałam, by chociaż ruszył z miejsca. „Zaraz" — i na tym koniec.

Bardzo już zdziwiona, trochę także *speszona* zachowaniem się gospodarza, przez jakiś czas nie ponawiałam próby. Może jest w tej chwili bardzo zajęty? Ale może.... może zapomniał, że na schodach ktoś czeka?

Nie ma rady: zastukałam raz jeszcze. Dialog powtórzył się bez zmian. Sytuacja z dziwacznej stawała się powoli beznadziejna. Stukam, ksiądz Drohojowski *słyszy*, ponieważ odpowiada. Tylko ani myśli otwie-

rać... Odejść też nie wypada jakoś, skoro mi kazał czekać...

Trwałoby to nie wiem jak długo. Dobijałam się do drzwi po raz czwarty czy piąty, kiedy nagle — z dołu — dobiegł mię jakiś łomot i sapanie. Schody trzeszczały, jakby słonia windowano na górę... I raptem — na półpiętrze — ukazało się dobrze znane oblicze.

Przyznaję, że zdrętwiałam i na chwilę oniemiałam z wrażenia. Tymczasem prałat Drohojowski piął się mozolnie wyżej, sapiąc jak miech kowalski. Nie poznał mnie widocznie, bo przysłoniwszy oczy dłonią, spytał (jak przed chwilą, z głębi mieszkania):

— A kto tam?

Jeszcze nie mogłam wydobyć głosu z gardła. Wyręczył mnie następnym pytaniem:

— Jeżeli mnie... he!... wzrok nie myli... he! he!... To Wandzia?

— Ksiądz prałat... tutaj? — wyjąkałam.

— Cóż ty... he!... patrzysz na mnie... he!... Jak na ducha?

Duchem nie był, to biło w oczy. Ochłonęłam.

— Bo ja... stukałam kilka razy... I zdawało mi się, że ksiądz prałat jest w domu...

Zaczął się nagle śmiać. Stał tuż obok, majstrując kluczem w zamku. Spojrzał na mnie, znów parsknął śmiechem i... zastukał do własnych drzwi!

— A kto tam? — odezwał się najwyraźniej ze środka... ksiądz Drohojowski!

Zamek szczęknął, drzwi ustąpiły. Prałat szerokim gestem wskazał mi jasno oświetlone wnętrze:

— Wejdź, proszę... he! To naturalnie, he!... ten łajdak Kubuś... Nauczył się gadać mym własnym głosem... he!... Cicho będziesz, łajdaku!

— Cicho będziesz, łajdaku! — powtórzyła papuga i strzepnęła skrzydłami radośnie na widok swego pana.

Dopóki jej nie zobaczyłam, złudzenie było nadzwyczajne. Miała nawet taki sam „krótki oddech“ i mówiła z przerwami, świszcząc lekko przez dziób...

Była to piękna, szaro-różowa kakadu australijska. Jeżeli mnie pamięć nie myli, pochodziła od Paderewskich. Znałam nawet jej rodzonego brata...

Ksiądz prałat podszedł, poskrobał ją po głowie. Przymknęła oczy i nastroszyła pióra, poddając łeb karesom.

— No, no... — mruczał ksiądz Drohojowski. — Przedrzeźnia mię, hycel... he!... po mistrzowsku... A no, niech gada, he!... Niejeden złodziejaszek, he, wziął pewnie nogi za pas, myśląc, he!... że ten szelma, Drohojowski, kamieniem siedzi w domu...

W tej chwili znowu ktoś zastukał — i dwa głosy, prawie unisono, zapytały: „A kto tam?“ Po czym genialny Kubuś dodał z powagą: „Zaraz!“...

Ksiądz prałat śmiał się tak serdecznie, choć cicho, że mu wyrósł trzeci podbródek, bo dwa były rzeczą normalną...

Takim go widzę do tej chwili. Tak mi został w pamięci, postarzały, ale żywy model matejkowskich obrazów. Charakterystyczny, wspaniały profil „zygmuntowski“ — na tle szaro-różowej kakadu — w łukowato sklepionych, grubych murach krakowskiego mieszkania.

Koncert

Ostatni raz — przed wojną oczywiście — widziałam Ignacego Paderewskiego, kiedy dawał koncert w Warszawie.

Był to prawdopodobnie rok tysiąc dziewięćset trzynasty. Może się mylę. Zbyt dobrze pamiętam ów dzień, nastrój całego wieczoru, wszystkie najdrobniejsze akcesoria wielkiego wydarzenia i dlatego zapewne „wyciekła z głowy“ data...

Koncert odbył się w gmachu Filharmonii wypełnionej — trudno powiedzieć — *do ostatniego miejsca*, gdyż *najostatniejsze* wykupiono zawczasu, na długo przed terminem. Ludzie tłoczyli się w przejściach i pod ścianami: możliwość zdobycia najmniejszej kwadratowej powierzchni, takiej, która by pomieściła bodaj dwie stopy średniej miary — była już szczęściem. Gdyby wydano pozwolenie ulokowania publiczności pod sufitem sali, słuchacze siedzieliby na żyrandolach.

Pamiętam dobrze dramatyczne sceny w domu rodziców. Najdalsi znajomi i znajomi znajomych szturmowali przez dwa tygodnie o „jakikolwiek bilet“, choćby o kilka słów „protekcji“ umożliwiającej dostanie się do wnętrza gmachu. Działo się to, co bywa zawsze w takich razach: przypominano sobie krewnych po mieczu, po kądzieli, a nawet po... kisielu. Molestowano, tłumaczono nam: „Bo rozumiem, rozumiem oczywiście, ale *dla mnie* wyjątkowo musicie coś obmyślić...“

Albo znów z innej beczki:

— Rozumiałbym, gdyby kto inny, ale wy!... Możecie przecież szepnąć słówko Paderewskiemu. Wystarczy, aby *kazał* wstawić gdziekolwiek jeszcze jedno krzesełko.

Krzesełka były już dawno powstawiane i publiczność (wyjątkowo tym razem punktualnie) zajęła swoje miejsca, kiedy Paderewski dopiero wyruszył z hotelu. Opóźnienie spowodował groźny incydent: oto zawieruszyła się gdzieś *laska*. Ukochana laska, laska-maskota, bez której mistrz w ogóle nie wyjechałby z domu.

Jest to rzeczą powszechnie znaną, że artyści mają swoje przyzwyczajenia, swoje drobne dziwactwa i śmieszne na pozór „zabobony“. Znałam ludzi, którzy na występy wybierali się objuczeni mnóstwem przedmiotów przynoszących im „szczęście“... Śmiejemy się z przesądów, a hołdujemy im wszyscy na każdym kroku. I tak jest wszędzie, na całym świecie. Może ta dbałość o „maskotę“, wysiłek pamięciowy, ażeby jej nie zostawić lub broń Boże nie zgubić — jest klapą bezpieczeństwa dla ludzi wyjątkowo wrażliwych a poddawanych nieustannie próbie wytrzymałości nerwów.

Każdy więc artysta, niezależnie od tego, czy jest średnim, świetnym czy też genialnym, ma swoje obyczaje, każdemu występowi towarzyszy pewien rytuał. Nie wiem, czy Paderewski rozmieszczał po kieszeniach numizmaty, cygarniczki, wstążeczki itp. niezbędne w czasie koncertu rekwizyty, ale wiem, że miał laskę, która mu stale towarzyszyła w podróżach i z którą się nie rozstawał aż do ostatniej chwili, aż do wstąpienia na estradę.

Kiedyś z powodu tej laski omal że nie odwołano koncertu. Została w którymś z numerów hotelowych, bodaj czy nie w Krakowie... Pamiętam, co się działo wtedy: jaki grad telegramów poprzedził jej odnalezienie.

Depeszowano do mego ojca nieomal co godzina: „Laska jest“. „Laskę wysyłamy przez umyślnego“. „Laskę przywiezie pośpiesznym ten a ten...“

Ostatecznie laskę dostarczono istotnie przez znaną i poważaną ogólnie osobistość, która złożyła ją w ręce mistrza i — burza została zażegnana.

Widocznie laska „nabrała wprawy“ w znikaniu właśnie wtedy, kiedy była potrzebna, bo pamiętam, żeśmy i tym razem czekali z dziesięć minut, zanim ją Marcel przyniósł z góry.

Tak się złożyło, że jechałam razem z mistrzem i z jego żoną na ów koncert. Zostało właśnie wolne miejsce. Powiedziano mi „Wsiadaj!“ — więc wsiadłam...

Jechaliśmy nie samochodem, lecz karetą. Siedząc na przedniej ławeczce, na wprost Paderewskiego, miałam tuż przed sobą jego twarz piękną, ale straszliwie pobladłą i zmienioną. W rysach ściągniętych, jakby od fizycznego bólu, tyle było skupienia wewnętrznego, tyle męki, że cierpiałam z nim razem, i niedaleka droga, z Bristolu do Filharmonii, dłużyła się nieznośnie.

Boże miłosierny! Wiedziałam już, rozumiałam, co znaczy słowo: *trema*. Jakże mi się głos łamał i drżał, kiedy odczytywałam

nielicznym, wybranym przyjaciółkom własne wiersze!... Nie mogło mi się jednak pomieścić w głowie, żeby i taki niezrównany artysta miał *tremę* przed występem — którym? — chyba tysiącznym!

A przecież ów lęk, ból, owo sprężenie wszystkich nerwów w chwili, gdy się *spełnia* w człowieku jego wysiłek twórczy, to jest właśnie *cena* za rozdarcie tajemniczej zasłony między duszą artysty a tłumem, któremu daje *siebie*. Tylko z wielkiej miłości może się zrodzić żywe piękno, a miłość zawsze ma w sobie coś z cierpienia.

Przez całą drogę mistrz nie powiedział ani jednego słowa. Głęboka bruzda rysowała się między brwiami. Patrzyły spod nich oczy, nie widzące w tej chwili nic — poza światem, dostępnym tylko jemu... Ręce oparł na kolanach, jakby na klawiaturze. Nie mogłam oderwać wzroku od tych dwóch jasnych, muskularnych dłoni, od palców uderzających szybko i bezgłośnie w czarne sukno płaszcza.

Potem zabrano mię od razu na górę. Siedziałam w loży pomiędzy kimś a kimś — nie pamiętam... W ciepłych falach powietrza nadpływały mi do nozdrzy smugi wonne, prawie widzialne, nieomal dotykalne... Dopiero w jakiejś chwili zrozumiałam, że to nie moje myśli pachną mimozą, bzem, fiołkami, całym bukietem cieplarnianym — tylko te wszystkie

prześlicznie uczesane panie w sukniach dekoltowanych jak na bal...

Potem gwar przyciszony tysiącznych głosów zamilkł nagle. Kilka pierwszych oklasków zmieniło się w huragan braw: Paderewski był już na estradzie.

A potem...

Potem zaczął się koncert. Utwór za utworem, tak jak były wypisane w programie. Czy można mówić o tym, czy w ogóle można to *wypowiedzieć?* Przecież tego nie zrozumie i nie odczuje nikt. Nikt, prócz tych, którzy byli na koncercie Paderewskiego... Którzy go choć raz w życiu słyszeli.

Miły Boże! Ileż to razy, w ciągu lat, próbowałam wyjaśnić przyjaciołom, na czym polega różnica pomiędzy grą Paderewskiego a grą wszystkich innych pianistów świata, jakich miałam sposobność słyszeć. Technika? Interpretacja? In-ter-pre-ta-cja...

Dziś myślę, że to po prostu kwestia — ducha. Jego dusza mogła być tylko w jego grze.

Cóż może wiedzieć o genialnym pianiście najmłodsze pokolenie muzyków, które Ignacego Paderewskiego słucha ze skupieniem... na płytach? Nie znosił gramofonów, nie lubi radia, czuje żywiołowy wstręt do wszelkiej *maszyny*. Płyty nagrywał niechętnie, po usilnych, natarczywych namowach.

Artysta tej miary i tej rasy musiał wiedzieć, że jego niezrównana muzyka może wyjść z podobnych „opałów“ tylko mniej lub więcej okaleczona, zniekształcona. Komu przyszłoby na myśl przepuścić najpiękniejszą różę... przez maszynkę od mięsa? Tak, coś z *woni* płatków różanych niewątpliwie pozostanie wśród trybów i kółek... Ale sam *kwiat* jako zjawisko, jego cudowny kształt niepowtarzalny — będzie bezpowrotnie zniszczony.

I dlatego, w miarę jak czas uchodzi, wspomnienie najpiękniejszej muzyki, jaką w życiu słyszałam, staje się czymś bezgranicznie bolesnym. Pamiętam każdą nutę tyle lat — więc już zapewne nie zapomnę... Dźwięki dotarły do tych zwojów mózgowych, gdzie zmysł słuchu rejestruje otrzymane wrażenia — i tam zostało wszystko nieskażone, bez zmian.

Ale jak wziąć w ręce przepysznego motyla o tysiącu niewysłowionych barw — i jak przenieść? — i pokazać? — i komu?

PODZWONNE

MISTRZ WINCENTY
(śp. Wincenty Drabik)

KATOT I ZIOKA
(śp. Karol Szymanowski)

CIOCIA TOLCIA
(śp. Antonina Szumowska-Adamowska)

Mistrz Wincenty

Mistrzem Wincentym nazywali go koledzy malarze, autorzy dramatyczni i aktorzy. Całe społeczeństwo, skupione dokoła sceny, którą jak czarodziej przetwarzał co wieczora w piękny świat o barwach tęczowych.

Moje poznanie z śp. Drabikiem nastąpiło właśnie w teatrze podczas próby. Przyszłam po raz pierwszy do Teatru Bogusławskiego (Narodowy — na miejscu dawnych Rozmaitości — jeszcze się po pożarze odbudowywał) i czekając na męża, który był wówczas kierownikiem literackim, siadłam w którymś z ostatnich rzędów krzeseł.

Trzeba było dotrwać do końca próby. Nie nudziłam się wcale. Wchłaniałam pilnie nowe, zupełnie odmienne wrażenia, jakie zawsze daje teatr oglądany od strony „kuchni", kiedy wszystkie składniki „artystycznej uczty" reżyseria dopiero przyprawia i dozuje.

Na widowni było zupełnie ciemno, przez scenę tylko raz po raz przelatywały kolorowe błyski. Robiono próbę świateł na świeżo

ustawionej, jeszcze wilgotnej dekoracji pierwszego aktu. Sufler wychylił się ze swej muszli jak ślimak i toczył cichy spór z którymś z aktorów o jakieś wykreślone czy opuszczone zdanie. Nie miałam pojęcia, że oprócz mnie oraz kilku sylwetek majaczących w trzech pierwszych rzędach, ktoś jeszcze jest w teatrze, gdy nagle, tuż za mymi plecami, rozległ się gromki okrzyk:

— Panie Fijałkowski! Wygasić *prawom łatę!*

Niespodziewany ten rozkaz wypowiedziany został akcentem rodowitego Ślązaka. Odwróciłam się mimo woli; ujrzałam tuż za sobą dużą, barczystą postać, zmierzwioną nad czołem czuprynę i oczy wpatrzone z natężeniem w jeden punkt: w czworobok sceny, jaskrawą plamą odcięty od widowni zatopionej w ciemności.

Krótkie, lecz dla zwyczajnych śmiertelników niezrozumiałe zdanie sprawiło cud: *prawa łata* została prawdopodobnie *wygaszona* — i w jednej chwili martwa dotąd płaszczyzna malowanych płócien zaczęła żyć, oddychać powietrzem jakiegoś wiosennego zmierzchu w ogrodzie...

Efekt był świetnie wydobyty, dekoracja otrzymała wreszcie pełny wyraz, a mistrz Wincenty, przyjrzawszy się swemu dziełu wytrawnym okiem, śpieszył teraz wielkimi

krokami w kierunku chudego inspicjenta, by na gorąco zanotować zmianę światła przy odpowiednich słowach tekstu na egzemplarzu sztuki.

W kilka minut później oświetlono widownię i spuszczono kurtynę. W przejściu, pomiędzy fotelami, mój mąż rozmawiał z Drabikiem. Podeszłam bliżej — i zostaliśmy sobie nawzajem przedstawieni. Takie było moje poznanie z artystą.

Potem — przez wiele lat — jakże dobrze pamiętam długie, niekończące się nigdy rozmowy na temat teatru i związanej z nim nierozerwalnie — poezji... Jedno zwłaszcza popołudnie utkwiło mi w pamięci. Siedzieliśmy we trójkę w naszym małym, zabawnym saloniku z oknem patrzącym prosto w gwiazdy... Ponieważ było to jesienią, około szóstej po południu, gwiazdy jeszcze nie wzeszły, a na matowych szybach błąkał się tylko różowawy poblask zachodu.

Stach ukończył był właśnie „Farysa“ i czytał go panu Wincentemu, aby wspólnie ustalić styl dekoracyj do poszczególnych obrazów.

Mistrz Drabik należał do słuchaczy wyjątkowych, jak sejsmograf czułych na najmniejsze drgnienie *prawdziwej* poezji. Nigdy nie używał zdawkowych pochwał, nie prawił komplementów, tylko po swojemu, w krót-

kich i prostych słowach rzucał pierwsze szkice wizji powstające w miarę czytania. Przerywał memu mężowi niemal w środku zdania i mówił:

— Aha! To *bedzie* taki ogród, o!... I takie drzewko, wie pan, panie Stanisławie, jak z bajki... I na tem drzewku takie kwiaty z wielkiemy kielichamy, takie gałązki, wygięte ku ziemi, o!

Wyciągał rękę wprost przed siebie i rysował w powietrzu kształty lęgnących się pod czaszką artystycznych pomysłów... Oglądaliśmy je później na scenie, skąpane w poświacie księżycowej: rzeczywiście kwiaty były jak z bajki: żywe, chociaż nie istniejące w żadnym botanicznym atlasie.

Owego popołudnia Drabik wielokrotnie przekładał język Miłaszewskiego na swój własny, malarski. Podczas szóstej odsłony, po miłosnym monologu Farysa, krzyknął nagle:

— Już wiem! To bedzie taki widok jak z willi d'Este: cyprysy w perspektywie, schodzące tarasami... Aż fiołkowo czarne na tle nieba...

Nie mówił nigdy, że mu się wiersz podoba. On go zaraz *widział* w kolorach, w światłocieniu, w oprawie własnej dekoracji.

Zawsze, niezależnie od miejsca, gdzieśmy go spotkali, opowiadał gorączkowo o swoich

przyszłych planach, o inscenizacji dzieł, które go pociągały najbardziej. To był poeta z krwi i kości, artysta z Bożej łaski, człowiek, który się artystą urodził, który poezji potrzebował do życia, jak inni potrzebują tylko chleba.

Zawsze mu było za mało pola do pracy. Dusił się chwilami w ciasnych murach konwenansu, wymagań, „gustu" publiczności... Od rzeczy już stworzonych odchodził prędko, by do nich znów powracać po pewnym czasie i nowe, pełniejsze formy nadawać obrazom już głębiej przemyślanym.

Z premiery „Don Kiszota"[1]) wyszedł tak do głębi przejęty, tak wzruszony i psychicznie wzburzony, że długo nie panował nad głosem i gestami.

— Panie Stanisławie! — zwierzał się koledze-poecie głosem przerywanym, bo mu zabrakło słów do wyładowania się w mowie ludzkiej. — Panie Stanisławie, ja to *widzę* inaczej... O, ja bym to pokazał ludziom... Zresztą, zobaczy pan, zrobię do tej sztuki własne projekty, boby mi to spokoju nie dało...

Istotnie zrobił kilka wspaniałych szkiców. Na jednym zwłaszcza, pamiętam — tłum wiatraków-duchów, wiatraków-widm, roztańczo-

---

[1]) Do tej sztuki St. Miłaszewskiego Drabik nie robił dekoracji. Grana była w Teatrze Polskim.

nych cmentarnie, jakby w szopenowskim Polonezie es-moll...

Wiedział, że te dekoracje nie ujrzą światła rampy, ale *musiał* je namalować. Ulżyło mu, gdy to uczynił. Wyrzucił z siebie, w rytm poezji donkiszotowskiej, własną malarską „koncepcyję"...

Marzył też — latami! — o „Samuelu Zborowskim" i „Podziemiach weneckich". Ten „Niedokończony poemat" Krasińskiego nie dawał mu spokoju. Mówił o nim, gdy tylko mógł i kiedy mógł — ludziom, którzy go rozumieli i odczuwali ów wielki twórczy pęd, ową żądzę doskonalenia w sobie obrazu dzieł najbliższych sercu, najsilniej całą duszą miłowanych.

I nie chciało się wierzyć, gdy ten człowiek w pełni wieku męskiego, w pełni sił i talentu — odszedł nagle od rozpędzonego warsztatu, od sztalug, gdzie z dniem każdym mnożyły się coraz to nowe „koncepcyje"...

Przecież dlatego tak chętnie, prawie z uśmiechem, jechał poddać się ciężkiej operacji, by mu szwankujące zdrowie nie przeszkadzało w pracy, by realizm fizycznego cierpienia nie przysłaniał mąk i radości stokroć razy ważniejszych, bo związanych ze światem istniejącym w jego bujnej fantazji.

W przeddzień właśnie spotkali się ze Stasiem w tramwaju. Drabik był zupełnie spokojny, o niemiłej perspektywie „krajania" mówił prawie pogodnie:

— Trzeba to odbyć. Za jakie trzy tygodnie powinienem być zupełnie zdrów. Trzeba to doprowadzić do jakiegoś *porzundku*, bo nie mógłbym spokojnie pracować.

Prosił, by go odwiedzić, i pożyczył memu mężowi dwadzieścia pięć groszy na tramwaj, ponieważ konduktor nie miał drobnych. Na drugi dzień o tej samej godzinie był w drodze o wiele dalszej, niż z domu do lecznicy... Nic go nie mogło uratować: należał do wyjątkowych, nadzwyczaj rzadko spotykanych organizmów — nie wytrzymał narkozy.

„Katot" i „Zioka"

Jeden z niezliczonych wieńców, towarzyszących Karolowi Szymanowskiemu w Jego ostatniej podróży z Warszawy do Krakowa nosił na wstędze napis: „Ukochanemu Katotowi — Zioka".

Zanim było mi dane poznać osobiście twórcę „Harnasiów" i „Stabat Mater", usłyszałam po raz pierwszy „domowe" imię Karola Szymanowskiego z ust jego najmłodszej siostry.

Panią „Ziokę" — panią Zofię z Szymanowskich Grzybowską — spotkałam w Zakopanem. Było to jakoś wkrótce po wojnie. Mieszkałyśmy w tym samym, maleńkim pensjonacie, gdzieś w okolicy Bystrego. Dwie młodziutkie, trochę kwękające niewiasty przybyły tam na kurację dla stracenia jakichś zbytecznych kresek. Miałyśmy dosyć czasu na gawędy podczas leżakowania w wyiskrzone słońcem przedpołudnia i w długie godziny po zachodzie, gdy przechadzki stawały się owocem zakazanym, przekroczeniem lekarskiego przepisu, rozkosznie miłym „grzechem".

Tak. Wtedy właśnie dowiedziałam się po raz pierwszy, że istniał na Ukrainie raj, zwany Tymoszówką, i że kilkoro ludzi, wygnanych z tego raju przez rządy bolszewickie, stanowiło najmilsze, najbardziej zżyte, najgoręcej się kochające rodzeństwo. Oglądając fotografie, poznawałam po kolei wszystkie imiona: oto najbliżsi, oto przyjaciele, sąsiedzi... Oto obyczaje domowe, gry, zabawy, nauka, praca. Najczęściej wszakże usta pani Zioki wymawiały to ukochane, ważne imię — *Katot*.

Wszystko, co później znalazło pełny wyraz w „Opowieści o naszym domu" — prawie wszystko to lśniło prawdą przeżycia i tęsknotą w rwanych zdaniach, w bolesnym lub radosnym załamaniu żywego głosu.

Ale Katot był zawsze najważniejszą postacią. O Katocie mówiło się bez końca, z miłością, z szacunkiem, z podziwem, z uwielbieniem. Od najwcześniejszego dzieciństwa ten brat był uznaną wielkością. Może jeszcze nikomu, nawet pani Zioce, nie śniło się wówczas, jak wielkim *naprawdę* człowiekiem stanie się Katot — autor pierwszych dziecinnych oper granych w Tymoszówce nad Stawem, a następnie autor pieśni wykonywanych przez tę samą śpiewaczkę, jego siostrę Stanisławę — tylko już na prawdziwej estradzie wobec prawdziwej publiczności.

W ciągu kilku czy kilkunastu dni dane mi było „per procura“ poznać „Katota“ i obcować z nim bliżej, niż przez wszystkie następne lata. Bo potem życie potoczyło się dalej i rozdzieliło mnie nawet z panią Zioką. Karol Szymanowski — autor pieśni „Szalonego Muezzina“, autor „Króla Rogera“ i Czwartej Symfonii, i Koncertów skrzypcowych, i „Harnasiów“ — przesnuwał się przez moje życie wrażeniami artystycznymi, ale był już wtedy *Karolem Szymanowskim* — nie „Katotem“...

I trudno było nawet w myślach łączyć te dwie istoty w jedną. Opowieści jego siostry żyły we mnie osobno, miały własne, przytulne miejsce w sercu jako dzieje kogoś dobrze znanego... Katot pozostał w moich myślach chłopcem znanym z fotografij, z opowiadań o zabawach, figlach i pierwszych artystycznych porywach — a ten wysoki człowiek z piękną twarzą, z szerokimi łukami brwi ocieniających jasne spojrzenie oczu — był kompozytorem, o którym coraz więcej mówiono, z coraz większym zapałem dyskutowano, który zdobywał coraz szersze kręgi admiratorów i krytyków, ale nie znajdował na swojej drodze serc obojętnych.

I właśnie może dlatego że widywałam go przelotnie, w sali koncertowej czy teatralnej, żeśmy się witali na ulicy skinieniem głowy, a w teatrze — niekiedy — podaniem ręki

i wymienieniem kilku nic nie mówiących słów — właśnie może dlatego nie umiałam nigdy połączyć z sobą tych dwóch ludzi: Szymanowskiego i — Katota.

Dopiero po powrocie z pogrzebu... Dopiero w chwili fizycznego znużenia i głębokiego smutku w nieuświadomionym jeszcze a już piekącym poczuciu straty, jaką ta śmierć dotknęła nas wszystkich, cały świat kulturalny i artystyczny — pomyślałam nagle, że to był przecież *także* Katot... Że osierocił najbliższych sercu: Matkę — i siostrę Stanisławę — i panią Ziokę — i tę jej maleńką córeczkę, za którą tak bardzo tęskniła wówczas w Zakopanem...

Po raz ostatni widziałam Karola Szymanowskiego w czerwcu 1936 roku. Z Antonim Potockim, świeżo przybyłym z Paryża, zaszliśmy do Simona i Steckiego na „lunch“. Obok nas w głębi sali przypominającej cieplarnię — siedział twórca „Harnasiów“, z którym Potocki zaraz zaczął rozmawiać o inscenizacji paryskiej. Było to właśnie po tryumfach premiery we Francji.

Zajmowaliśmy miejsca pod ścianą, w jednym rzędzie. Poprzez ramiona i głowy tych dwóch ludzi, zagadanych już na dobre ze sobą, zerkałam na młodziutką towarzyszkę Szymanowskiego. Skąd ja ją znam? Takie znajome rysy: te oczy, usta, włosy... I nagle...

Ależ oczywiście to córka pani Zioki! Przecież musiała przez ten czas dorosnąć mała, paroletnia dziewczynka z fotografii... Policzyłam szybko w pamięci: tyle lat! Naturalnie, to nie może być pani Zioka, jest to niewątpliwie jej córka.

Karol Szymanowski wyglądał dobrze. Mówił o swych pracach i zamiarach na przyszłość. Umówili się z Potockim na dłuższą pogawędkę, „z graniem". Wymieniliśmy jeszcze wspólnie kilka zdań, uścisk ręki, ukłony... Wyszedł razem z tą śliczną, smukłą osóbką. Wyglądali raczej na parę zakochanych, a nie na siostrzenicę z „wujciem".

Potem widziałam ją raz jeszcze. Na pogrzebie. Staliśmy w delegacjach. Długi szpaler z wieńców na Placu Teatralnym. Środkiem wolnej przestrzeni, przed gmachem Opery, z którego bił jak grom w jasne niebo motyw Zygfryda — wtoczył się powoli karawan i przystanął właśnie przed nami.

Zanim delegacje ruszyły znowu naprzód w rytm żałobnego werbla, trudno mi było wzrok oderwać od tych trzech postaci w grubej żałobie. Wszystkie trzy miały głowy wzniesione ku górze z jednakowym zupełnie, skamieniałym wyrazem zapatrzenia w wieko dębowej trumny, na której poruszały się lekko i bezszelestnie liście palmowe.

Twarz ostatniej w tym żałosnym szeregu, widoczna spod przejrzystej zasłony, wydała mi się znana, wryta w pamięć od wielu lat. Tylko wyraz bólu był w niej czymś bardzo nowym. „To jest Zioka — pomyślałam — naturalnie, to jest siostra „Katota". Jak bezmierny musi być ból tych kobiet, które go tak bezgranicznie kochały..."

A to była — siostrzenica Szymanowskiego. Młodziutka, jak jej matka w czasach, gdy słyszałam od rana do wieczora o Katocie i ciągle o Katocie...

Więc to była „córeczka" pani Zioki! To była ta „najmilsza Kiciurka"! Uczułam nagle brzemię lat mijających tak jakoś prędko, tak nieoczekiwanie...

Przez ten czas dziewczynka z fotografii na biurku pani Zioki zdążyła już dorosnąć. Nauczyła się nawet bardzo cierpieć. Prawdziwie, mocno i głęboko; nie jak pensjonarka, do której „wujcio" pisał w liście z Zakopanego, 22 stycznia 1935 roku:

...Ja to przecież doskonale rozumiem, bo też kiedyś, dawno już — byłem w twoim wieku i tak samo silnie i dojmująco przeżywałem to, co ty obecnie przeżywasz. Na to zdawałoby się nie ma żadnej rady, a raczej jest jedna jedyna, która rodzi się w nieustannym wysiłku woli, by opanować takie nastroje, by nie przeszkadzały w pra-

cy, która w danym momencie jest KONIECZNOŚCIĄ (jak np. w chwili obecnej twoja nauka). W tym przezwyciężaniu tęsknoty tkwi właśnie prawdziwa ofiarność i brak egoizmu. Bo pomyśl, że dla nas wszystkich, którzy cię kochamy, wielką pociechą w rozstaniu z tobą jest świadomość, że w tym oddaleniu od nas jest ci jednak dobrze...

. . . .

...Pomyśl tylko, co by ze mną było, gdybym na moje życie zapatrywał się tylko ze strony ROZSTAŃ i POŻEGNAŃ...

. . . .

Kiedy później, w kilka dni po pogrzebie Karola Szymanowskiego, czytałam w prasie różne nieznane mi szczegóły z jego życia, a przede wszystkim urywki z jego listów do najbliższej rodziny, zrozumiałam dopiero w pełni, czemu go tak kochano. W słowach pani Zioki nie widziałam już ani źdźbła przesady... To był nie tylko jeden z największych kompozytorów najnowszej ery. To był również najlepszy Syn, Brat i „Wujcio". To był wspaniały CZŁOWIEK.

Tacy jak on nigdy nie odchodzą zupełnie. Tacy jak on utrwalają w nas, nawet przez ból rozstania, wiarę w piękność i nieśmiertelność ludzkiej duszy.

Ciocia Tolcia

Było już z nami źle w ostatnim roku wojny. Było — dosłownie — bardzo chłodno i głodno. Centralne ogrzewanie funkcjonowało marnie... Zaledwie przez parę godzin, podczas mrozów, kaloryfery dostarczały mieszkaniu jakiej takiej ciepłoty, czyli że mogliśmy, stanąwszy bardzo blisko pieca, nagrzać po kolei boki, plecy albo zsiniałe z zimna ręce...

Sprawy kuchenne przedstawiały się jeszcze gorzej. Za cenę wielogodzinnego wystawania w ogonkach można było przynieść do domu ohydny chleb „kartkowy" sporządzony w ten sposób, że pod cienką warstwą spieczonej, twardej skórki mieściły się trociny lub jeszcze mniej jadalne — gorzkie kasztany. Cynizm okupantów niemieckich w aprowidowaniu ludności doszedł nawet do tego, że kasztany owe znajdowaliśmy nie zmielone, „w całku", jak mawiała ze zgrozą służąca.

Prócz rzeczonego chleba, od którego ludzie chorowali ciężko, czasem nawet śmier-

telnie — była w sklepach do nabycia, również na kartki, mąka zmieszana z piaskiem. Bez ograniczeń, choć i bez przekonania, kupowaliśmy marmoladę z marchwi, sztuczny miód, sacharynę i tłuszcz roślinny, nazwany z grecka — o ironio! — „Ceres".

O kawie — ani marzyć. Z wielkimi ostrożnościami — w butach od konnej jazdy! — przemycałam po trochu zakupioną od chłopa na wsi ćwiartkę żyta. Paliło się je na patelni i dzięki temu piliśmy przynajmniej „prawdziwą kawę zbożową" zamiast szaro-brunatnego niemieckiego „ersatzu". Skórki od jabłek, ususzone i przypieczone, podawano na „fajfach" jako herbatę, do niej zaś ciasteczka z tartej fasoli...

Ale to były zbytki. W niejednej rodzinie inteligenckiej dzieci w wieku szkolnym otrzymywały na kolację, jako cały posiłek, po dwa lub trzy nieokraszone ziemniaki.

Tak się żyło w przeciętnym domu warszawskim. Każdy gram tłuszczu wyważony po aptekarsku. Każdy kawałek cukru oglądany z podziwem i zazdrością. Wstając od stołu, człowiek myślał, z jaką rozkoszą zjadłby teraz choć kawałeczek przesolonej, zjełczałej, „przedwojennej" słoniny!

I nagle — po tym długim poście — pewnego dnia otrzymuję zawiadomienie, że mam się zgłosić tam a tam, o takiej a takiej go-

dzinie, celem odebrania przesyłki żywnościowej z... Ameryki. Nigdy nie zapomnę wrażenia doznanego w pierwszej chwili na widok dużej sali, wypełnionej niemal pod sufit workami jednakowej barwy, jednakowej wielkości, z jednakowymi napisami na dobrze wypełnionych bokach. Była to — bodaj czy nie pierwsza partia! — żywności „hooverowskiej". W tym olbrzymim transporcie mieściła się i moja cząstka...

Po przedstawieniu odpowiednich dowodów otrzymałam swój „przydział": aż kilkanaście worków, które z wielkim trudem załadowałam na dorożkę. Jazda przez miasto trwała długo i budziła sensację. Lecz prawdziwa sensacja zaczęła się dopiero później, przy rozpakowywaniu. Czego tam nie było! Mąka pszenna w bielutkich jak śnieg woreczkach, którymi później łatało się domową bieliznę. I gruby, lśniący cukier — kryształ. Mleko skondensowane i smalec, wszystko w pięknych, lśniących puszkach z etykietami... I bekony! bekony! bekony!

Oczywiście dar pochodził od cioci Tolci. W obszernym liście była szczegółowa instrukcja:

Wanduś moja droga — pisała — *wysłałam trochę takich samych paczek do każdego z rodziny. Weź, co wam trzeba, a resztę porozdawaj według swego uznania. Wiem,*

jak wielu jest potrzebujących, którzy nie trafią do żadnej instytucji. Wśród inteligencji zwłaszcza jest mnóstwo takich, co nie pójdą nigdzie prosić, a należy im pomóc. Także pomiędzy twoimi znajomymi znajdzie się na pewno niejeden, któremu tylko w ten sposób możesz pomóc...

Tak się stało. Mieszkanie nasze było przez długi czas prywatnym punktem zaopatrywania dla prawdziwie potrzebujących, niedojadających latami, nigdzie nie zarejestrowanych „ofiar wojny europejskiej". Mąka, cukier, bekony znalazły się i na poddaszu, u najbliższych naszych sąsiadów, i w ciasnej suterenie dozorcy. Gdy dozorczyni, kobieta zacna, choć nazbyt może elokwentna, polecała moją osobę szczególnej łasce Pana Boga oraz opiece wszystkich świętych, musiałam z zażenowaniem hamować te wylewy wdzięczności:

— Niechże Antoniowa da spokój! Nie trzeba mnie dziękować, tylko pani Adamowskiej, bo to pani Adamowska zbiera pieniądze i przysyła wszystko aż z Ameryki dla nas, żeby nam pomóc w ciężkich chwilach... Jak pani Adamowska sama tutaj przyjedzie, wtedy jej Antoniowa powie wszystko...

Ale ciocia Tolcia nie po to przyjechała znowu do Polski w roku 1920, aby zbierać podziękowania za niestrudzoną, ofiarną pracę dla zniszczonego wojną kraju. Osiedliwszy się jeszcze w końcu XIX stulecia[1]) na stałe w Ameryce, ani przez jeden dzień nie czuła się obywatelką Stanów Zjednoczonych. Obliczaliśmy kiedyś żartobliwie, że utopiła w Oceanie Atlantyckim fortunę, przyjeżdżając na wakacje do Polski, jeżeli nie co rok, to co drugi, z mężem i dwojgiem dzieci... Raz tylko w czasie wojny nastąpiła długa, bo sześcioletnia przerwa. Żywiołową tęsknotę, niepokój o losy ojczyzny i bliskich sercu ludzi zagłuszała pracą społeczną[2]). To, co zdziałała na obczyźnie dla Polski,

---

[1]) Antonina Szumowska po chlubnym ukończeniu Warszawskiego Konserwatorium Muzycznego była przez jakiś czas uczennicą Michałowskiego, a później I. Paderewskiego w Paryżu. Pierwsze jej koncerty (w Paryżu i Londynie) miały tak duży sukces, że otrzymała engagement do Stanów Zjednoczonych. Tam poślubiła znanego wiolonczelistę Józefa Adamowskiego. Oboje byli przez długie lata profesorami Konserwatorium w Bostonie, gdzie stale zamieszkiwali. Razem z bratem Józefa, skrzypkiem Tymoteuszem, utworzyli słynne „Trio Adamowskich". A. Szumowska dawała poza tym koncerty fortepianowe we wszystkich większych miastach Ameryki Północnej. W kraju nie mogła koncertować, spędzając tam jedynie miesiące letnie: obowiązki profesora konserwatorium wzywały ją na wczesną jesień do Bostonu.

[2]) W roku 1914 założyła w Bostonie, a potem i w innych miastach amerykańskich, Komitet „Friends of Poland" (Przyjaciół Polski) dla niesienia pomocy

uważała za tak prosty i naturalny obowiązek, że nie lubiła nawet rozważań na ten temat.

— Cóż takiego zrobiłam? — rzekła do mnie kiedyś, wzruszając lekko ramionami. — Że wysłałam do kraju trochę ubrania, żywności i pieniędzy? Każdy, kto by mógł, zrobiłby na moim miejscu to samo... Wyzyskałam własną popularność, to wszystko. Podziwiam tylko mych amerykańskich przyjaciół, którzy mi tak gorliwie pomagali przez lata całe, chociaż dla nich słowa: „Polska“, „Polacy“ nie mogły mieć takiej treści, jak dla mnie...

ofiarom wojny. Honorowymi członkami Komitetu byli I. Paderewski i H. Sienkiewicz. Podobnie jak Paderewski osobistymi wpływami, w chwilach decydujących przyczynił się do powstania „paragrafu trzynastego“ — tak Antonina Adamowska wszędzie werbowała dla Polski przyjaciół, a nawet entuzjastów. Znana w Polsce założycielka amerykańskiej Szkoły Pielęgniarek, p. Dorotea Hughes przyznawała otwarcie, że jej pomysł przyjazdu i pracy w Polsce zrodził się pod bezpośrednim wrażeniem propagandowego koncertu i przemówienia A. Szumowskiej-Adamowskiej. Członkowie zaś Komitetu Przyjaciół Polski, nawet po jego rozwiązaniu, przysyłali na ręce p. Adamowskiej pieniądze z prośbą, aby rozdzielała je według swego uznania między rodaków w kraju. W Warszawie istnieje Ognisko dla sierot przy ul. Czerniakowskiej. Artystka w znacznej mierze przyczyniała się do istnienia tej instytucji, która też nosi obecnie nazwę „Ognisko imienia A. i J. Adamowskich“.

„Trochę ubrania, żywności i pieniędzy“ — to były duże sumy na przestrzeni najcięższych lat. Setki tysięcy złotych przeszło przez jej ręce dla Polski. Przez te same piękne ręce, którymi tak jeszcze niedawno grała na moją prośbę Nokturn c — moll Szopena.

Ciocia Tolcia...

*

Znam wiele kobiet wartościowych.

Niektóre odznaczają się wybitną inteligencją, inne urodą, inne — szczególnym darem jednania sobie ludzkich serc. Inne jeszcze przyniosły z sobą na świat wybitny talent: zasłynęły w dziedzinie sztuki jako artystki, albo jako niestrudzone bojowniczki w pracy społecznej, albo w życiu domowym jako wzorowe córki, żony i matki.

Zdarza się jednak bardzo rzadko istota, łącząca wszystkie te cechy w jakąś idealną harmonię, promieniująca w koło dobrem, mądrością, pięknem. Jeszcze zaś rzadziej spotykanym zjawiskiem jest kobieta umiejąca się z godnością zestarzeć. Im była za młodu urodziwsza, tym rozpaczliwiej broni się przed zagładą ciała. Dobroć jej, życzliwość dla ludzi jełczeje z wiekiem lub nabiera zgorzkniałego posmaku. Wdzięk przechodzi powoli w zdziwaczałość, wykształcenie rodzi nieznośną pewność siebie. Nadchodzi chwi-

la, gdy o starej kobiecie mówią ci, co ją znali za dawnych lat: „Jakaż ona była kiedyś urocza!" I to już jest rodzajem hołdu złożonego wspomnieniom w obliczu spopielałej rzeczywistości.

Ale o cioci Tolci nikt nie mógł tak powiedzieć. Pozostała sobą, to jest wcieleniem wdzięku — do ostatniego dnia. Musiała taka być od urodzenia, sądząc z opowiadań osób, które ją pamiętały jako bobo dwuletnie, jasnowłose, wygrywające już na fortepianie — jednym paluszkiem wprawdzie — „Boże coś Polskę" lub „Żal, żal za jedyną, za zieloną Ukrainą..."[1]).

Potem mówiono o niej: „Tolcia! Cóż za urocza panna i jaka utalentowana!" Osobiście pamiętam doskonale śliczną ciocię jako młodą mężatkę: przyjeżdżała z tak daleka po skończonym sezonie koncertowym, aby wypocząć wśród nas, nacieszyć się rodziną. Przywiozła mi raz piękną lalkę, z całą wyprawą uszytą własnoręcznie. Potem — zawsze urocza, z dołeczkami na uśmiechniętej twarzy — przywoziła już własne dzieci, tysiąc razy od tej lalki piękniejsze.

Każdy przyjazd cioci Tolci był długo wyczekiwanym, radosnym świętem dla nas.

---

[1]) Ojciec jej pochodził z Wołynia — matka z Ukrainy.

Każde wakacje z nią spędzone, podwójnie cenne we wspomnieniu. Lato z Adamowskimi było zawsze słoneczne, choćby deszcz lał przez cały lipiec albo sierpień. Po wyjeździe nadchodził zawsze list ze statku, na którym odpłynęła. List pełen już tęsknoty. W następnych, jak słońce zza chmur, przebłyskiwać zaczynała nadzieja następnego spotkania. Aż nareszcie któregoś dnia: „Wszystko się dobrze składa, na wakacje przyjedziemy na pewno!"

Tak było zawsze, do ostatniego roku, do tego roku, kiedy wiedziała już na pewno, że nie będzie mogła przyjechać. Ale i w tych nawet najcięższych chwilach nie poddawała się rozpaczy, złym przeczuciom, żalowi.

Miała zawsze imponująco silną wolę i dużo bohaterstwa. To jej pozwalało w życiu walczyć, zwyciężać, a w razie klęski — nie łamać rąk daremnie. Pierwsza jej podróż do Ameryki była jak gdyby próbą i symbolem wszystkich zwycięstw i porażek przyjmowanych od losu z jednaką postawą duchową. Ta młoda, jasnowłosa dziewczyna z dołeczkami na twarzy i marzycielskimi oczami o barwie szafirowej płynęła, jak młody wiking, na podboje w obcy, nieznany sobie świat. I przy pierwszej w życiu burzy na morzu stanęła oko w oko ze śmiercią. Zapewne wiele uczuć przeżyła w chwilach nie-

bezpieczeństwa, prócz jednego uczucia — bojaźni.

Przez dziesięć dni statek „Gascogne" uważano powszechnie za stracony: zagnany burzą, o sto mil od normalnej trasy, błąkał się *bez steru* po falach oceanu. Przybył wreszcie do Nowego Yorku z dziesięciodniowym opóźnieniem — spotykały go tłumy ludzi. Gdy spuszczono trap — pierwsi oczywiście znaleźli się na pokładzie amerykańscy reporterzy. Kapitan przedstawił im młodą Polkę, która jedna jedyna nie poddała się ogólnej panice. „Oto macie panowie bohaterkę — powiedział — która wszystkim dodawała otuchy".

Cała prasa amerykańska opisała ten fakt, podając podobiznę „miss Szumowskiej". Takie były pierwsze kroki młodej pianistki w kraju, gdzie zdobyła sobie od razu podwójną sławę.

Nigdy o tym nie usłyszałam z jej własnych ust, chociaż kiedyś, w Konstancinie, robiąc na drutach sukienkę dla ukochanego, maleńkiego wnuczka w Ameryce, opowiadała mi właśnie dzieje pierwszych czasów na nowym lądzie...

Tak. Wtedy na wiosnę 1937 roku była już starą, bardzo ciężko chorą kobietą. Ale nawet wówczas do jej twarzy o czarującym uśmiechu dziwnie nie pasowała nazwa „Staruszki". Tak ją przecież nazywał rodzony mąż od niepamiętnych czasów, gdy była młodą, prześliczną, zawsze dobrą, najlepszą z cioć, kochającą i ukochaną — ciocią Tolcią.

Może z nikim nie związało się tyle moich najdroższych wspomnień. Był czas, kiedy imię Jej — szło zaraz po Rodzicach w cowieczornym pacierzu. Wiele, wiele razy to imię — ciocia Tolcia — pojawiało się na poprzednich kartach tej książki! Moje własne dzieciństwo — więc ciocia Tolcia. Stanisławscy — więc także ciocia Tolcia. Paderewski — więc oczywiście znowu ona. Tyle miałam do powiedzenia o niej samej, tyle jeszcze słów radosnych i pogodnych, jak jej obecność w domu naszym.

Ale właśnie w chwili, gdy kończyłam rękopis, nazywając go w myślach *tomem pierwszym*, przyszła tu, nad morze, wiadomość aż zza morza, że — umarła.

Tak to się nazywa w języku ludzkim. Osiemnastego sierpnia przestało bić jej serce: piękne, młode i wiernie kochające. Rozszerzało się powoli, z latami — od nadmiaru miłości i tęsknoty. Długim, nieprzerwanym pasmem tęsknoty owinięte było jej życie, pełne odwagi i dzielności. Nigdy nie znała ukojenia, nigdy chwili spoczynku... Chyba z pół setki razy przepływała ocean, śpiesząc zawsze — od swoich ku swoim... Od śmierci

męża tęsknota żłobiła sobie nowe drogi, poza morzem i lądem. Tam jest cisza i ukojenie. Tam wypocznie serce strudzone.

Osiemnastego sierpnia rano — nie otworzyła oczu. Nic o tym nie wiedziałam rzecz jasna... O tej samej godzinie (ósma rano w New Jorku to u nas druga po południu) było mi tak lekko i radośnie na duszy, że aż się nagle przestraszyłam: „Czego ty się śmiejesz, idiotko?" — powiedziałam do lustra.

Ozwał się krótki, trzykrotny ryk syreny. „Znowu jakiś statek odpływa" — pomyślałam.

Nie przyszło mi do głowy obliczać, wiele podróży odbyła ciocia Tolcia statkiem tam i z powrotem. Nazajutrz dopiero, otrzymawszy wiadomość, szepnęłam: Oczywiście, liczba musi być nieparzysta. „Nieparzysta... Nieparzysta..." — zgrzytało jakieś koło zębate w mózgu. Nic innego nie pomyślałam więcej przez cały dzień. Położyłam się na tapczanie i wmówiłam w siebie, że śpię, chociaż nie spałam ani chwili.

Dopiero wieczorem zdobyłam się na olbrzymi wysiłek: zadzwoniłam do matki, do Warszawy.

— Mamusiu — powiedziałam — nie płacz. Jestem teraz całym sercem przy tobie.

— Czy wiesz... — odpowiedział głos, po raz pierwszy podobny w brzmieniu do głosu

cioci Tolci. — Byłam sama, zupełnie sama w domu, kiedy przyszedł telegram...

Wróciłam do pokoju. Okno było otwarte. Za oknem noc i lekki wiatr poruszający winogradem. Cudowny, wschodni wiatr... od morza.

Gdy odwróciłam głowę, wzrok mój padł na rękopis, nie dotknięty od wczoraj. Tekturowa teczka z napisem „Wspominamy".

Pomyślałam:

— Człowiek musi być sam, gdy cierpi. Zupełnie sam. Tylko radość nie znosi samotności. Ból potrzebuje ciszy, tak jak zmęczone serce — snu.

Gdynia, październik 1938.

SRIS TREŚCI: